

PRZE KROJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

Na telewizji
znają się wszyscy
– mówi Robert Kwiatkowski



Krajobraz po Big Brother



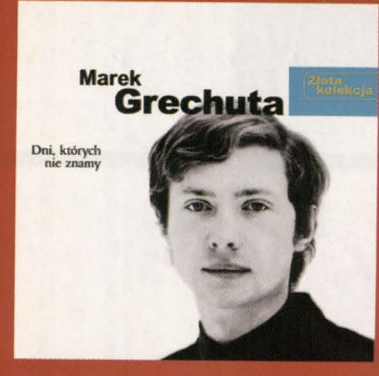
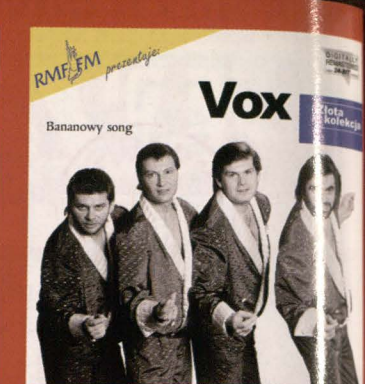
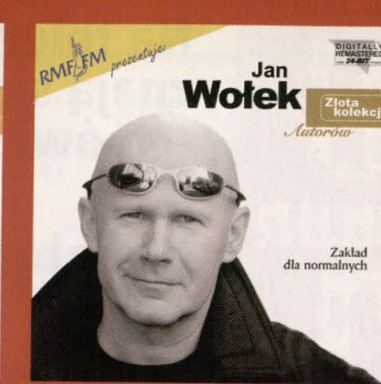
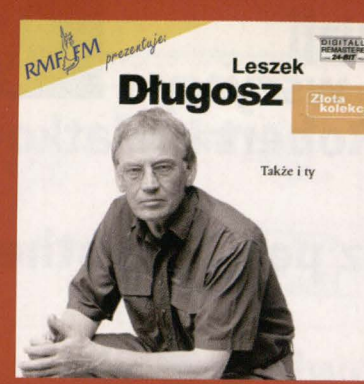
Bohaterowie czekają
na gorsze czasy



TŁOK W PUDLE

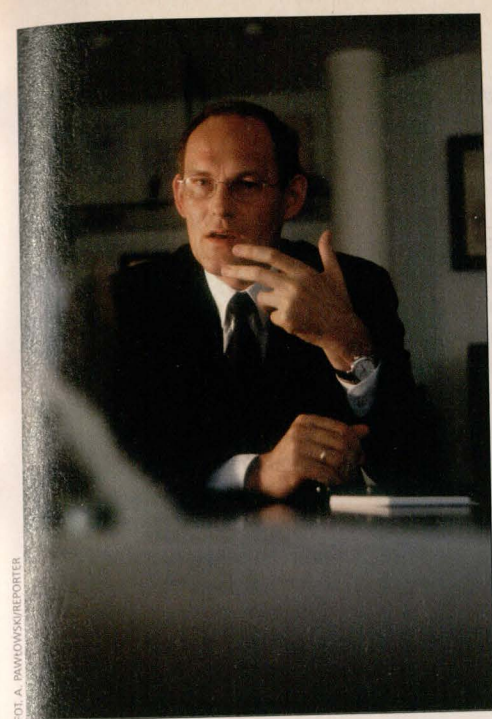
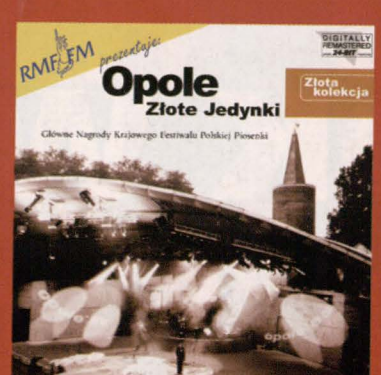
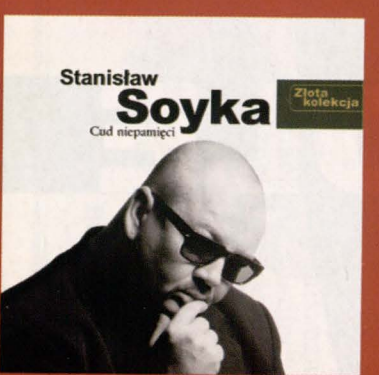
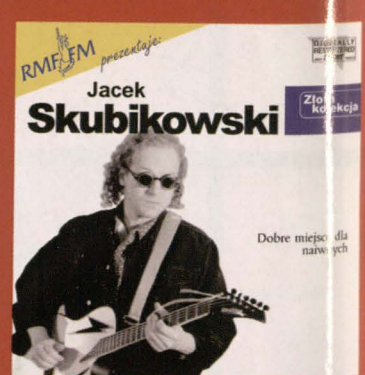
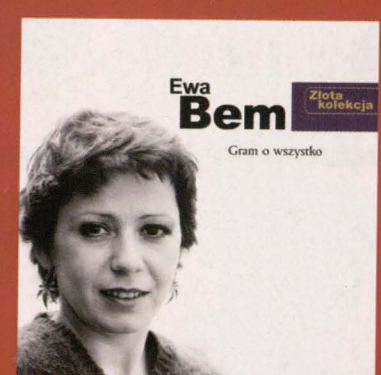
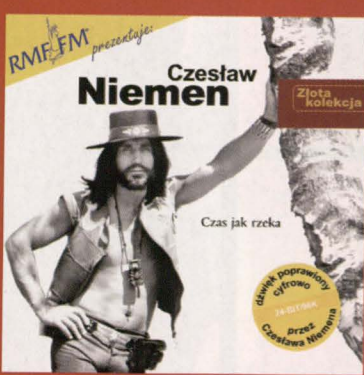
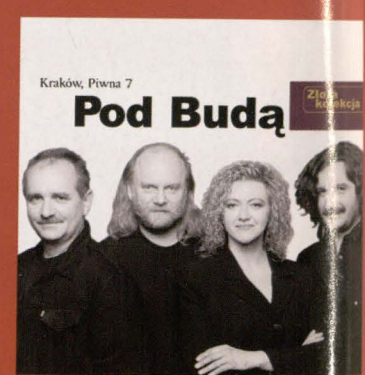
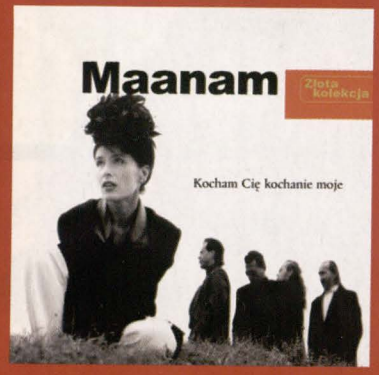
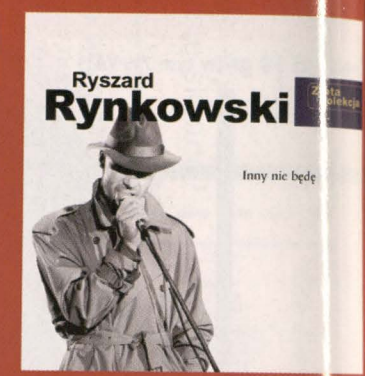
ISSN 0033-2488
17700331248014

Indeks 371424 • Y-9013-C



LAUREAT XI EDYCJI KONKURSU

TERAZ POLSKA



22
NA TELEWIZJI ZNAJĄ SIĘ WSZYSCY.
 Telewizja publiczna nie powinna być ani przyjazna, ani wroga politykom, lecz rzeczowa – mówi **ROBERT KWIATKOWSKI**, prezes TVP w rozmowie z **KAZIMIERZEM TARGOSZEM**.

FOT. A. RAWIŃSKI/REPORTER



30 **KRAJOBRAZ PO WIELKIM BRACIE.** Big Brother pokazał, że telewizja może być inna od tej, do której się przyzwyczailiśmy. Pierwszy raz wykreowała gwiazdy z osób, które niczego dotąd nie osiągnęły – **TOMASZ WOLSKI**.

34 **BOHATEROWIE CZEKAJĄ NA GORSZE CZASY.** Im czasy gorsze, tym łatwiej o bohatera, którego można stawiać innym za wzór. Gdy jest normalnie – z bohaterami gorzej – **DOROTA TERAKOWSKA**.



FOT. ARCHIWUM „P”

NUMER 25
 24.06.2001

OKŁADKA: PIOTR GIDLEWSKI, EWA CIEPIELEWSKA
 FOT. PAWŁOWSKI/REPORTER, CHEŁSTOWSKI/FORUM, ARCHIWUM „P”

TEK W PUDE

Listy	4
CZECZOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Andrzej Jonas	
Bush miły uchu	10
Obok siebie – przed papieską wizytą na Ukrainie	11
Jakub T. Janicki	
Okiem przeciwnika – hasła wyborcze	12
Łoża – Piekarczyk	14
90. urodziny Czesława Miłosza	15
Jerzy Piekarczyk	
Łtok w pudle	16
Człowiek „Przekroju” – Julita Wójcik	20
Kazimierz Targosz	
Na telewizji znają się wszyscy – rozmowa z Robertem Kwiatkowskim	22
Świat – Berlin, Oslo, Londyn, Paryż	27–29
Tomasz Wolski	
Krajobraz po Wielkim Bracie	30
Stefan Rokita	
Gulczas: narodziny gwiazdy	31
Wiesław Godzic	
Intelektualista w supermarkecie	33
Dorota Terakowska	
Bohaterowie czekają na gorsze czasy	34
Galeria – 49. Biennale weneckie	38
Joanna Sosnowska	
Sztuka i polityka na lagunie	44
Bogna Balicka	
Połowanie na męża	46
Bogna Wernichowska, Leszek Mazan	
Raport spod miotły – wiedźmy i dziś wiele mogą	49
Włodzimierz Jurasz	
Mężczyństwo na sprzedaż	52
Hoff	54
Adama Wiedemanna Dziennik „duszy”	55
Sport – Żużel i kibice w akcji	56
Internet	58
Formy – Starych fabryk zmartwychwstanie	60
Media – Walter za Waltera	62
Kultura	64–73
Klub Smakosza – Pióro	74
Szatnia – Keff	75
Instrukcja obsługi telewizora	77
Mieszanka firmowa	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie Lem	82
Rozmaitości	84

OSWOJENIE ORWELLA

Wielki Brat udał się na zasłużony odpoczynek. Podobno zjawi się w naszych domach jesienią. Jeśli nie on, to w każdym razie ktoś z rodziny programów reality show, w których prawdziwego realizmu jest nie więcej niż trucizny w zapałce. Jeśli ktoś uważa, że intelektualna głębia programu sięga mu kostek, nie powinien się w niej zanurzać. Nikt nikogo nie zmuszał do telewizyjnej kuracji odmóżdżającej, tak samo jak nikt uczestników programu siłą w Sękocinie nie trzymał. I tym się różni świat Orwella od świata wykreowanego w telewizyjnym studiu.

Z widowni telewizyjnej wyłoniło się już niemałe grono sympatyków telewizyjnych rodzin żyjących problemami wymyślonymi przez scenarzystów. Wielki Brat pomógł tylko zrobić krok w stronę urealnienia kolejnej fikcji. Rzeczywistość orwellowska z „Roku 1984”, zapamiętana jako koszmar, została oswojona. Kilka nikomu nie znanych wcześniej osób zaistniało przed wielomilionową widownią, telewizja raz jeszcze pokazała, że potrafi wykreować coś z niczego.

Czy goście Wielkiego Brata wykorzystają szansę, jaką im dała kilkutygodniowa popularność, czy sława minie równie szybko, jak się pojawiła, to już jest temat na zupełnie inną opowieść. Na razie trzeba spokojnie przeliczyć, ile przybyło w kasie.

(Więcej o BB – na str. 30–32)



KULTURA PRAWA

Podczas konwencji wyborczej w operetce warszawskiej wystąpili bracia Lech i Jarosław Kaczyński, zapowiadając zwolennikom swego ugrupowania sukces wyborczy. „Prawo i Sprawiedliwość nie wystawia sztuk w teatrze absurdu, jakim stała się polityka” – rekomendował bratnie stowarzyszenie lider Porozumienia Prawicy, Kazimierz M. Ujazdowski, znany skądinąd jako minister kultury.

POSTAWA OBYWATELSKA

„Wzywam obywateli, aby jedli wołowinę” – zaapelował premier Czech, Miloš Zeman. Następnie na oczach czeskiego kontyngentu wojskowego w Bośni zjadł rosół i polędwicę z wołowiny, od której – po stwierdzeniu w Czechach przypadku choroby szalonych krów – odwrócili się jego rodacy, doprowadzając do rozpacz hodowców bydła.

BIĆ ALBO NIE BIĆ?

Najgroźniejsza dla młodych widzów jest przemoc stosowana przez bohaterów pozytywnych w słusznej sprawie – twierdzi Rowell Huesmann z uniwersytetu Michigan, gość zorganizowanych na Uniwersytecie Warszawskim warsztatów na temat współzależności przemocy w mediach i społeczeństwie.

PŁYWAJĄCA KLINIKA

Irlandki, którym w kraju prawo zabrania przerywania ciąży, mogą przez najbliższe dwa tygodnie korzystać z holenderskiego statku-kliniki, gdzie zabiegi dokonywane są bezpłatnie. Statkiem zainteresowały się już Brazylia i Filipiny.

PIECUCH WINNY

Pięć lat trwał proces przeciwko autorowi książki „Akcje specjalne”, którą poczuli się zniesławione uczestniczki Batalionu Kobiecego im. E. Plater, utworzonego w 1943 r. w Sielcach. Henryk Piecuch nazwał je w swej książce nie platerówkami, lecz platerankami, co – przez skojarzenie z markietankami – sugerowało również usługi nie objęte regulaminem wojskowym. Pół roku więzienia z zawieszeniem dostał Piecuch za posądzenie platerówek, że nie wystarczała im miłość ojczyzny.



„Tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco, a tam gdzie to kretowisko, będzie stał mój bank”. Zdaniem prezydenta George'a W. Busha piosenka braci Gołców oddaje ambicje wspólne Polakom i Amerykanom. (Więcej o wizycie str. 10)



Podczas szczytu Unii Europejskiej i USA ulice Göteborga demolowali przeciwnicy globalizacji, kary śmierci, zieloni i lewacy. Policja używała właściwych sobie środków ekspresji.



Tyczka na molo. Konkurs zorganizowano w Sopocie po raz czternasty. Zwyciężyła Monika Pyrek – 4,30 m. Podobnie jak na festiwalu piosenki poziom zależy od punktu widzenia.



„Było dla mnie bolesne obserwować, jak marzenia Bułgarii zostały zastąpione biedą i desperacją” – mówił przed wyborami car Symeon III. Zjednał sobie ludzi, przemawiając do nich zapomnianym „językiem współczucia”.



Z egzekucji Timothy McVeigha (patrz „P” 2920) zrobiono w Stanach Zjednoczonych medialny cyrk. Odpowiedzią przeciwników kary śmierci było 168 minut ciszy przed gmachem więzienia.

ODCHUDZANIE AWS

Janusz Tomaszewski opuścił AWS. Były wicepremier, skonfliktowany z Marianem Krzaklewskim, a przez braci Kaczyńskich uznany za symbol „politycznego kapitalizmu”, wytknął liderom AWS, że poszli za bardzo na prawo. Życzy im jednak, aby zdobyli takie poparcie (34 proc.) jak wtedy, kiedy sam stał na czele sztabu wyborczego AWS.

WYCENA RZĄDU

Po wygranych wyborach premier Wielkiej Brytanii Tony Blair podniósł sobie o 40 proc. zarobki, które przed czterema laty obniżył o 41 proc. Obecnie dostanie miesięcznie równowartość 74 tys. zł, członkowie rządu – ok. 54 tys. Związki zawodowe przypominają premierowi, że obiecał doinwestować służbę zdrowia (pielęgniarki zarabiają średnio 7,3 tys. zł) i oświatę a nie własny gabinet.

ALE PLAMA!

Z zamieszczonego w Internecie raportu Centralnej Agencji Wywiadowczej wynika, że szefem AWS nie jest Jerzy Buzek, lecz Marek Kotlarski – też szef, ale gabinetu politycznego ministra transportu. Mimo że CIA uchodzi za dobrze poinformowaną, Kotlarski na razie nie słyszał, aby miał zastąpić premiera we władzach AWS.

SEZON NA BUBLA

Prokuratura zajęła się Leszkiem Buble. Były lider Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, kandydat Polskiej Partii Narodowej na prezydenta, wreszcie twórca Stowarzyszenia przeciw Antypolonizmowi specjalizuje się w wydawaniu antysemitkich broszur, w których m. in. przedstawia Żydów jako „element pasożytniczy i rozkładowy”. Tytuł ostatniej: „Strach być Polakiem”. Rzeczywiście...



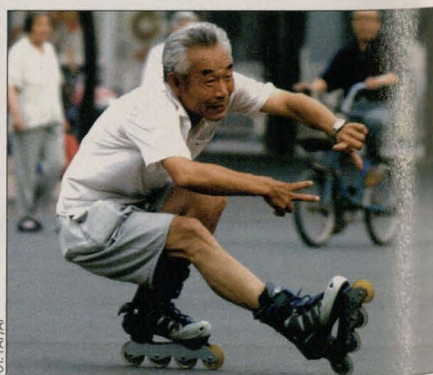
MYŚL TYGODNIA

Minister Ujazdowski kojarzy mi się bardziej z alejami niż z kulturą.

Jan Nowicki



Krakowska „Wisła” zwyciężyła warszawską „Legię” na jej stadionie, zapewniając sobie mistrzostwo Polski. Ponieważ stadion zdemolowali kibice, decyzją PZPN będzie zamknięty do odwołania. Na pewien czas zapanuje spokój. (O kibicach – na s. 57)



Chiny odchodzą od rekreacji zdalnie sterowanej. W parkach Pekinu pojawiły się badminton, rowery, Thai Chi oraz wrotkarze.



Droga pod specjalnym nadzorem. Marsz studentów palestyńskich protestujących przeciwko zamknięciu przez władze izraelskie drogi z Ramallah do wyższych uczelni na Zachodnim Brzegu.



Potentat medialny, Silvio Berlusconi, stanął na czele 59. od wojny włoskiego rządu, którego część właśnie prezentuje (z prawej – edukacja, z lewej – równouprawnienie). Premier zapowiada innowacje, wolność i dobrobyt dla wszystkich obywateli.



Powrót do granicy śmierci. 61 lat temu Stanisław Rygiel był pierwszym więźniem politycznym przywiezionym w pierwszym transporcie do obozu koncentracyjnego Auschwitz.



Po awanturze połączonej z mordobiciem rosyjska Duma przyjęła projekt kodeksu ziemskiego zezwalającego na kupno i sprzedaż działek budowlanych, przemysłowych oraz ogródków. Rząd chciał dać cudzoziemcom podobne prawo jak obywatelom Rosji, ale na razie nie przeszło.

BUSH miły uchu

Ci, którzy obawiali się amerykańskiego izolacjonizmu, mogą odetchnąć z ulgą. Ci, którzy spodziewali się wielkiej, nowej wizji, muszą jeszcze poczekać.



Prezzydent Stanów Zjednoczonych jest dobrym republikaninem. Duch jest ważniejszy od materii, zasady ważniejsze od interesów. Jest też wytrawnym amerykańskim politykiem. Wyczuwa nastrój audytorium, mówi ze swadą, nawiązuje kontakt ze słuchaczami i potrafi powiedzieć to, co miłe ich uchu. Gdyby po swoim warszawskim przemówieniu zgłosił swą kandydaturę na polskiego prezydenta, z pewnością zebrałby niemało głosów.

Tradycyjnie już wizyty amerykańskich prezydentów w Polsce przeista-

czają się w święto. Paru spokojnych demonstrantów przed Pałacem Prezydenckim nie zakłóciło tej atmosfery. Polacy kochają Amerykanów. I pragną wierzyć, że ci odpłacają im tym samym. Przemawiając w bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, prezydent Bush sugerował, że tak jest istotnie. Już dawno nie usłyszeliśmy tylu miłych słów na nasz temat.

Doskonale przygotowany przez swych doradców amerykański gość swobodnie krążył między bohaterami czasów wojny a rewolucją Solidarności, rolę Polski w Europie i przebudową naszego kraju, słowami piosenki popularnego zespołu muzycznego „tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco” a napisem na kościele Świętego Krzyża – „sursum corda” /w górę serca/. „Polacy przez długi czas sprawiali, że świat był uczciwy. W tym narodzie były chwile, zaliczane do przykładów największej odwagi w XX wieku”. Było też o naszym udziale w budowaniu Stanów Zjednoczonych, o Papieżu i o Elektryku z Gdańska.

Europa i Ameryka – partnerami

Była też wizja przyszłości. Ameryka była w Europie i w Europie pozostanie. Łączy nas nierozzerwalna więź duchowa, mamy ten sam system wartości. „Gdy Europa i Ameryka są podzielone – świat skłania się ku tragedii. A gdy Europa i Ameryka są partnerami, żaden problem ani tyrania nie dotrzymają nam pola”. Niby nic nowego, wielu amerykańskich prezydentów wyznawało tę dewizę.

Gdy jednak Bill Clinton opuszczał Białe Dobre, nad przyszłą polityką Stanów Zjednoczonych pojawiło się wiele znaków zapytania. Co z izolacjonizmem? Czy Amerykanie nie skoncentrują swego zainteresowania na innych rejonach świata? Czy globalna konkurencja nie podzieli Starożytności i Nowego Świata? George Bush te wątpliwości rozwił. Priorytety USA pozostają niezmiennie. I w generaliach, i w szczegółach. – Razem weszliśmy na Bałkany i razem z nich wyjdziemy – powiedział prezydent.

Także przyszłość pozostaje naszą wspólną sprawą. Ta przyszłość to otwarta Europa i otwarte jej wielkie struktury – NATO i Unia. Sojusz Północnoatlantyczny będzie rozszerzany i nikt, poza nim samym, nie będzie podejmował w tej sprawie decyzji. Kandydaci do Unii dostali silne wsparcie, kandydaci do NATO nadzieję, że już w przyszłym roku otrzymają stosowne zaproszenie. Ilu? Być może wszyscy, cała siódemka – jak przypuszcza

prof. Zbigniew Brzeziński. Nikt z listy nie został na razie wykreślony.

Wyciągnąć rękę do Ukrainy

Miejsce szczególne w wizji amerykańskiego prezydenta uzyskała Ukraina. „Europa, jaką budujemy, musi obejmować Ukrainę... Musimy wyciągnąć rękę do Ukrainy – co Polska już uczyniła z taką determinacją”. To bez wątpienia cieszy i wzmacnia tę linię polskiej polityki zagranicznej. Także wybór Warszawy jako miejsca zapowiedzi stanowiska, jakie George Bush zajmie w rozmowach z prezydentem Rosji, Władimirem Putinem, stanowi potwierdzenie roli Polski w polityce wschodniej Stanów Zjednoczonych.

O strategii bezpieczeństwa

Kwestie kontrowersyjne, budzące dziś w Europie wiele emocji, nie znalazły miejsca w warszawskim przemówieniu. Co nie oznacza, że nie poruszano ich podczas warszawskich rozmów. „Jesteśmy zgodni co do potrzeby przyjęcia kompleksowej strategii bezpieczeństwa, która obejmie ofensywne i defensywne systemy odstraszania, przewidywała kontynuację redukcji broni jądrowej i wzmacniała zarówno mechanizmy kontroli rozprzestrzeniania broni masowego rażenia i technologii rakietowych, jak i środki przeciwdziałające rozprzestrzenianiu” – napisali George Bush i Aleksander Kwaśniewski we wspólnym oświadczeniu.

To oczywiste nawiązanie do idei tarczy antyrakietowej i wyraźna deklaracja polskiego stanowiska w tej kwestii. Odmienne od stanowiska wielu krajów europejskich.

Także sprawy bardzo konkretne znalazły się w menu warszawskiej wizyty. „Jak wiadomo, polskie lotnictwo cywilne korzysta z amerykańskich samolotów, natomiast inwestycje amerykańskie w przemysł lotniczy są absolutnie nieadekwatne i słowo nieadekwatne używam jako bardzo delikatne” – powiedział wicepremier Janusz Steinhoff, odnosząc się tym sformułowaniem także do problemu zakupu przez Polskę samolotu wielozadaniowego. Amerykanie chcieliby, aby był nim F-16.

Warszawskie przemówienie prezydenta Busha zapowiadano jako najważniejsze w jego europejskiej podróży. Było w tym nieco przesady. Ale zwolennicy sformułowań „przełomowe” czy „historyczne” odnajdą w nim kilka sformułowań o charakterze fundamentalnym. To niemało. Ale zbyt mało, by uznać, że Waszyngton dysponuje już ostateczną wizją porządku świata XXI wieku. Skomplikowanego świata ery po zimnej wojnie.

ANDRZEJ JONAS

Obok siebie

Podczas wizyty w Atenach zapytano papieskiego rzecznika, czy przed Janem Pawłem II otwiera się droga do Moskwy. – Na razie jesteśmy w Grecji – odpowiedział Joaquin Navarro-Valls. Podobne pytanie można postawić przed papieską wizytą na Ukrainie.

Czy to, że papież odwiedzi Lwów i Kijów, oznacza, że na drodze do centrum rosyjskiego prawosławia nie ma przeszkód? Moskwa wcale nie wygląda na ustępliwą, patriarcha Aleksiej II nie jest skory do puszczenia w niepamięć przyczyn rozłamów w świecie chrześcijańskim. Odpowiedź na pytanie może być równie dyplomatyczna jak w Grecji, gdzie prawosławie znane było z wyjątkowo nieprzejednanej niechęci do katolicyzmu. Mimo to doszło do spotkania papieża z greckim patriarchą.

Nawet jeśli abp Chrystodoulos uległ naciskom rządu, jeśli nawet Jana Pawła II witano w Atenach nie jako głowę Kościoła, lecz państwa, jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet to wykraczało poza granice wyobraźni.

Zobaczenie papieża na areopagu było bardziej kwestią wiary i nadziei, bo nic innego nie mogło wynikać z aktualnego klimatu w stosunkach między Stolicą Apostolską a greckim patriarchatem prawosławnym. Wszelkie diagnozy na temat ich poprawy obciążone były dużym stopniem ryzyka. Nie da się bowiem w kilka miesięcy, a nawet kilka lat, usunąć przyczyn rozłamów, jaki powstał przed wiekami.

Umęczona wiara

Dziesięć lat temu Adam Bujak wydał album fotograficzny „Ruś. Tysiąc lat chrześcijaństwa”. Dokumentował nim odradzanie się życia duchowego wdeptanego przez „władzę rad” w rosyjską ziemię. Życia zapisanego na porażonych zmarszczkami ludzkich twarzach, powracającego do cerkwi i soborów, do tych mistycznych miejsc

przepełnionych świętym irracjonalizmem prawosławia.

„U schyłku XX wieku na Wschodzie odradza się chrześcijaństwo, które zjednoczone – w przyszłości może stać się potężnym Kościołem Europy i Azji” – pomarzył sobie autor książki, sam pewnie świadom, że pozornie najtrudniejszym do zrealizowania będzie nie odrodzenie, lecz właśnie zjednoczenie.

To było na długo przed pielgrzymkami Roku Jubileuszowego, w których Bujak towarzyszył Janowi Pawłowi II, gdy ten, na progu nowego tysiąclecia, podjął się trudu zbliżenia ku sobie podzielonego chrześcijańskiego świata.

Jan Paweł II, udając się na Ukrainę, zapuszcza się na obszary, których tradycyjnie strzegła rosyjska Cerkiew jako swej sfery oddziaływania duchowego. Prawosławie i Rosja stanowiły jedność od paru stuleci, Rosja i Polska to były dwie siły, które przez wieki walczyły o duszę Ukrainy. Za wojskami carów rosyjskich podążał krzyż prawosławny, za potęgą Rzeczypospolitej tacy sami wyznawcy Chrystusa tylko zorientowani na Rzym.

Wielki rozłam

W 1596 r. unia brzeska podzieliła wyznawców prawosławia na wschodnich ziemach Rzeczypospolitej. Część z nich – zachowując obrządek – uznała zwierzchnictwo papieża, reszta pozostała wierna swoim patriarchom. Cerkiew potraktowała grekokatolików jak odszczepieńców, społeczność katolicka też ich nie uznała za swoich, uważając unitów za podejrzany mutant prawosławia.

Dzisiejsza Ukraina była czymś w rodzaju wyznaniowego pograni-



Jan Paweł II wśród prawosławnych duchownych, Ateny 2001

cza. Od zachodu umacniało się chrześcijaństwo rzymskie i greckiego obrządku uznające zwierzchnictwo papieża, od wschodu – prawosławie, uważające się za prawdziwy Kościół wywodzący się z tradycji bizantyjskiej, w przeciwieństwie do rzymskiego, który zszedł na bezdroża „herezji”.

Z dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa prawie połowę trwa rozłam Wschodu z Zachodem, którego nie widać końca. Właściwie rozpoczął się jeszcze wcześniej, bo w IV w., kiedy sobór nicejski wywołał teologiczny spór o pochodzenie Ducha Świętego. W 1054 r. była to już otwarta schizma, w której Konstantynopol i Rzym stanowiły dwa, nie uznające się wzajemnie, ośrodki władzy chrześcijańskiego świata. Chrześcijaństwo musiało czekać do 1965 r., aby papież Paweł VI i patriarcha Wschodu, Atenagoras, zdjęli wzajemne ekskomuniki, którymi obrzucili się w XI w. ich poprzednicy.

Czekanie na odwilż

Cerkiew ruska początkowo nie przyjęła do wiadomości decyzji patriarchatu Konstantynopola o zerwaniu z Rzymem. W pierwszych trzech stuleciach w Kijowie podejmowano wysiłki zmierzające do podtrzymania jedności. Dopiero przeniesienie centrum życia religijnego na tereny Rusi Moskiewskiej stworzyło warunki do

nieprzyjaznego Zachodowi, bizantyjsko-ruskiego prawosławia.

W 1988 r., kiedy obchodzono w Kijowie Wielki Jubileusz Tysiąclecia, Jan Paweł II wysłał dwa odrębne listy apostolskie do Rosjan i Ukraińców – prawosławnych i katolików. Przetarta została droga dla dalszych kontaktów, coraz liczniejsze stały się wyjazdy katolickich duchownych z Polski do pracy duszpasterskiej za wschodnią granicę. Patriarchat moskiewski nie patrzył obojętnie ani na aktywność katolicyzmu, ani na działalność unitów, których traktuje nie od dziś trochę jak „piątą kolumnę” Watykanu.

Władze na Kremlu od kilku lat zabiegają o przyjazd papieża do Rosji, ale politycy muszą się liczyć z tym, co na ten sam temat ma do powiedzenia patriarcha Moskwy i Wszechrusi. Aleksiej II natomiast jest ostrożny, bo wie, jakie tłumy towarzyszą na świecie wizytom Jana Pawła II i jak to sprzyja pozyskiwaniu nowych wiernych. Zdaje sobie również sprawę, że krytyczny wobec wielu zjawisk współczesnej cywilizacji zachodniej papież jest jednak człowiekiem przez nią ukształtowanym.

Dlatego wizyta papieża na Ukrainie ma odpowiedzieć na pytanie, czy w zbliżeniu z Zachodem Cerkiew pójdzie śladem polityków, czy też nastąpi ocieplenie, lecz będzie zbyt małe do stopienia lodów. (JP)

Okiem przeciwnika

Komitety wyborcze nie chcą ujawniać haseł, pod którymi będą prowadzić kampanię. Namówiliśmy jednak kilku polityków, aby zaprogramowali kampanię bezpośredniego przeciwnika.

Naszą prośbę Andrzej Lepper wcielił się na chwilę w szefa sztabu wyborczego Unii Wolności, przedstawiciel SLD udzielał rad Platformie Obywatelskiej, a Donald Tusk z Platformy radził PSL-owi. Według zgodnych zapowiedzi prawdziwe hasła i strategię wyborcze partie ujawnią najwcześniej tuż przed wakacjami.

Geremek disco

Unia Wolności znalazła się w sondażowym dołku. O radę dla niej poprosiliśmy przewodniczącego Samoobrony, która przeszła odwrotną drogę i jest o krok od wejścia do Sejmu.

- Jako szef sztabu wyborczego UW skoncentrowałbym się na pokazaniu, jaki udział miała Unia we wspieraniu czterech wielkich reform - mówi Andrzej Lepper. - Podkreślałbym, ile fundacji powołała Unia i przedstawiałbym Balcerowicza jako człowieka wielce zasłużonego dla kraju. Sposobem pozbycia się opinii „partii profesorskiej” może być sięgnięcie po folklor. W Nysie Bronisław Geremek tańczył na scenie i to jest chyba właściwy kierunek rozwoju tej kampanii.

Zamiana miejsc

Unia Wolności ma dość własnych problemów, dlatego tej partii przypadło zadanie

pozornie najłatwiejsze: podzielić się kilkoma dobrymi radami z niekwestionowanym liderem sondaży - SLD. W roli konsultanta wystąpił Andrzej Potocki, rzecznik Unii.

- Obejmując stanowisko szefa kampanii SLD, zacząłbym od zmiany nazwy partii, bo obecna budzi marne skojarzenia, nawet wśród zwolenników lewicy. Optymalna nowa nazwa powinna brzmieć „Unia Wolności”. Następnie pomyślałbym o zmianie lidera na kogoś wyższego i przystojniejszego. Do tej roli znakomicie nadawałby się idol kobiet Władysław Frasyniuk. Potem jeszcze tylko drobne korekty programowe i już po chwili mamy w sejmie UW z 35 proc. poparcia. Czy można sobie wyobrazić coś piękniejszego?

Andrzej Potocki ma też jednak poważniejsze uwagi pod adresem Sojuszu.

- SLD miało zawsze dość słabą wizualnie kampanię i ową zgrzebnościami odnosiło sukcesy. A przed tymi wyborami? Myślę, że dla dobra już nie samej partii, ale kraju, oczekiwałbym od nich więcej umia-

ru w czynieniu obietnic. Proponowany przez SLD budżet jest skrojony na miarę Stanów Zjednoczonych.

Operacja na Platformie

Najbliżej SLD plasuje się w sondażach Platforma Obywatelska. Co powinna zrobić, żeby dogonić Sojusz?

- Gdybym był szefem sztabu Platformy Obywatelskiej, chciałbym wykorzystać wizerunek nowości, rzecz bardzo cenną w polityce - deklaruje Michał Tober, rzecznik SLD i wschodząca gwiazda tej partii.

- Platforma jest młodym ugrupowaniem, ale należałoby dać do zrozumienia wyborcom, że również politycy PO są nowi, więc dużo energii w kampanii poświęciłbym na przekonywanie społeczeństwa, że marszałek Sejmu, wicemarszałek

Senatu oraz były kandydat na prezydenta to polityczni nowicjusze. Ci trzej znani liderzy to wielki kapitał Platformy, ale nie od rzeczy byłby, podobny do zastosowanego w SLD, 30-procentowy parytet dla kobiet. Dlatego jako szef sztabu rekomendowałbym jednemu z trzech panów operację zmiany płci. Wielką zaletą PO jest też brak programu - dzięki temu Platforma nie zdążyła się nikomu narazić. Byłoby idealnie, gdyby taki stan udało się utrzymać do wyborów.

Michał Tober dał się także namówić na poważniejsze sugestie.

- Uważam, że Platforma powinna konsekwentnie wdrażać rozwiązania dla ludzi bogatych, bo ma taki elektorat, oraz wmawiać, że instytucja partii jest w Polsce coraz mniej lubiana i uprawiać pewien rodzaj populizmu antypartyjnego. Mówiąc to ostatnie, źle się czuję - nie pasuje mi kostium konserwatywnego liberała.

Trzy hasła dla PSL

Donald Tusk, jeden z trzech liderów Platformy, wystąpił w roli doradcy Polskiego Stronnictwa Ludowego, które ma nie najgorsze notowania w rankingach przedwyborczych.

- Kampanię Stronnictwa poprowadziłbym pod trzema hasłami - mówi wicemarszałek Senatu. - Po pierwsze: sprawiedliwe państwo, czyli zwolnić mieszkańców wsi z podatków, podwyższyć je za to mieszkańcom. Po drugie: zdrowa gospodarka - rozbudować holdingi. Po utworzeniu Polskiego Cukru powołamy do życia Polską Mandarynkę, Polskiego Banana i Polską Wanilię. I po trzecie: interes narodowy pod ochroną - wprowadzimy całkowity zakaz importu czegokolwiek przez najbliższe osiemnaście lat.

Na serio Donald Tusk radziłby Stronnictwu zaoferować coś mieszkańcom terenów nierolniczych. - W ogóle mam wrażenie, że PSL usiłuje prześcignąć SLD w swojej lewicowości - konstatuje wicemarszałek.

Małe piwo premiera

Widocznie postawienie na lewicowość i wieś się sprawdza, bo w wielu sondażach PSL wyprzedza różnicą kilku procent rządzącą AWS. Dlatego też rady dla Akcji poszerzonej o ROP udziela członek władz PSL, poseł Stanisław Żelichowski:

- Na początku musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, w jakim miejscu znajduje się AWS. Otóż premier Buzek realizuje starą zasadę trzech kopert. Przypomnijmy - koperty te przywódcy otwierają w sytuacjach kryzysowych. W pierwszej znajduje się rada „Zwal winę na poprzedników”, w drugiej „Zrób reformy”,

a w trzeciej „Pakuj się i przygotuj trzy koperty dla następcy”. Ale ja jestem optymistą. AWS powinna wystąpić do prezydenta o przeniesienie wyborów na 24 grudnia, kiedy to zwierzaki mówią ludzkim głosem - może atmosfera udzieli się politykom prawicy i się dogadają. Poza tym z sondaży jasno wynika, że im dłużej AWS rządzi, tym gorsze ma notowania, wobec tego sugerowałbym urlopowanie całej Rady Ministrów do dnia wyborów. Gdyby AWS zastosowała się do tych rad, może uzyskać maksymalny możliwy dla siebie wynik - tyle procent, ile ma małe piwo.

Poseł Żelichowski dostrzega jednak jeszcze jedną szansę dla prawicy.

- W exposé premier mówił, że wszystkim dołoży z budżetu. Nie dołożył, to teraz wszyscy dokładają jemu. Może gdyby wystąpił w telewizji i poważnie przeprosił za błędy...

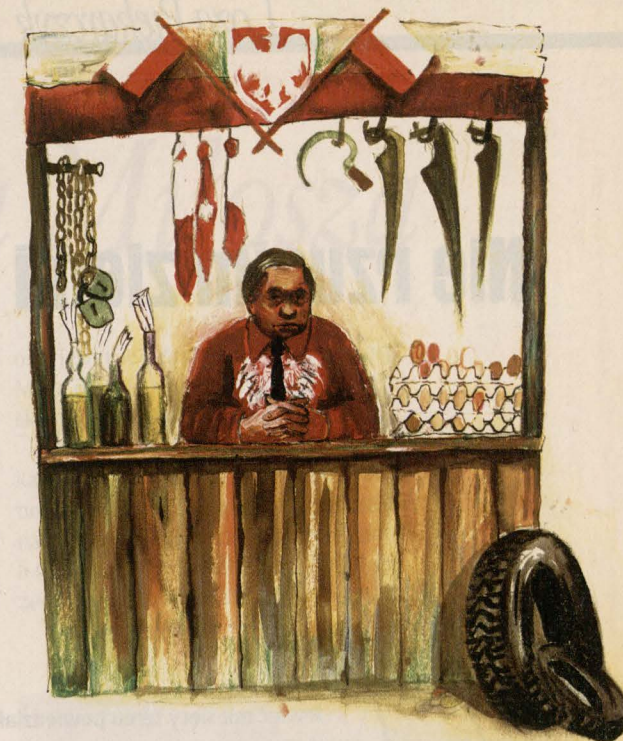
Samoobrona z niebytu fal

I wreszcie Samoobrona. Ponieważ prawice mamy w tej chwili dwie, w roli doradcy Samoobrony wystąpił przedstawiciel tej drugiej - poseł Stefan Niesiołowski, jeden z liderów Przymierza Prawicy, które w wyborach wystąpi (najprawdopodobniej) w koalicji z ugrupowaniem braci Kaczyńskich.

- W kontekście niedawno zawartego porozumienia Samoobrony z PPS Piotra Ikonowicza, które sami twórcy nazwali sojuszem robotniczo-chłopskim, przypomniły mi się słowa jednej z piosenek Agnieszki Osieckiej: „Chłoporobotnik i boa grzechotnik z niebytu wynurza się fal”. Tak więc na miejscu szefa kampanii wyborczej Samoobrony chciałbym przede wszystkim z niebytu wynurzyć się fal.

Trudno ocenić, czy któraś z powyższych sugestii zainteresuje adresatów. Jednego możemy być pewni - niezależnie od tego, jakim wynikiem zakończą się wybory, w naszym parlamencie nie zabraknie ludzi z poczuciem humoru. Miejmy tylko nadzieję, że równie udanie potrafią się śmiać z samych siebie.

JAKUB T. JANICKI
RYS. OLAF CIRUT



Nie rzucim ziemi



FOT. BOGDAN KRZEL

Dziewięć miesięcy temu powiedziałem sobie: spadam z miejsca „na marginesie”, ale przecież nie po to spadałem stamtąd, aby wylądować w łoży. Dziewięć miesięcy to dobrze ukształtowana ciąża, powinno się narodzić coś nowego. Tymczasem czuję się jak stary, toruński piernik zawinięty w celofan i przewiązany wstążeczką. Dlatego

przyznam, że czuję się trochę nieswojo.

Chodzi przede wszystkim o otoczenie. Łoża działa na mnie deprymująco. Żeby to jeszcze była jakaś łoża wolnomularska, można by powiedzieć: no, miejsce warte grzechu, towarzystwo także niczego sobie. Tymczasem to jest łoża honorowa, może nawet bardziej teatralna niż honorowa, bo to przecież w teatralnych dawniej zajmowało się miejsca nie dlatego, żeby oglądać przedstawienie, ale po to, aby samemu być oglądanym. Tam, na scenie, aktorzy wychodzili z siebie, aby zainteresować publiczność, gdy ona tymczasem zajęta była podglądaniem, kto z kim w tych łożach przesiaduje. Kogóż, patrzcie, posadzili tym razem w łoży? Kogóż z marginesu.

Nic dziwnego – do pierwszych rzędów nie od dziś pcha się element podejrzany.

Podczas negocjacji z Unią Europejską w Luksemburgu szef naszej dyplomacji bronił polskiej strategii twardych rozmów. Tak twarde, że grożą niemal obstrukcją. Ministra należy zrozumieć, wybory za kilka miesięcy, a on – podobnie jak polscy negocjatorzy – ma upewnić partnerów z Unii, że 18-letniego moratorium na zakup ziemi przez obcych Polska bronić będzie jak niepodległości. Tak samo jak broniliśmy Jasnej Góry przed Szwedami, reduktę Ordona przed Moskalami i zdobyczy reformy rolnej przed kolektywizacją. Tak nam dopomóż Michale Drzymała, niech żyje Jego Wóz!

Wyobraźmy sobie kogoś, komu wciśnięto do ręki granat z odbezpieczoną zawleczką, ostrzegając, że jak upuści, to pójdzie do nie-

ba w kawałkach. Podobny psychiczny komfort mają polscy negocjatorzy. Dzięki temu drepczą w miejscu z duszą na ramieniu, ale za to z godnością. Boso, ale w ostrogach. Dyplomaci zachodni, słysząc o tych 18 latach, pukają się dyskretnie w czoła, ale nas to pukanie ani grzeje, ani ziębi. Im głośniejsze pukanie, tym bardziej udajemy, że nas w środku nie ma.

„Jako demokracja musimy słuchać tego, co mówią ludzie” – tłumaczy minister Bartoszewski. A co robić, kiedy ludzie gadają od rzeczy?

A może to wcale nie mówią ludzie w masie, tylko ten czy inny wyskoczy jak Filip z konopi, pokrzyknie: uważaj narodzie, bo cię wykopią wraz z ziemią. Zaraz po wyborach da uszy po sobie, wcześniej jednak zwoła pospolite ruszenie, pieśń na głowami popłynię: „Nie rzucim ziemi”.

Tymczasem polska ziemia marnieje, perzem zarasta, całe połacie leżą odłogiem, wystarczy przejechać się po kraju, niekoniecznie w ramach kampanii wyborczej. Poza tym ziemię obcy może kupić tylko wtedy, gdy znajdą się chętni, aby mu ją sprzedać. Skąd więc obawy o masową wyprzedaż, skoro lud, taki

ponoć w patriotyzmie zawzięty, że zagryzie obcego, a ziemi pradiadów nie odda?

O kimś, co sam nie zje, a drugiemu nie da, mówią, że jest jak pies ogrodnika. Jeżdżą podczas wakacji po tych naszych ziemiach jacyś Niemcy czy Holendrzy, patrzą na te nieużytki, co niby bezpieczne, a jednak państwowe. Patrzą i zastanawiają się nad złożonością natury polskiej, zdolnej iść na barykady w obronie ziemi, która marnieje w oczach. Niech kto wykupi te ugory, aby nie dostały się we wraże, obce ręce, niech je zagospodaruje, niech nie gada, tylko uprawia ziemię.

Kto? – nie wiem. Może Rodzina Radia Maryja? Może ci, którzy najgłośniej krzyczą, że „nie oddamy”.

JERZY PIEKARCZYK

**Do pierwszych
rzędów
nie od dziś pcha
się element
podejrzany.**

90. urodziny Czesława Miłosza

**„A przecie nie mało się
napodróżowałem”.
Tak zaczyna się „Abecadło”
– wspomnieniowy alfabet
Czesława Miłosza.
Ale ten wędrujący po świecie
poeta nie nabył cech kosmopolity.
Wciąż, na każdym kroku,
towarzyszy mu „nieśmiałość
prowincjusza”.**

Wilno, Paryż, Berkeley – czy tylko do tych miejsc należy Czesław Miłosz? „Życia w Polsce nie umiałbym sobie już wyobrazić – napisał w 1987 roku – mimo że odwiedziłem ją w okresie względnej swobody za Solidarności”. Od tamtego czasu przyjeżdża jednak do kraju prawie każdego roku na kilkumiesięczny pobyt.

W służbie poezji i nie tylko

Trudno uwierzyć, ale Miłosz, który od roku 1946 pełnił funkcję attaché kulturalnego Ambasady Polskiej w USA, przez całe lata pozostawał jakby na uboczu kulturalnego życia Ameryki. Jest członkiem Amerykańskiej Akademii Literatury, choć pierwszy tom jego poezji ukazał się w Ameryce dopiero w 1973 roku. Najpierw wydawał po angielsku antologie poetów polskich, tłumaczył wiersze Zbigniewa Herberta i dopiero wtedy przyszedł czas na własne wiersze. Rozgłos dotyczący jego nazwiska kształtował się więc etapami: kiedy jako dyplomata PRL podjął decyzję o pozostaniu za granicą, kiedy wydał „Zniewolony umysł” oraz kiedy w roku 1980 otrzymał Nagrodę Nobla.

„Zniewolony umysł” przyjął się w Ameryce jako symbol antykomunistycznej mody. Sam Miłosz – wbrew swej woli – zaczął być uważany za pisarza politycznego, socjopolitycznego eseistę. Dziwne to, zwłaszcza w zestawieniu z tym, co ma do powiedzenia Robert Waggen: „Jego żywot cechuje unikanie zniewolenia i jakiegokolwiek politycznej presji”.

Maria Zmarz-Koczanowicz, reżyserka filmu dokumentalnego o amerykańskich losach Miłosza, pokazując historię odbioru jego wierszy i polskiej poezji w USA, powtarza za poetą Robertem Hassem: „W owym czasie poezja amerykańska w reakcji przeciwko wielkiej powadze modernistów Eliota i Pounda stała się codzienna, głupawa i lekka”. Być może poezji amerykańskiej ciążył brak czystego i jasnego głosu, który tłumaczyłby ohydę wieku XX. Tak więc „na scenę wkracza Miłosz, który się nie wygłupia i traktuje rolę poety poważnie”.

Naturalista w normalnej knajpie

Chciał być przyrodnikiem, został pisarzem: „Natura nie zna dobra ani zła, nie zna wartości. Ale my, ludzie, znamy. Tutaj jest granica między nami a naturą”. Autor m.in. „Traktatu moralnego”, „Traktatu poetyckiego”, wielu tomów poezji („Trzy zimy”, „Miasto bez imienia”, „To”), powieści („Zdobycie władzy” i „Dolina Issy”), eseistyki (m.in. „Rodzinna Europa”), tłumaczeń ksiąg biblijnych, outsider i samotnik – „poeta niezłomny”, „ciekawym przykładem milczka, który w środku jest gadułą” – jak określiła go Renata Gorczyńska, przez wiele lat sekretarka Noblisty. Wspomina ona przyjazd Miłosza do Nowego Jorku w 1978 roku na kilka odczytów. Wydawca nowojorskiego „Nowego Dziennika”, Bolesław Wierzbiański, pragnąc go odpowiednio uczcić, zorganizował spotkanie w jednej z najelegantszych restauracji. Miłosz był niezadowolony – oświadczył, że w takich „wypimpuszonych” restauracjach nie jada i zmusił gości do przeniesienia się do „normalnej” knajpy.

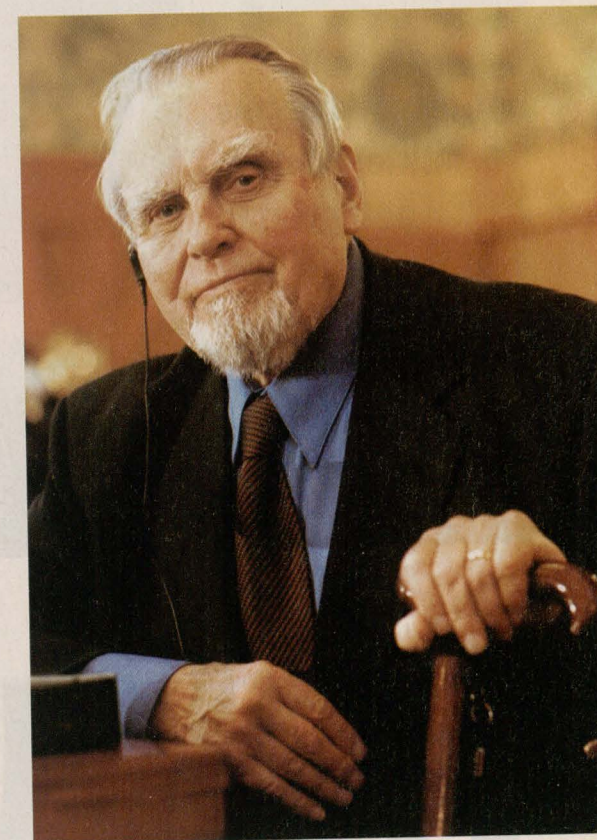
Miłosz krakowski

Znana jest też anegdota, gdy asystentka poety zapisywała go do Biblioteki Jagiellońskiej: „Ten pan tu nie studiuje!” – zdziwiła się jedna z pracownic. „Nie. Jest tylko doktorem honoris causa tego uniwersytetu”.

Lubi młodzież. Nie przeraża go pokoleniowa przepaść – to doświadczenie amerykańskie. Młodzi ludzie niekoniecznie oznaczają „cywilizację obrazkową”: „Nie wierzę w koniec poezji. Będzie

ona jedynie przybierać różne formy”. Może dlatego w gabinecie jego kalifornijskiego domu stoi laptop.

W Polsce, w swoim krakowskim mieszkaniu Miłosz z upodobaniem sęczy bourbona i ogląda „Złotopolskich”. W trakcie nadawania kolejnego odcinka tej telenoweli telefon nigdy nie zadzwoni. Wiadomo, że wtedy Noblisty nie ma dla nikogo. (JT)



FOT. T. ZUREK/AG

Z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin – niewyczerpanych sił życiowych, niezmiennej umiejętności zachwyty nad światem i wielu pięknych wierszy życzy swemu niedysyjszemu Autorowi

redakcja „Przekroju”

TEKST JERZY PIEKARCZYK
ZDJĘCIA JAN ZYCH

**Głosy wyborców
łatwiej zdobyć,
potrzásając
kluczami od cel,
choć więzienie jest
kosztownym
sposobem
zapewnienia ładu
i porządku.**



Tłok w pudle

Z daleka widać, że to nie dom wy-poczynkowy i że architekt się starał, aby jego dzieło stało się chlubą Radomia. Ale czy może być wizytówką miasta kryminal, choćby najnowocześniejszy?

Okoliczni mieszkańcy mówią o nim „Chicago”. Wzienie powstało, aby każdy, kogo w nim posadzają, mógł rozmyślać o wolności

i jednocześnie za stratę czasu uznać myślenie o ucieczce. Wszystkie zdobycze techniki służą temu, aby każdy, za kim zamknie się brama więzienia na Koziej Górcie, miał pewność, że wolny będzie dopiero wtedy, kiedy odsiedzi wyrok.

– Radom nie będzie twierdzą, w której zgromadzimy elitę przestępców, ale zakładem typu za-

mkniętego o najwyższym stopniu chronienia – zapowiedział dyrektor generalny Służby Więziennej, gen. Włodzimierz Markiewicz, kiedy 2,5 roku temu oddawano do użytku ten najnowocześniejszy w Polsce areszt śledczy.

Już wtedy było wiadomo, że wszystko, co służy bezpieczeństwu i pilnowaniu, jest zgodne

z europejskimi standardami. Najtrudniejsze do zniesienia będzie tylko dla psychiki człowieka.

Wejście w tunel

Osadzony ma być szczelnie odizolowany od świata zewnętrznego, ma mieć godziwe warunki pobytu i nie może chodzić głodny.

Niech jednak nikogo nie myli ha-

„Chicago” – chluba Radomia – najnowocześniejsze więzienie w Polsce

ła sportowa, z której mogą korzystać więźniowie, ani siłownię. Niech nie zwodzą glazury, terakota i telewizor w celi. Najtrudniej człowiekowi znieść to, że sam nie może zamknąć i otworzyć drzwi, tylko robj to za niego oddziałowy.

Wszystkie ciągi komunikacyjne znajdują się pod ziemią. Taka jest ogólnoswiatowa tendencja. We Włoszech, jeśli nie ma przejść podziemnych, osadzonych wozi się samochodem, aby ograniczyć do minimum ruch na zewnątrz, bo on sprawia, że zbyt często myśli się o ucieczce. Ludzie przemyskają więc podziemnymi korytarzami jak szczury.

Niech nikogo nie zwodzi pastelowa kolorystyka ścian radom-

skiego więzienia. Kiedy raz wejdzie się w tunel, do końca wyroku można nie wyjść na otwartą przestrzeń, gdyż na boisko sportowe wstęp mają tylko ci, których nie zakwalifikowano do kategorii niebezpiecznych.

Wszędzie telewizyjny podgląd – z wyjątkiem cel. Tej przestrzeni życiowej nie ma prawa podpatrywać kamera telewizyjna, bo to nie jest „reality show – Big Brother”.

Kraty i beton

Z concertiny zrobiono wewnętrzne ogrodzenie. Jej sploty widać wszędzie – na tle nieba i w cieniu muru. Zwykłą siatkę wystarczy przeciąć w dwóch miejscach, rozpruć, wyciągając drut. Z concerti-

ny nie da się wyciągnąć żadnego drutu. Jest tak spleciona, że chcąc ją pokonać, trzeba by ją przeciąć w co najmniej 20 miejscach. Druty concertiny pokrywają ostre haczyki, wygięte na przemian w lewo i w prawo, i one właśnie przy każdym ruchu zagłębiają się w ciało.

Concertinę pierwszy raz wyprodukowano w RPA, ale potem dźwięczna nazwa spodobała się wszędzie. Przekonano się, że to nowa jakość. Coś więcej niż tradycyjna siatka czy drut kolczasty.

Kraty oddzielające poszczególne sektory korytarzy rozsuwają się po zbliżeniu karty magnetycznej. Wszędzie elektronika. Na Zachodzie zaczęto ją wprowadzać,

kiedy zabrakło chętnych do pracy w więzieniach. W Polsce nie ma już takich problemów, ale na przełomie lat 80. i 90. w okręgu warszawskim było 30 proc. wakatów, bo nikogo nie dało się namówić, aby został „klawiszem”.

Wiara, że człowieka zastąpi elektronika i wszystko za niego załatwi, jest złudna. Na Węgrzech wprowadzono systemy elektroniczne w 1993 r., a mają problemy, bo liczba ucieczek z więzień zwiększyła się 2-, 3-krotnie.

Drzwi do cel przebadano pod względem wytrzymałości. Podczas buntów w więzieniach przed 12 laty właśnie drzwi najczęściej ustępowały pod uderzeniami łózek.



Sploty concertiny widać wszędzie – nie da się jej przeciąć

Kraty w oknach zrobiono ze szwedzkiej, samohartującej się stali. Przepiłowanie jednego pręta trwa kilka godzin, w dodatku trzeba zużyć kilkanaście brzeszczotów. Po 20 minutach piłowania można dać sobie radę ze zwykłą kratą, na samohartującej pojawia się zaledwie rysa.

Mur wykonano z cegły wzmocnionej betonem. Gdyby więzienie budowano teraz, ściany odlano by pewnie z litego betonu, jak na Zachodzie, bo wtedy nie ma już żadnej szansy przebicia. Ale nawet teraz ta szansa jest poza zasięgiem wyobraźni.

Okna w celach obudowano tak, aby z jednego nie można było patrzeć w inne. Widać tylko skrawek nieba. Ściany spacernika z surowego betonu mają 3,5 metra wysokości. Około 30 mkw. powierzchni na codzienne, godzinne chodzenie wokół ławki, przy której leżą niedopałki papierosów. Zamiast sufi-

tu, niebo za ochronną siatką, między niebem a ziemią wszędybyłskie oczy kamer i strażników.

Z aresztu w Wadowicach przestępcy uciekli właśnie ze spacernika. Stąd nie ma jak uciec. W szwedzkich więzieniach betonowe ściany spacerników obłożono heblowanym drewnem. Nie chodziło o względy estetyczne. Stwierdzono, że po gładkim drewnie trudniej się wspinać.

Przeżyć czy przetrwać

Kiedy budowano areszt w Radomiu, oglądano, jak to jest gdzie indziej. W Danii, Szwecji, Francji, Finlandii i Niemczech. Konkurs rozpisano znacznie wcześniej, w latach 70.

Miał to być klasyczny kryminał dla 1400 osadzonych w pięcio-, sześciuosobowych celach. W latach 1986-1987 zdołano wybudować mur ochronny, kotłownię, magazyny, schron i fundamenty budynku za-

kwaterowania. Potem rząd wstrzymał inwestycję.

W 1991 r. prace wznowiono, ale przyjęcie do Rady Europy zobowiązało Polskę do zmiany norm i standardów w więziennictwie. W poprawionym projekcie cele najwyższej trzyosobowe gwarantowały po 3 mkw. powierzchni mieszkalnej na jednego osadzonego. Urządzenia sanitarne wydzielono z powierzchni cel. Zmniejszenie cel miało pozwolić, zgodnie z zaleceniami Rady Europy, na pojedyncze kwaterowanie osadzonych. W dzisiejszych realiach te zalecenia to bajka, przyszłość bliżej nie określona. Zagęszczenie więzień sprawiło, że do trzyosobowych cel w Radomiu trzeba było wstawić dodatkowe łóżko.

Po 12 latach, wydając 68,5 mln zł, ukończono obiekt na miarę XXI w. Wydawał się wtedy najwygodniejszym więzieniem w Polsce, o ile określenie „wygodny” jest tutaj na miejscu. Na pewno jest najnowocześniejszym i nie ma sensu porównywać warunków w nim panujących z tym, co było w dawnym XVII-wiecznym klasztorze przy ul. Malczewskiego, gdzie mieścił się Areszt Śledczy w Radomiu, zanim nie zmienił adresu.

- Nie istnieje takie pojęcie jak ciężkie więzienie - twierdzi płk Grzegorz Dobrański, szef Okręgowego Inspektoratu Służb Więziennych w Warszawie.

Przed wojną tak mówiono o więzieniu świętokrzyskim, gdzie nawet funkcjonariuszy wymieniano co trzy lata - zapadali na gruźlicę albo reumatyzm. W takich warunkach więzień mógł przeżyć nie dłużej niż 6-7 lat. Kiedy więc Dobrański słyszy opinie, że więźniowie powinni „odczuć karę”, pyta, co to znaczy. Ma być bity, spać na gołych deskach, a może chodzić po tłuczonym szkle, czy umierać na gruźlicę, jak kiedyś na „Świętym Krzyżu”?

- Może nasze prawo jest źle skonstruowane - mówi Dobrański - i oskarżony ma więcej praw niż pokrzywdzony, ale każdy musi się liczyć z tym, że może trafić do aresztu czy więzienia, bo różnie się w życiu układa. A wtedy zmienia się poglądy. Zamknąć człowieka jest bardzo prosto, on może

siedzieć 5, 10, 15 lat, ale w końcu wyjdzie, i co potem? Jeżeli tutaj, w więzieniu, będzie traktowany jak bydło, żyjąc w warunkach przypominających ubiegłe stulecie, to on po wyjściu społeczeństwo traktuje podobnie.

Siedzi w Polsce 75 tys. ludzi, co roku stan wymienia się prawie dwukrotnie. Rocznie mamy w Polsce około 200 tys. ludzi „zarażonych więzieniem”. Dobrański pracuje prawie 30 lat. Zaczynał jako wychowawca w Białoleścu, na początku lat 70. Wtedy w polskich więzieniach i aresztach siedziało 130 tys. ludzi, aż skończyło się buntami w 1989 r.

- W latach 90. doprowadziliśmy do sytuacji absurdu, że więzień czuje się dobrze w więzieniu. A więzienie nie temu ma służyć, aby się człowiek czuł jak w drugim domu - tak mi mówił niedawno ppłk Andrzej Popiołek, szef Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej z Krakowa.

W latach 80. uciekało w Polsce 20-30 więźniów rocznie, aktualnie 3-4. Czy to, że mniej ich ucieka, świadczy o tym, że polubili więzienie?

Zdania o możliwości resocjalizacji są podzielone. Zgoda panuje co do jednego: problem nie jest w tym, czy zakład karny poradzi sobie z więźniem, ale czy on sam po wyjściu na wolność poradzi sobie z życiem? Jeśli on sobie nie poradzi i jeśli jemu nie pomogą, wróci do więzienia na pewno.

Kosztowne głosy wyborców

W Danii i Szwecji popełnia się więcej przestępstw niż w Polsce. Patrząc statystycznie, Polska powinna być bezpiecznym krajem i masowe wsadzanie do więzień nie ma uzasadnienia. Jaki sens trzymać na państwowym wickie 4,5 tys. skazanych za niezapłacenie alimentów?

Wsadzanie do kryminału jest jednak tendencją światową. Zaczęło się w Stanach Zjednoczonych. Ludzie siedzą za gwałty, zbrodnie, ale także za drobne kradzieże. Im więcej ich siedzi, tym gęściej się robi w więzieniach.

O probacji mówi się od dziesięciu lat bez mała, ale nic z tego nie wynika. Probacja polega na od-

działaniu penitencjarnym poza więzieniem, coś takiego nie jest hasłem chwytliwym. Co innego - zamknąć.

Przed wyborami politycy nie będą mówić o robotach publicznych dla skazanych, o koloniach rolnych, które przed wojną produkowały żywność tylko dla potrzeb więziennictwa, nie wspomną ani słowa o tym, że probacja kosztuje kilkakrotnie mniej niż pobyt w więzieniu. Głosy wyborców łatwiej zdobyć, potrząsając kluczami od cel, choć więzienie jest kosztownym sposobem zapewnienia ładu i porządku.

Utrzymanie więźnia z personelem to wydatek miesięczny rzędu 1500-1600 zł, 70 proc. tych kosztów pochłaniają płace personelu. Bezpośrednie utrzymanie więźnia to 300-400 zł. 1050 osadzonych na radomskiej Koziej Górcie to prawie o 200 więcej niż przewidywano. 200 pracowników ochrony to też poniżej standardu trzech osadzonych na jednego strażnika, choć na Zachodzie proporcje są 1:1, a we włoskich więzieniach jest więcej strażników niż osadzonych. Przeludnienie oznacza również, że wychowawca nie ma pod sobą 25-30 osób, ale grupy 60-, a nawet 100-osobowe.

Przeludnienie więzień obniża skuteczność resocjalizacji, nie prowadzi jeszcze do napięć, ale na finansach już się odbija.

- Dostaliśmy pieniądze na utrzymanie pięćdziesięciu kilku tysięcy osadzonych, a jest ich 20 tys. więcej - mówi płk Dobrański. Fakt, którego żadnymi słowami się nie zagada.

W Radomiu powstaje oddział dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Coś jakby więzienie w więzieniu, przygotowywane z myślą o przestępczości zorganizowanej. Włosi rozprawili się z mafią, zaostrzając warunki odbywania kary. Gangsterów wyizolowano zupełnie od świata zewnętrznego w oddziałach szczególnie chronionych. W Radomiu może nie wszystko będzie tak jak we Włoszech, ale na pewno będzie podobnie.

JERZY PIEKARCZYK



Ściany spacernika są z surowego betonu i mają 3,5 metra wysokości



Kiedy raz wejdzie się w tunel, do końca wyroku można nie wyjść na otwartą przestrzeń

CORAZ CIAŚNIEJ

Ze 155 polskich więzień i aresztów 96 zbudowano przed I wojną światową, 40 było kiedyś klasztorami, zamkami lub koszarami. Prawie sto wymaga modernizacji.

Po II wojnie światowej zbudowano tylko kilka więzień: w Białoleścu (1959-1963), Łodzi, Kielcach (lata 70.) i w Radomiu. Niebawem dojdzie Piotrków.

W zakładach karnych i aresztach jest 65 tys. miejsc, liczba wszystkich osadzonych przekroczyła 75 tys. W Polsce ok. 160 osadzonych przypada na 100 tys. mieszkańców. Według norm europejskich - 80 na 100 tys. W Stanach Zjednoczonych na taką samą liczbę mieszkańców przypada 1200 osób osadzonych.

Miejsc brakuje przede wszystkim w aresztach śledczych. W krakowskim przy ul. Montelupich jest o 182 osadzonych więcej niż przewidują normy, w Kielcach zagęszczenie przekroczyło 122 proc., w Tarnowie - 119 proc., w Wadowicach - 118 proc., w więzieniu w Nowym Wiśniczu - 114 proc. W Mysłowicach, Jastrzębiu i katowickim areszcie wskaźnik zagęszczenia przekroczył 150 proc. W Białoleścu, projektowanej na 1200 osób, siedzi 1700.

Coraz częściej mówi się o adaptacji dla potrzeb więziennictwa obiektów nie przeznaczonych na ten cel, np. opuszczonych koszar, dla odsiadujących wyroki krótkoterminowe lub czekających na zwolnienie warunkowe.

Dyzio od ziemniaków

Kiedys rzeźbiłam. Ale nie miałam pracowni no i to była za ciężka praca dla mnie.



Julita Wójcik, rzeźbiarka z dyplomem gdańskiej ASP, w galeriach pokazuje prace zwykłej gospodyni domowej.

Julita nie gotuje obiadów, ale w lutym tego roku, w warszawskiej Zachęcie przez trzy i pół godziny obierała ziemniaki. 50 kg – tyle, ile waży. Tuż przed wernisażem kartofle się zgubiły. Przez pomyłkę trafiły do magazynu dzieł sztuki. Nie zdążyła obrać wszystkich, bo przyszła woźna i powiedziała, że zamyka galerię.

– Obierki tak malarsko ciekły mi z rąk, jak krople. W wielkiej sali ze zdobnymi sztukateriami, w fartuszkach, z kilkoma obieraczkami cięła ziemniaki na kawałki, bo to właściwie było rzeźbienie w ziemniakach.

– Wystąpiłam w szacownej galerii z czymś, co w wojsku robi się za karę – mówi Julita – a zrobiło się wydarzenie medialne. Jakiś fotoreporter wsadził mi aparat między nogi, żeby mieć lepsze ujęcie. Woźne wstydziły się pilnować sali, w której siedziałam. W Gdańsku jeden profesor przez te ziemniaki nazwał mnie „swawolny Dyzio”.

Bankiet na skwerku

W lipcu zeszłego roku Julita osiem godzin kłęcząc na trawniku w centrum Gdyni. Na 16 mkw. sadziła tysiąc aksamitek, pelargonii, żeniszków, starców i sałaty. Ułożyła rośliny w kształt kwiatka – takiego samego jak ten, który narysowała sobie na fartuchu i konewce. Ogródek miał być „odtrutką na

złe strony cywilizacji”, czyli żeby było ładniej. Najbardziej Julitę ucieszyła gospodyni z pobliskiego kościoła, która przybiegła pomóc jej obrywać zeschnięte kwiaty pelargonii. Poprosiła ogrodniczkę, żeby przed plebanią zrobiła z kwiatków portret jakiegoś świętego. Julita nagrała ogrodniczkę rozmowę z gosposią na wideo. Urządziła też na skwerku garden party z kiszonymi ogórkami, marchewką i winem z gąsiora.

– Bałam się, że nikt nie przyjdzie, a przyszli zupełnie obcy ludzie i było miło – mówi ogrodniczka. – Ogródek nie przetrwał. W tym roku miasto nie dało pieniędzy na sadzonki.

Teraz Julita opiekuje się razem ze swoją mamą skalniakami na balkonie. W maju przyjechała z ogródkiem do Krakowa na wystawę w Bunkrze Sztuki „Pop Elita”. Tylko że krakowski ogródek był trochę sztuczny. Różowe i białe rumianki – zamiast w ziemi – stały na parkiecie w doniczkach.

– Każdy chce mieć ogródek za wszelką cenę, więc się zgodziłam – tłumaczy Julita. Niektórzy zwiedzający myśleli, że to wystawa kwiatów na sprzedaż i pytali, po ile te różowe.

Rozmowy podsłuchiwane

Nie powiódł się ogrodniczy projekt ozdobienia krokusami gdańskich fortów – trzech ob-

rośniętych trawą gór. – Chciałam posadzić cebulki krokusów, żeby na wiosnę utworzyły kolorowe szlaki i te trzy poważne góry wyglądałyby jak smakowite torty. Niestety, pismo od pomorskiego konserwatora zabytków wybiło Julicie torty z głowy: „ze względu na niską kulturę okolicznych mieszkańców obawiać się należy prób odzyskiwania cebulek na handel lub swoich ogródków. To doprowadziłoby do powstania wydepczysk i uruchomienie erozji wodnej”.

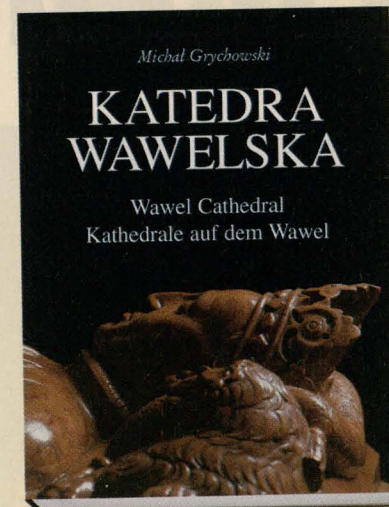
Zimą Julita szydełkuje. Zrobiła 62 włóczkowe misie, które zazwyczaj na ścianie galerii, do której autorka je zawozi, udają tapetę.

Gdy Julita „pierce”, rozwiesza na sznurach szpitalną pościel ze znaczkiem „prac ręcznych w 100 stopniach”. Niby jest to komentarz do reklam proszków do prania, ale tak naprawdę rzeźbiarka chciałaby, żeby zwiedzającym zachciało się polatać między wiszącym praniem, tak jak jej się zawsze chciało.

Ostatnio w Białymstoku z kamerą podsłuchiwała rozmowy ludzi z ich psami na spacerze. Zainspirował ją własny dziadek, który wychodził z Murzynem na spacer, a pies, zamiast spacerować, siedział z nim na ławce. Dziadek spytał zwierzę, przemawiając do niego: – No, idź pobiegać, idź.

(GK)

NIEPOWTARZALNY ALBUM O NIEZWYKŁYM MIEJSCU!



Znakomite zdjęcia, interesujące i rzeczowe teksty w trzech językach!

Patronat medialny:

Miesiąc w Krakowie

PRZE KROJ

RADIO KRAKÓW

DZIENNIK POLSKI

Videograf II Sp. z o.o., 40-153 Katowice, al. W. Korfańskiego 191
tel./fax: 203 65 59 (60), e-mail: videograf@videograf.dnd.com.pl

WYDAWCY REKOMENDUJĄ



Prószyński i S-ka proponuje

Tadeusz Drewnowski „Niedyskrecje pocztowe”

„Niedyskrecje pocztowe” to zbiór blisko 300 listów, kartek, telegramów Tadeusza Borowskiego i jego 47 korespondentów z lat 1943–1951. Korespondencja ta rzuca jaskrawe światło na niezwykle burzliwe i tragiczne losy jednego z najwybitniejszych pisarzy okresu II wojny i powojnia, i jego pokolenia. Szeroki krąg nadawców i adresatów – od rodziny i narzeczonej po luminary ówczesnej literatury – pozwala wejść zarówno w życie codzienne początków PRL, jak i za kulisy jej polityki i kultury. Listy zebrał i przygotował do druku znawca twórczości Borowskiego, autor m.in. „Ucieczki z kamiennego świata”, Tadeusz Drewnowski. Książkę, przynoszącą mnóstwo nieznanych faktów, rozwiązującą niejedną zagadkę i dającą wiele satysfakcji czytelnicy, dopełnia zbiór fotografii, również w większości nie publikowanych.

Salony firmowe Księgarni Krajowej:
Warszawa, ul. Bagatela 14, ul. Garażowa 7,
ul. Różana 34, ul. Nowy Świat 44
Kraków, ul. Sławkowska 10
Gdańsk, ul. Długa 67/68
Toruń, ul. Chełmińska 5
Wrocław, ul. Rynek 7
Olsztyn, ul. 1 Maja 13
Gdynia, ul. Świętojańska 74

REKLAMA
Sprzedaż wysyłkową prowadzi Klub Książki Księgarni Krajowej, ul. Garażowa 5, 02-651 Warszawa, tel. 0-800-224-488; 0-800-123-124 (połączenia bezpłatne)



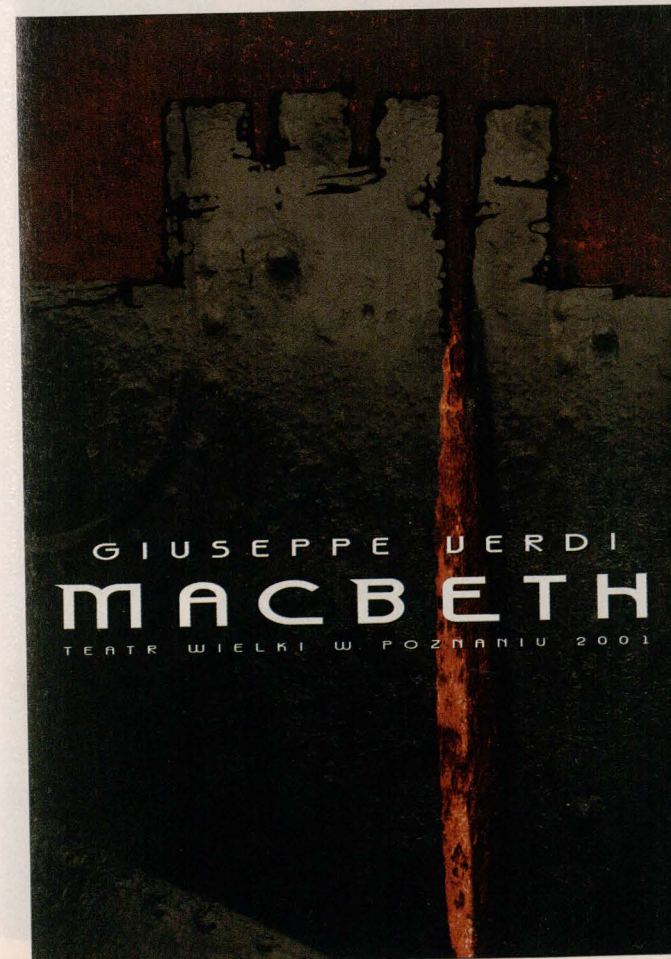
proponuje

Robert Hible, Gabriele Langfeldt-Feldmann „Koi – bajecznie barwne ryby ogrodowe”



Hodowlę koi, jakie obecnie znamy, rozpoczęto mniej więcej 160 lat temu w Niigata. Te bajecznie kolorowe ryby podbiły serca Japończyków i reszty świata. Kiedy ktoś zobaczy po raz pierwszy zbiornik wodny ze wspaniałymi koi, zapiera mu dech w piersiach. Tak dużych i fantastycznie ubarwionych ryb nie spotyka się w wodach słodkich w naszych szerokościach geograficznych. Hodowla koi w stawach ogrodowych w Europie jest popularna od niedawna – należą do ryb mających bardzo duże wymagania wobec otoczenia, w jakim żyją. Autorzy poradnika przedstawiają wyniki najnowszych doświadczeń i badań, umożliwiających stworzenie tym rybam odpowiedniego środowiska, w którym będą pięknie wyglądały i zdrowo się rozwijały.

Sprzedaż wysyłkowa za zaliczeniem pocztowym. Cena wysyłkowa 25 zł.
MULTICO Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o. Magazyn, ul. Cybernetyki 9, 02-677 Warszawa, tel./fax (022)647-24-09; e-mail: handlowy@multicobooks.com.pl; www.multicobooks.com.pl



TEATR WIELKI
im. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

premiera plenerowa w Starym Browarze
24 czerwca 2001, godz. 22.30

GIUSEPPE VERDI
MACBETH

sponsor
TELEKOMUNIKACJA POLSKA S.A.
partner
STARY BROWAR
patroni medialni
PRZE KROJ
GŁOS WIELKOPOLSKI
ETVP3
Poznań
93,5
Klasa FM
Największe Miłośniki

kierownictwo muzyczne Andrzej Straszynski
inscenizacja i reżyseria Krzysztof Jasiński
scenografia Piotr Sobański
kostiumy Ryszard Kaja
choreografia Emil Wesołowski
kierownictwo chóru Jolanta Dota-Komorowska

ze specjalnym udziałem:

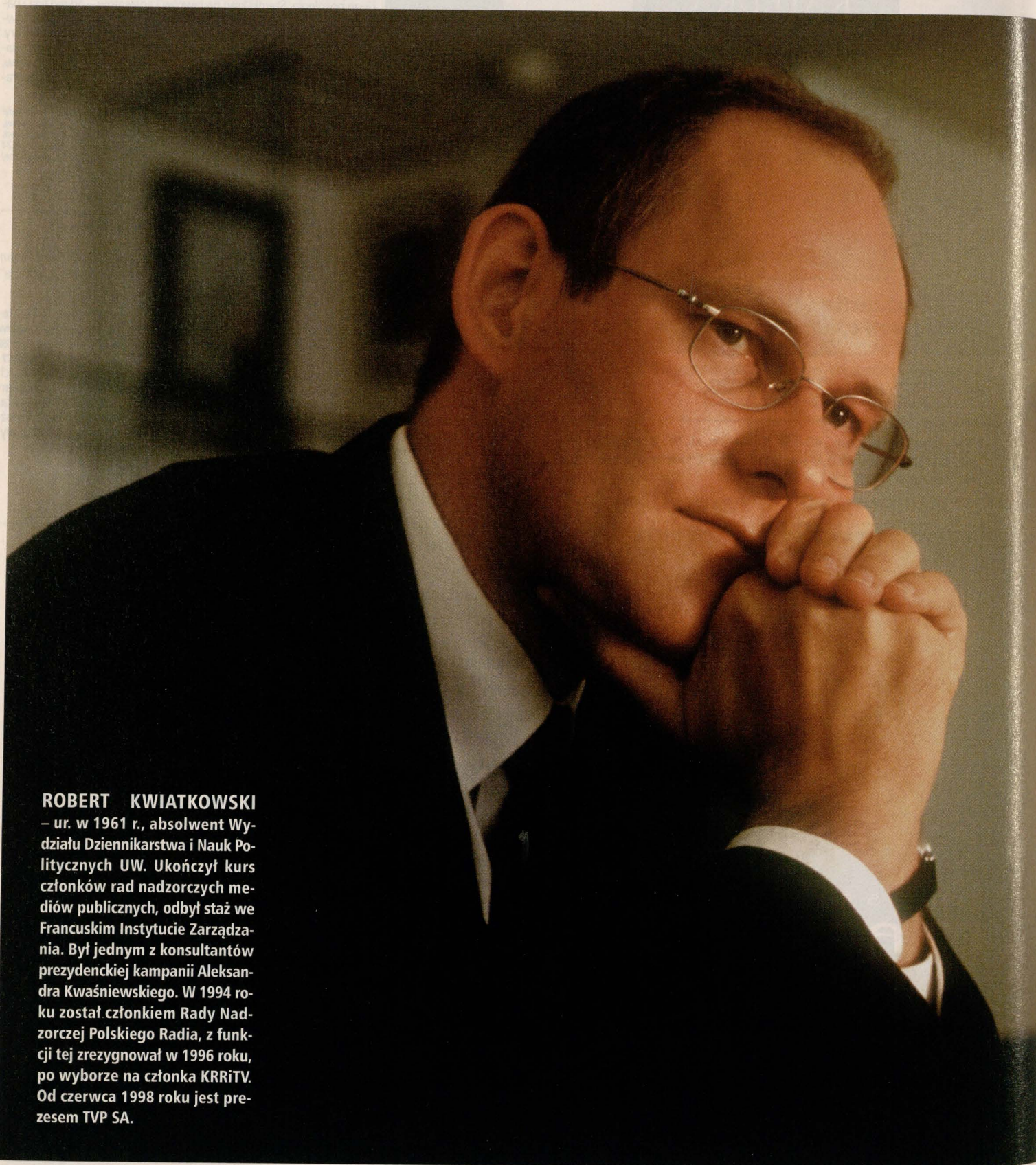
Makbet NIKOLA MIJAILOVIC
Lady Makbet NANA KAVTARASHVILI

solisci, balet, chór oraz orkiestra Teatru Wielkiego w Poznaniu

26 i 28 czerwca 2001, godz. 21.30
bilety do nabycia w kasie Teatru Wielkiego w godz. 13.00-19.00
tel. (061) 852 82 91 wew. 231; (061) 852 08 25

Na telewizji znają się wszyscy

Z ROBERTEM KWIATKOWSKIM ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ • ZDJĘCIA ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER



ROBERT KWIATKOWSKI

– ur. w 1961 r., absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Ukończył kurs członków rad nadzorczych mediów publicznych, odbył staż we Francuskim Instytucie Zarządzania. Był jednym z konsultantów prezydenckiej kampanii Aleksandra Kwaśniewskiego. W 1994 roku został członkiem Rady Nadzorczej Polskiego Radia, z funkcji tej zrezygnował w 1996 roku, po wyborze na członka KRRiTV. Od czerwca 1998 roku jest prezesem TVP SA.

„Trzeba pozwolić temu gratowi zgnić i zacząć od nowa” – mówi o pana firmie Kazimierz Kut. Zabołało?

Bardzo, zwłaszcza że mówi to twórca wielu filmów telewizyjnych, reżyser spektakli Teatru TV i były dyrektor ośrodków telewizyjnych w Katowicach i w Krakowie. Zabołało, nie pierwszy i nie ostatni raz. Jest to wyraz stosunku znacznej części elity kulturalnej kraju do telewizji publicznej. Sprowadza się on do tego, że ma być wszystkiego dużo i natychmiast. Po co, jak i dlaczego, nie ma żadnego znaczenia.

Chce pan powiedzieć, że krytyka telewizji publicznej przez część elit intelektualnych jest niezasłużona?

Owszem. Śmiem twierdzić, że TVP robi dla elit tyle, że więcej już nie można.

Trochę, a może sporo pan przesadza.

Nie przesadzam. Najpierw trzeba się zastanowić na sensowności tego, co już robimy i skąd pieniądze, które na kulturę przeznaczamy. Podobnych słów, jak pana Kutza, mógłbym, niestety, przytoczyć więcej, np. wypowiedzi Krzysztofa Zanussiego i Andrzeja Wajdy.

Może więc jednak mają rację. O TVP mówi się krytycznie od lat – że moloch, że chora struktura, że zawsze silnie upolityczniona, że mocno skorumpowana.

To są zarzuty, które nie znajdują potwierdzenia w faktach. O korupcji mówi się od lat, ale dowodów dotąd nie znaleziono.

Ale nie powie pan na pewno, w stu procentach, że takie zjawisko w telewizji nie występuje?

Jasne, że nie powiem, bo jest to w Polsce przypadłość bardzo rozpowszechniona, a TVP jest wielką firmą, więc i tu może się to zdarzyć. Aby się ustrzec takich przypadków, na bardzo rygorystycznych zasadach przeprowadzamy wszystkie wielkie przetargi. Wiadomo, gdzie i na co idą pieniądze. Mamy wewnętrzne, dwudziestoosobowe biuro kontroli. Stosujemy ustawę o zamówieniach publicznych, działa też cała „infrastruktura”, na przykład ogłoszenia o przeprowadzanych konkursach. TVP jest również regularnie poddawana skrupulatnym kontrolom,

prowadzonym przez NIK i Urzędy Kontroli Skarbowej. Są także inne zabezpieczenia, które takie zjawiska eliminują lub ograniczają do minimum.

A czy w TVP musi pracować ponad sześć tysięcy ludzi, w tym ponad tysiąc dziennikarzy, olbrzymi personel techniczny, administracja, agencje – w każdej po czterech dyrektorów, dwadzieścia sekretarek w Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, Program I, II, TV Polonia, dwanaście oddziałów regionalnych?

Oczywiście, TVP wymaga reformy. Konsekwentnie wprowadzamy ją od roku. Dlatego zaczęliśmy po raz pierwszy w TVP rzeczywiste zwolnienia grupowe. Jesteśmy w trakcie tej procedury, ale sprawa nie jest taka prosta. Czy wie pan, na przykład, że mamy trzydzieści jeden związków zawodowych? Ponadto polskie prawo nakłada różne ograniczenia i paraliżuje działalność firmy. W wielu obszarach mamy wręcz do czynienia z „państwem związkowym”. Nie jest naszym wymysłem, że musimy finansować eta-

Telewizja publiczna nie powinna być ani przyjazna, ani wroga politykom, lecz rzeczowa

Zapewne nie musi, ale każda struktura, która zatrudnia tylu ludzi, musi mieć swoją biurokrację – w dobrym znaczeniu tego słowa. Tym bardziej że wymaga się od nas (i słusznie, bo korzystamy z publicznych pieniędzy) w odróżnieniu od stacji komercyjnych, wielorakich sprawozdań, wykresów, analiz, ocen. Dajemy je Radzie Nadzorczej, czternastu Radom Programowym, Sejmowej i Senackiej Komisji Kultury, no i przede wszystkim KRRiTV. A oprócz tego dochodzą różnego rodzaju komisje i resorty, na przykład Komitet Integracji Europejskiej, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Rzecznik Praw Obywatelskich – wszyscy rozliczają nas z tego, czy dobrze reprezentujemy ich interesy. Nieustannie mamy różne kontrole – Państwowej Inspekcji Pracy, Kontroli Skarbowej, NIK. I pan chce mi powiedzieć, że jest za dużo urzędników? A kto by obsłużył telewizję i tę „inwazję” rozmaitych inspektorów i kontrolerów?

To tylko potwierdza, że TVP jest chorą strukturą, która wymaga reformy.

ty działaczom związków zawodowych, takie obowiązuje prawo. Płacimy za to my – telewizja i my – abonenci.

Raczej przede wszystkim my – abonenci.

Ci, którzy nas krytykują, mieliby rację, gdyby im chodziło tylko o to, że trzeba racjonalnie i oszczędnie gospodarować pieniędzmi publicznymi. Podpisaliśmy właśnie korzystne porozumienia z Canal+ i UFA Sports na zakup praw do transmisji magazynów polskiej ligi piłkarskiej, meczów polskich klubów w ramach UEFA i w ramach eliminacji do Ligi Mistrzów, a także meczów reprezentacji innych państw w ramach eliminacji do mistrzostw Europy i świata.

Trochę za późno, inni transmitowali to wcześniej, a wy pokazywaliście dyscypliny mało popularne, wmawiając nam, że kibice najbardziej interesują się siatkówką, koszykówką krajową czy żużlem.

To pana zdanie. A finał UEFA też pana nie interesował, zwłaszcza w takim wydaniu jak Liverpool-Alaves?

Informacje o upadku telewizji, tak jak informacje o śmierci pewnego znanego pisarza, są mocno przesadzone.

Bardzo mnie zainteresował, ale jeszcze bardziej interesowałyby mnie transmisje Ligi Mistrzów, na przykład mecz Bayern-Valencia, a tej transmisji nie kupiliście.

Można się spierać, czy szklanka jest do połowy pusta, czy do połowy pełna. Zapewne nie wszystko pokazujemy, bo nie na wszystko nas stać, a z pewnych rzeczy sami rezygnujemy, na przykład z Mistrzostw Świata w piłce nożnej w 2002 roku.

Duży błąd!

To nie był błąd, a chłodna i racjonalna kalkulacja. Te zakupy kosztowałyby nas tyle, ile w ciągu dwóch lat przeznaczymy na Teatr TV. Z czegoś musimy zrezygnować. Musi pan zrozumieć, że od jedenaście lat żyjemy w gospodarce rynkowej. **Ja to rozumiem, ale nie jestem przekonany, że wydajecie pieniądze racjonalnie. Wiele programów można by zdjąć z anteny z pożytkiem dla widzów.**

I będziemy to robić. Także dlatego, że nasz budżet jest mniejszy od ubiegłorocznego, bo nastąpił spadek przychodów z reklam i z abonamentów. Te ostatnie stanowią tylko około siedemdziesięciu procent tego, co TVP otrzymywała realnie w 1994 roku. Jeśli chodzi o rynek reklam, to sytuacja jest jeszcze bardziej paradoksalna – odnosimy sukces na tym rynku, mamy nawet w nim większy udział, tylko rynek się skurczył, co jest wynikiem trudnej sytuacji ekonomicznej kraju. W budżetach reklamowych niektórych branż, na przykład motoryzacyjnej oraz chemicznej i środków czystości widać to gołym okiem.

Będą więc cięcia programowe, które – jak uczy doświadczenie – dotkną przede wszystkim programów edukacyjnych i kulturalnych.

A dlaczego mają nie dotknąć? Ostatnio wielkie oburzenie wywołało zdjęcie dwóch spektakli Teatru TV, ale już nikt nie zauważył, że w tym roku TVP będzie miała w dalszym ciągu ponad czterdzieści

premier teatralnych. Mówi się, że jest wielki kryzys, bo nie będzie „Wesela” i „Fausta”, ale nikt nie pyta, jakie były koszty tych produkcji. A może jednak były za wysokie? Czy my mamy za wszelką cenę produkować i to dużo, czy może produkować to, co będzie wydarzeniem na przykład takim, jak spektakl „Bigda idzie” Andrzeja Wajdy, niedawny zwycięzca w kategorii telewizyjnych spektakli teatralnych na I Festiwalu Teatru TV i Polskiego Radia „Dwa Teatry” w Sopocie.

Czy nie ma obaw, że nowa ramówka TVP będzie przypominać ramówkę telewizji komercyjnej?

Jeśli, w co nie wątpię, potrafi pan rozróżnić programy telewizji publicznej od komercyjnej, to zna pan odpowiedź. I nie chodzi tu tylko na przykład o Teatr Telewizji czy poważny udział TVP w produkcji filmów fabularnych. My robimy telenowele i oni też, ale my robimy „Klan”, a oni sitcom „Świat według Kiepskich”. Nasze programy generalnie trzymają pewien poziom, na co bardzo zwracamy uwagę. Oni nie muszą tego robić i proszę nie traktować tego jako zarzutu. Można się znęcać nad „Kiepskimi”, oburzać na „Wielkiego Brata”, ale ja się nie oburzam, ponieważ telewizja komercyjna dba przede wszystkim o to, żeby zarabiać pieniądze. Ich głównym kryterium sukcesu jest pieniądź, naszym nie. My mamy obowiązek narzucać i kształtować pewne standardy.

Wy macie misję, kulturotwórczą rolę zapisaną w ustawie.

Także, ale ona przejawia się również w pokazywaniu rzeczy, które z pozoru tylko są komercyjne. Można powiedzieć, że TVN też ma programy informacyjne np. „Fakty”, więc dlaczego „Wiadomości” są misyjne, a „Fakty” nie?

Obawiam się, że nie wszyscy podzielają ten pana optymizm.

To nie jest optymizm, to realizm. Główne wydanie „Wiadomości” ma znacznie bo-

gatszą i bardziej profesjonalną informację niż „Fakty”. Narzeka się nawet, że zbyt bogatą.

A co z oglądalnością?

Prawie każdy nasz program informacyjny gromadzi więcej widzów niż „Fakty” i podobne programy w innych stacjach komercyjnych.

To dlaczego próbujecie kopiować styl „Faktów”, pokazując często informacje drugorzędne, zaściankowe, których miejsce jest w programach lokalnych?

TVP i „Wiadomości” ewoluują, ale nie chcę powiedzieć, że idziemy w stronę „Faktów”.

Obiegowa opinia głosi, że TVN przeniosła „Kropkę nad i” na godzinę 19.25, żeby odebrać „Wiadomościom” widzów i manewr ten się powiódł.

Takie opinie biorą się chyba stąd, że w Polsce na medycynie, na polityce i na telewizji znają się wszyscy. To my pierwsi wymyśliliśmy emisję „Gościa Jedyński” po „Teleexpressie”, o godzinie 17.20, która ma o tej porze świetną oglądalność i na głowę bije inne programy tego typu. Dlatego TVN zdecydowała się na połączenie „Faktów” z „Kropką”, bo to jest logiczne. Tylko, po pierwsze, to my wymyśliliśmy to wcześniej, a po drugie, nam się to udało.

Najpoważniejszy zarzut pod adresem TVP dotyczy jej upolitycznienia, od zawsze zresztą. Pana poprzednik, Ryszard Miazek, mówił wręcz, że TVP powinna być przyjazna politykom. Tylko Andrzej Drawicz uważał, że jak się wchodzi do TV, to swoje przekonania i poglądy trzeba zostawić w szatni. Panu zarzuca się, że robi telewizję eseldowsko-prezydencką. To i owo przemilcza, to i owo nagłaśnia, w zależności od interesów SLD.

Chciałbym przypomnieć, że na samym początku mojego urzędowania określiłem, jak to powinno, moim zdaniem, wyglądać. Telewizja publiczna na pewno nie powinna być przyjazna politykom. Na pewno też nie powinna być im wroga. Najbardziej odpowiada mi pogląd, że powinna być rzeczowa, to znaczy pokazywać to, co istotne dla opinii publicznej i tworzyć miejsce dla publicznej czy politycznej debaty.

ładnie brzmi, tylko demagogicznie i nie bardzo zgadza się ze stanem faktycznym.

Wiem, że nie brakuje krytyków, jak we wszystkim, od piłki nożnej po spektakle teatralne, na programach informacyjnych kończąc. Staramy się realizować nasze programy w sposób i w formie, które odpowiadają przede wszystkim



widzom, a nie politykom. Dlatego kierownictwo Programu 1 zdecydowało o zmianie prowadzącego „Forum”, dlatego odeszliśmy od tzw. programów serwitutowych, jak „Sejmograf”, „Monitor Rządowy” czy „Tydzień Prezydenta”, i zamieniliśmy je na „Tygodnik Polityczny Jedyński”, na czym program ten z miejsca skorzystał.

Panie prezesie, proszę sobie nie żartować. „Tygodnik Polityczny Jedyński” to jest skrajnie tendencyjny program, głównie za sprawą prowadzącego, który – co warto przypomnieć – reprezentował w debacie przedwyborczej prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, co klóci się z elementarnymi zasadami niezależności dziennikarskiej.

Warto też przypomnieć, że redaktor Andrzej Kwiatkowski reprezentował wówczas Telewizję Polską na prośbę ówczesnego prezesa TVP Wiesława Walendziaka. O wiarygodności prowadzącego najlepiej świadczy to, że widzowie chętnie oglądają ten program.

Panie prezesie, oglądalność, wyniki sondazy są istotne, ale są jak zapach perfum, który mija, a zostaje poczucie, że kanony dziennikarstwa – profesjonalność i niezależność nie są w cenie w telewizji publicznej. Czy wyobraża pan sobie, że byłoby to możliwe w BBC?

W Polsce nie będzie BBC, głównie dlatego, że w Polsce nie mieszkają Brytyjczycy.

Wrażliwość społeczna, stopień akceptacji, poziom tego, co dozwolone, a co nie w opinii publicznej, są zupełnie inne u nich i u nas.

To prawda, i pewnie dlatego mają dobrą telewizję publiczną. Czy pana zdaniem możliwy byłby w TVP program taki, jak amerykański „Saturday Night Live” (Sobotnia noc na żywo), w którym nie oszczędza się nikogo. W jednym z ostatnich programów autorzy poinformowali, że: „George Bush junior przykładą dużą wagę do stosunków z Wielką Brytanią i dlatego zamierza nauczyć się nawet kilku słów po angielsku”.

Dotyka pan interesującego problemu. Ja bym odpowiedział pytaniem: jak by na to zareagowali politycy i widzowie? Myślę, że i jedni, i drudzy tak samo – z niechęcią. Zresztą podobnego programu nie ma także w BBC. Są programy bardzo krytyczne wobec polityków, ale nie są one agresywne i napastliwe. W TVP taką rolę pełni „Dziennik Telewizyjny” Jacka Fedorowicza czy „Kabaret Olgi Lipińskiej”. To jest właśnie kwestia nawyków i przyzwyczajenia kulturowych.

Porozmawiamy o gwiazdach, bez których nie ma telewizji. Są u pana?

Nie narzekam.

W pewnych dziedzinach, na przykład w publicystyce międzynarodowej, te, które występują w TVP, są z zewnątrz.

To prawda, celne trafienie.

U nas nie będzie BBC, a to dlatego, że w Polsce nie mieszkają Brytyjczycy.

A w publicystyce krajowej?

Znowu odpowiem pytaniem: gdzie pan ma te gwiazdy poza TVP? Tomasz Lis, Monika Olejnik i może ktoś jeszcze? A my mamy Barbarę Czajkowską, Jolantę Pierikowską, Tomasza Kamela, Kamila Durczoka, Sławomira Jeneralskiego; również Katarzynę Janowską wraz z Piotrem Mucharskim i wielu innych. **Wielu waszych sprawozdawców sportowych, szczególnie ten najbardziej znany, pan Dariusz Szpakowski, posługując się językiem, który przyprawia o ból zębów i zniechęca skutecznie do oglądania transmisji telewizyjnych.**

To pana zdanie, a nie wszystkich widzów, choć, cóż, może rzeczywiście niektórzy nasi dziennikarze powinni nad sobą popracować.

Kiedy wchodzi się do siedziby TVP na Woronicza albo kiedy rozmawia się z pracownikami, to łatwo odnieść wrażenie, że są to ludzie, którzy mają o sobie bardzo wysokie mniemanie. Skąd się to bierze? Z pieniędzy, z megalomanii, z braku poczucia rzeczywistości?

Może stąd, że pozycja telewizji publicznej, jej społeczny poziom zaufania, siła oddziaływania, mogą wbijać w dumę. Czy to gra-

niczy z arogancją? Myślę, że konkurencja może nam zazdrościć, choćby ludzi, choćby sieci korespondentów krajowych i zagranicznych i jeszcze paru innych rzeczy. **Jak to się stało, że pan, szef małej agencji reklamowej prowadził kampanię prezydencką Aleksandra Kwaśniewskiego i stał się – jak głosi fama – jedną z dziesięciu osób sprawujących faktyczną władzę w Polsce?**

Po pierwsze, agencja nie była mała, po drugie, nie prowadziłem kampanii, byłem tylko konsultantem sztabu prezydenta, nie jedynym zresztą. Po trzecie, jest grubą przesadą zaliczanie mnie do grona dziesięciu osób o takim znaczeniu.

Obejmując rządy w TVP, powiedział pan, że ma do tego kompetencje. Jakie?

Przez dwa lata pracowałem w KRRiTV, którą obowiązuje ustawa o radiu i telewizji oraz wykonuje tę ustawę na co dzień. Media publiczne poznałem jeszcze wcześniej, pracując w Radzie Nadzorczej Polskiego Radia. Przydają się doświadczenia z pracy w prywatnym sektorze – agencji reklamowej. Do tego można dodać znajomość dziedzin, na których opiera się działalność TVP jako firmy, np. ustawy o radiofonii, kodeksu handlowego, znajomość rynku reklamowego, rozumienie współczesnych wyzwań technologicznych. Praca w KRRiTV nauczyła mnie widzenia spraw mediów z perspektywy „regulatora” – przepraszam za to niezbyt ładne słowo, ale ono dobrze oddaje charakter pracy w tej instytucji.

Ale polityczna rola KRRiTV przetrwała, jest faktem. Każda formacja polityczna chce mieć w niej swojego przedstawiciela po to, żeby bronić jej interesów. Może należałoby KRRiTV zlikwidować?

Nie. Pana propozycja byłaby sprzeczna z rozwiązaniami Unii Europejskiej, na których Polska się wzoruje i z tendencjami światowymi. Potrzebna jest niezależna od rządu instytucja, która kształtuje ład w mediach. Również zapis o KRRiTV w Konstytucji sprawia, że postulat pana redaktora jest bezzasadny.

Pana przyjaciele mówią, że ma pan wiele innych cech przydatnych na tym stanowisku i w ogóle w polityce.

Na przykład, jest pan znawcą i smakoszem whisky. Wiesław Walendziak powiada, że ma pan w tej dziedzinie gruntowną wiedzę.

To miły komplement z jego strony, chociaż wypowiedziany na wyrost. Nie wiem, czy to jest potrzebne w polityce i w życiu publicznym.

Jeden z pana przyjaciół z czasów studenckich zdradził, że „kiedy Kwiatkowski buja, nie drga mu nawet powieka”.

Niech pan sam to oceni...

Co chciałby pan zrobić w TVP w ostatnim roku swojej kadencji?

Wpłynąć na lepszą skuteczność pobierania abonamentu rtv, uzyskać przyznanie na własność Telewizji jej własnego archiwum, zagwarantować dla TVP możliwość tworzenia kanałów tematycznych i nadawania dodatkowo w systemie cyfrowym. Chciałbym także dokończyć tworzenie silnych wewnętrznych agencji producenckich, nawiązać trwałą współpracę oddziałów terenowych z samorządami oraz w przypadku TVP w Polsce z organami państwa, realizującymi politykę zagraniczną. Marzy mi się także telewizja bardziej interaktywna...

Jarosław Sellin powiedział niedawno, że SLD i prezydent po wygranych wyborach zechcą stworzyć własne partyjne media, zwłaszcza TV przez sprywatyzowanie telewizji publicznej, na przykład jednego kanału, i dlatego teraz rozgłaszacie publicznie, że TVP dotknął kryzys finansowy.

Nie mogę się do tego odnieść inaczej niż w sposób ironiczny. Z tego, co wiem, nie mówi się o prywatyzacji TVP (choć było to próbą zrobić na początku lat 90.). Musiałaby to być decyzja Rady Ministrów, ministra skarbu, parlamentu, a nie Zarządu, Rady Nadzorczej czy nawet KRRiTV. W jednym zgadzam się z panem Sellinem – informacje o upadku telewizji, tak jak informacje o śmierci pewnego znanego pisarza, są mocno przesadzone.

Pana złościwość są o tyle niefortunne, że życie z pieniędzy publicznych.

Mamy tego pełną świadomość. Szanujemy pieniądze publiczne, podobnie jak inne dochody. Warto jednak pamiętać, że abonament publiczny stanowi niespełna trzydzieści procent naszych przychodów. Resztę musimy wypracować sami. Problemem TVP jest, jak zagospodarować pieniądze z abonamentu i wydawać je nie na instytucje kulturalne, tylko bezpośrednio na kulturę. Z trudem się powstrzymuję, kiedy słyszę, że telewizja publiczna się komercjalizuje. Moglibyśmy tego nie robić, tylko co by się stało z ponad sześcioma tysiącami pracowników, z dalszymi wieloma tysiącami naszych współpracowników, w tym z wieloma ludźmi kultury i przede wszystkim z programem telewizyjnym. Moglibyśmy, tak jak stacje komercyjne, kupować licencje, ale konsekwencją tego byłoby to, że przestalibyśmy być elementem całego systemu kultury polskiej, także masowej. Jeśli się nie będzie przeznaczać pieniędzy na produkcję krajową, to nie zarobią ani polscy artyści, ani reżyserzy, ani scenarzyści. TVP walczy na rynku i wygrywa. Jest jedyną instytucją kultury, która przetrwała starcie z wolnym rynkiem. Komu innemu się to udało?

Rozmawiał **KAZIMIERZ TARGOSZ**

Życie kulturalne Berlina
toczy się w jego
wschodniej części

Mitte dzielnica galerii

Miasto stara się odzyskać pozycję kulturalnej stolicy Europy. Przeszło 50 galerii, czyli co czwarta, mieści się w centrum jego wschodniej części, w okolicach Auguststrasse.

Po zjednoczeniu Niemiec niezależni twórcy odkryli wschodniobrzeńską dzielnicę Mitte. Z dnia na dzień lewacki Kreuzberg w części zachodniej stał się niemodny. W kwartale ulic wokół Auguststrasse zbuntowaną sztukę wystawiano w prywatnych mieszkaniach, na strychach opuszczonych kamienic, a nawet w piwnicach i toaletach na piętrze.

Wieczorno-nocne wernisaże sprawiały, że wśród odrapanych kamienic i kocich łbów oddychało się sztuką. Może nie najwyższych lotów, ale bez wątplenia niosącą powiew autentyczności i świeżości, który przewietrzył lekko zatęchłą atmosferę Kreuzbergu.

Wychodzenie z podziemia

Osadzenie galerii w nowym miejscu ma historyczne uzasadnienie. Berlin chce odtworzyć atmosferę złotych lat 20., gdy ta część miasta nadawała ton sztuce Republiki Weimarskiej.

Dlatego co sześć tygodni w drugiej połowie lat 90. organizowano w sobotnie popołudnia lekko dekadentkie zbiorowe otwarcia wystaw, tzw. Galerienrundgang, które – prócz krytyków sztuki, studentów i artystów – przyciągały turystów. To było miejsce, gdzie wypadało pokazać się i bywać.

Potem zaniechano tego rytuału, by nie popaść w karykaturę. Dla snobistycznych turystów, którzy chcą się dowartościować, zostawiono jedyną atrakcję – centrum sztuki „Tacheles”. Nazwa w jidysz oznacza: mówię wprost.

Profesjonalizmu się nie osiąga, gdy tkwi się po uszy w artystycznym podziemiu – uważa Nicole Hacert z Contemporary Fine Arts, galerii, która najbardziej zbuntowany okres ma za sobą. Co nie znaczy, że przeszła na pozycję nowoczesnej konfekcji sztuki użytkowej oferowanej pod gust japońskiego, wiecznie dzi-

wionego turysty, odwiedzającego tłumnie berlińską dzielnicę galerii – Mitte.

Dzielnica Mitte jest przykładem procesu tworzenia i szukania miejsca dla siebie w nowej rzeczywistości Berlina. Część galerzystów konsekwentnie wystawia oraz promuje młodych i poszukujących artystów, część wyniosła się jeszcze dalej na wschód, do dzielnicy Prenzlauer Berg.

Zbuntowane targi

Istniejące od roku 1996 targi sztuki Art Forum Berlin też zostały pomyslane jako forma prezentacji sztuki młodej i zbuntowanej – zresztą głównymi pomysłodawcami byli sami galerzyści z dzielnicy Mitte. Targi miały pokazać i promować nowy wizerunek miasta stawiającego na sztukę nową i ambitną.

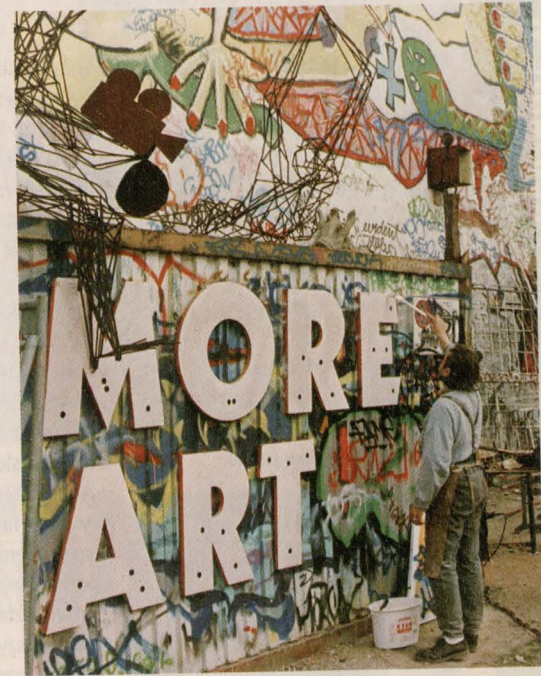
Opiniotwórcza prasa niemiecka entuzjastycznie odniosła się do pomysłu. Impreza była przeciwwagą dla spektakularnych i nobliwych targów w Kolonii – królowała ostra zaangażowana fotografia, sztuka wideo, multimedia i instalacje, czyli wszystko to, co na innych europejskich imprezach tego typu poutykane jest wstydliwie po kątach.

Targi podtrzymywały mit zbuntowanego Berlina. Ale minęły lata.

Widzę artystów, których wcześniej nigdy bym o to nie podejrzewała, odzianych w szykowne garnitury od Armanięgo, a na targach kupczy się konfekcją artystyczną z niezależnym zadęciem – z przekazem wyrażała się rok temu Joanna Kiliszek, krytyk, kurator wystaw, od 1996 r. dyrektor Instytutu Polskiego w Lipsku. Najbliższe targi w październiku.

Naśladowanie Paryża

Trudno sobie wyobrazić, ale do roku 1996 Berlin nie miał muzeum sztuki współczesnej z prawdziwego zdarzenia. Idąc paryskim przykładem, wykorzystano pomieszczenia dawnego Dworca Hamburgskiego – Hamburger Bahnhof. W tym berlińskim Musée d'Orsay zagościła sztuka ostatnich lat od Beuysa, Warhola, Kiefera i Baselitza, a na instalacjach neonowych



Merza i Flavina skończywszy. To w tym budynku prezentowano trzy lata temu skandalizujące prace Anglików w ramach wystawy „Sensation”.

Adaptacja dawnego budynku dworcowego do potrzeb nowoczesnego muzeum była prócz wybudowanej od podstaw Galerii Obrazów – Gemäldegalerie – najważniejszą i największą inwestycją kulturalną Berlina.

Muzeum w Dworcu Hamburgskim również ulokowane jest w dzielnicy Mitte, a z jego dziedzina rozciąga się widok na przebudowany Reichstag z wieńczącą go dumnie szklaną kopułą sir Normana Foster'a.

W ścieraniu się starego z nowym i mariażu nowego ze światem biznesu (najbardziej wymownym przykładem jest ulokowanie się niemieckiej placówki muzeum Guggenheima w siedzibie Deutsche Bank przy reprezentacyjnej ulicy dawnego Berlina Wschodniego, Unter den Linden) widać jak na dłoni poszukiwanie tożsamości miasta i będącej w ruchu sceny galeryjnej i artystycznej. Cokolwiek się dzieje w Berlinie, jest bez wątplenia ożywcze. Nawet jeżeli jakaś wystawa czy któreś targi sztuki nie są na najwyższym poziomie, to zawsze prowokuje do zastanowienia i dyskusji w licznych kultowych knajpkach dzielnicy Mitte.

Piotr Geise

Zaliczanie mnie do grona dziesięciu osób sprawujących faktyczną władzę w Polsce to gruba przesada.

Skarby Kremla

Wystawa „Skatten fra Kreml” jest prawdziwym prezentem na 125-lecie Kunstindustrimuseet w Oslo. Nic więc dziwnego, że zorganizowano ją pod najwyższym patronatem: króla Norwegii Haralda V i prezydenta Władimira Putina. Potrwa do 18 sierpnia. Najcenniejszym ze 150 eksponatów jest „jajko wielkanocne” z 1904 r., wykonane ze złota, srebra i emalii, będące kopią moskiewskiej cerkwi



Wniebowstąpienia Pańskiego, miejsca koronacji carów rosyjskich. Jajko uważane jest za największe i najpiękniejsze z kolekcji, w której swego czasu było ich 54, z tego dziesięć znajduje się w kremłowskim muzeum. Kremłowskie muzea mogą poszczycić się efektowną kolekcją zachodnioeuropejskich sreber. Główna ich część pochodzi z XV i XVI w., a na uwagę zasługują unikatowe dary z Anglii i Niemiec. Wystawa fascynuje. Jest wspomnieniem po Rosji potężnej i bezkresnej jak władza carów. „Serwis Orłowa” to jeden z największych i najbardziej pompatycznych eksponatów. Wykonany z 15 ton srebra na zlecenie carycy Katarzyny Wielkiej dla jej faworyta, księcia Grigorija Orłowa. Uprząż turecka to z kolei dar, jaki car otrzymał od Turków. Zbiór kosztowności stanowią również ikony, jedna z głównych części wystawy. Najbardziej cenną wydaje się „Nasza Pani z Modeny” z roku 1845, sprowadzona przez księcia Szeremetiewa jako prezent dla cerkwi. W gablotach widzimy



bogato inkrustowane kostiumy historyczne należące do carskiej rodziny. W jednym z nich koronował się w 1727 roku dwunastoletni car Piotr II, wnuk Piotra Wielkiego. Na szczególną uwagę zasługuje sposób, w jaki zaprezentowano bezcenne zbiory Kremla. Autorem aranżacji jest Piotr Zamecznik – mieszkający w Norwegii od 1973 r. Materiały, których użył, to

surowe drewno i płyty z pleksi. Pomalowane na ciemne kolory kontrastują ze szkłem oraz srebrem i złotem eksponatów. Niezwykła gra światła potęguje nastrój ekspozycji. Wystawa jest efektem współpracy obu krajów, której kulminacją będzie duża wystawa w Rosji w roku 2004, a w Norwegii – rok później.

JANINA JANUSZEWSKA-SKREIBERG

PO DWÓCH STRONACH LA MANCHE BITWA O WATERLOO

Władze Paryża uważają, że nazwa londyńskiej stacji kolejowej Waterloo jest afrontem dla Francuzów wjeżdżających do Anglii koleją via Channel Tunnel. Stacja Waterloo jest ostatnią „miejsцовością” i jednocześnie punktem granicznym dla Francuzów na trasie kolejowej Paryż–Londyn. O francuskich turystach, którym nie udało się przejść kontroli granicznej i celnej, krąży w Wielkiej Brytanii wiele dowcipów. Większość nawiązuje do klęski Napoleona pod Waterloo. Paryskie władze zwróciły się do rządu angielskiego z oficjalnym pismem, w którym proszą o zmianę nazwy stacji. Autor listu, paryski radny, stwier-

dza, że wjazd do Wielkiej Brytanii przez Waterloo stawia Francuzów w przykryj i niezręcznej sytuacji. Nazwa ta wywołuje niepotrzebne skojarzenia i prowadzi do zadrażnień. Radny podkreśla, że wydaje się ona tym bardziej niestosowna, bo Channel Tunnel uważany jest za symbol współpracy i przyjaźni dwóch narodów. Autor listu dodaje, że jeżeli nazwa Waterloo nie zostanie zmieniona, wystąpi w swoim kraju z propozycją przemianowania paryskiego dworca Gare du Nord na Gare de Fontenoy. Nietrudno się domyślić, że Fontenoy jest miejscem bitwy, która (w przeciwieństwie do Waterloo) przy-



FOT. REUTERSFORUM

niosła klęskę Anglikom, a zwycięstwo Francuzom. Byłoby to więc odwet za niefortunną gafę londyńczyków. Ale niewielki. O ile we Francji każdy uczeń szkoły podstawowej wie o klęsce Napoleona i zwycięstwie Wellingtona, o tyle w Wielkiej Brytanii nazwę Fontenoy zna tylko niewielki procent społeczeństwa.

JOLANTA KONIECZNA

Nieprawdopodobne:
Londyn,
a nie francuskie
Bordeaux,
włoskie
Arno
czy hiszpańska
Malaga,
stał się
na początku
trzeciego
tysiąclecia
miastem wina.



FOT. M. CZERWIŃSKA

VINOPOLIS NAD TAMIZĄ

Nie trzeba było zakładać winnic, by tłumy waliły do najdroższej probierni, która powstała na South Bank nad Tamizą.

W kwartale między Tate Modern a szekspirowskim „The Globe”, zwanym Bank End, istnieje wiele lochów. Od czasów Elżbiety I były naturalnym zapleczem trunkowym domostw, tawern, knajp, domów schadzek czy bardzo wykwintnych restauracji. Wystarczyło je wyremontować. Powstała wspaniale zagospodarowana enklawa, zwana z łacińska „Vinopolis”, przypominająca, że pierwsi kulturę winną na tej zimnej wyspie próbowali zaszczyć jej rzymscy namiestnicy. Vinopolis to kompleks odnowionych kilkudziesięciu piwnic. Oprócz sal degustacji, sklepów, barów, restauracji są w nich i galerie sztuki. Sale wystawowe przyciągają pomysłowymi aranżacjami.

Autorzy ekspozycji zadbali, żeby historię wytwarzania wina w różnych regionach świata zwiedzający oglądali dzięki najprzemysłniejszemu chwytom wizualnym. Kiedy dosiąść przyjdzie włoskiego skutera, na jego prędkościomierzu pojawią się obrazki z wielu miejscowości „winnych” na Półwyspie Apenińskim. Z fotela samolotu oglądając możemy kalifornijskie skupiska hodowli winogron. Wreszcie kabalistyczna zabawa w kamerę obscurę okaże się penetracją w filmową encyklopedię przemysłu winnego we Francji. Ekspozycja wymarzona dla Polaków, całkowitych analfabetów w tej dzie-

dzinie. Dlatego warto kilka godzin poświęcić, by dotknąć i tajemnic, i zagadek tego świata ludzkich doznań. Wtedy też uświadomimy sobie wiele faktów, znanych głównie z opowieści koneserów.

I tak na przykład, że najlepszego do befsztyka czerwonego bordeaux produkuje się rocznie 580 milionów butelek, że sama Szampania podzielona jest na pięć winnych okręgów, które produkują najlepsze marki szampana, że te marki opatrzone nazwami epok (Belle Epoque), polityków (Sir Winston Churchill) czy producentów (Dom Perignon) modyfikują pojęcia gatunkowe „brut”, „cuvée”, nie mówiąc o szampanie „czystym”. Dobrze przecież wiedzieć, że biały burgund, ów klasyk z lat 90. podawany w odmianach chablis, côte d’or czy maconnais zasługuje na konsumpcję w rocznikach 1990, 1992, 1993, 1995, a 1991 i 1994 są nieudane.

Warto sobie uświadomić, że popularne ostatnio w Polsce cabernet – wino w stylu bordeaux – nie jest dzisiaj tylko specjalnością francuską, a jego europejskie cenione mutanty występują nie tylko w zalewającej nas soplią – Bułgarii, ale i we Włoszech, i Hiszpanii. Więcej, że wielkimi eksporterami cabernetu stały się Argentyna, Chile i Nowa Zelandia, że jest on dzisiaj specjalnością Kalifornii, a Afryka Południowa dokonała w zakresie jego produkcji prawdziwej cichej rewolucji. Nie mówiąc już o tym, że w Australii ca-

bernet na wielką skalę mieszane jest z winem typu shiraz (pisanego też syrah).

Każdy zwiedzający, który wdarł się w czeluści Vinopolis, wie na przykład, że Francuzi prócz szampana mają także paraszampany, czyli tzw. wina musujące, a takie kraje, jak Hiszpania (Cava Wines), Australia (Green Point i Rockford, czyli musujące shiraz), Nowa Zelandia (Amadeus) czy Stany Zjednoczone, czyli Kalifornia (Domaine Chandon i Napa) są ich liczącymi się na rynku producentami.

Napa pochodzi od nazwy geograficznej kalifornijskiej doliny, w której udaje się specjalny typ winogron górskich. Stamtąd wywodzi się sława win, ale i sfera działań zajmująca wino nie tylko jako trunk, ale i furtkę do naszego życia duchowego.

Producenci z Napa Valle – szwajcarska para Joanna i Donald Hessowie – wzorem swej amerykańskiej firmy zafundowali w Londynie Hess Collection, czyli galerię sztuki współczesnej, osadzonej w samym centrum Miasta Win. Obecnie wypełnia ją wystawa portretowego malarstwa Franza Gertscha, Szwajcara zafascynowanego i urodą właścicielki (cykl portretów Joanny), i teorią przekładu „dokładności fotograficznej” na język malarstwa. Ponieważ Gertsch okazuje się mistrzem hiperrealizmu, gigantyczne portrety temperą na bawelnianym płótnie robią wrażenie.

Zazdrościć trzeba londyńczykom, że Vinopolis jest nad Tamizą, a nie nad Wisłą.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

Krajobraz po Wielkim Bracie

Trzy miesiące emisji Big Brothera pokazały, jak bardzo telewizja może być inna od tej, do której się przyzwyczailiśmy.

Zanim TVN nadała pierwszą relację z domu (a właściwie ustawionego w podwarszawskim Sękocinie baraku-kontenera) Wielkiego Brata, prasa określała program jako niemoralny i negujący podstawowe wartości, np. wolność jednostki. Za nieetyczne uznała również to, że kamery przez cały czas będą obserwować bohaterów nawet w toalecie (uczestnicy programu przekonali się o tym dopiero po wejściu do domu) oraz gdy zgaśnie światło. TVN zapewniała, że odpowiada za ludzi, którzy zamieszkają w domu i nie pokaże wszystkiego, co zarejestrują kamery oraz nie będzie epatować widzów nagością. Tymczasem duża część widzów na takie sceny czekała i TVN to zapotrzebowanie, przynajmniej na początku, zaspokajała.

Knajactwo 4 milionów

Już na początku emisji popularność pierwszego w Polsce „reality show” przerosła oczekiwania nadawcy. Zawiodły łąca internetowe przygotowane na odwiedziny 500 tys. osób, które chciały obserwować dom Wielkiego Brata w komputerze. Chętnych było kilka razy więcej.

O programie i jego bohaterach mówiło się w autobusie, pracy, kolejce do sklepu. Do rozmów o podglądaniu włączyli się politycy. Rada Miasta Gdańska uchwaliła protest zakazujący emisji programu. Jarosław Sellin, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zaproponował nałożenie kary na TVN. KRRiTV oficjalnie uznała, że BB jest „apoteozą knajactwa i prymitywizmu”, a jego bohaterowie mają niewielkie potrzeby intelektualne i nie cenią więcej rodzinnych. Dzięki temu o BB mówiło się jeszcze więcej, a badania oglądalności wykazały wówczas, że śledzi go od 4 do 6 mln widzów.

Wkrótce politycy zaczęli wykorzystywać popularność Wielkiego Brata. Gdy do domu trafił Rafał Chudziński, przypomniało sobie o nim Stowarzyszenie Młodych Demokratów. Koledzy ze stowarzyszenia zapowiedzieli, że będą się starać, by Rafał nie opuścił programu.

Potem głośno było o politycznych preferencjach Sebastiana Floraka, który ostatnio został zgłoszony przez SLD jako kandydat na posła z listy wyborczej Sojuszu. Podczas konferencji Młodej Lewicy Demokratycznej Florek wręczył tort imieninowy Leszkowi Millerowi. Przewodniczący SLD życzył byłemu mieszkańcowi Big Brothera, by został „Big Member of Parlament”

Przegrała, ale wygrała

O Wielkim Bracie najgłośniej zrobiło się dwa tygodnie przed wyłonieniem zdobywcy 500 tysięcy, kiedy to został z niego wyeliminowany

Edward Miszczak wyjaśnił, że telewizja nie popełniła błędu, a problem wynikał z powodu dużej liczby SMS-ów wysłanych w krótkim odstępie czasu. Klaudiusz po 20 godzinach przebywania na wolności powrócił do Sękocina. Taka sytuacja zdarzyła się pierwszy raz w historii BB.

Realizatorzy złamali reguły, które mówią, że nikt nie może wrócić do programu. Część widzów poczuła się oszukana. Ich pierwsze głosowanie zostało unieważnione. Dzwonili jeszcze raz i płacili ponownie za to samo, a ich faworyt odpadł ponownie.

Pokój kontrolowany

TVN starała się, aby temat Wielkiego Brata był ciągle obecny w mediach. Na początku emisji telewizja Mariusza Waltera oskarżyła o plagiat konkursyjny Polsat. Plagiatem miał być polsatowski „reality show” – „Dwa Światy”, który wystartował niedługo po Wielkim Bracie.



Klaudiusz Sevkovic, uważany za głównego kandydata do zwycięstwa. Wygrała z nim Alicja Walczak o jeden procent głosów.

Głosy - SMS-y na Klaudiusza napływały jednak jeszcze kilka godzin po zakończeniu „Big Brother - Ring”. - Gdy je podliczono, okazało się, że Alicja tak naprawdę przegrała i to o 10 procent. Dyrektor progra-

Sąd oddalił wniosek TVN, ponieważ dopatrzeć się istotnych różnic między programami. Można było przewidzieć taki werdykt, gdyż Polsat, realizując swój projekt, musiał wykorzystać cechy telewizyjnego gatunku, jakim jest „reality show”, a TVN nie ma wyłączonego na takie programy. TVN kreowała pozytywny obraz Wielkiego Brata. Po Polsce

jeździł samochód z pokojem zwierzeń, w którym widzowie wypowiadali przed kamerą uwagi o BB. Wszyscy, którzy odwagili się wystąpić, otrzymywali nagrody. W niedzielny „Big Brother - Ring” można było te wypowiedzi obejrzeć.

TVN nigdy nie wyemitowała negatywnej opinii. Czy wszyscy Polacy, niezależnie gdzie mieszkają, zaakceptowali BB? O tym, że tak nie jest, można się było przekonać, przeglądając chociażby listy dyskusyjne w Internecie („P” pisał o tym w nr. 2917).

Nowi bohaterowie

Pierwszy raz telewizja wykreowała gwiazdy z osób, które niczego dotąd nie osiągnęły. Bohaterowie Wielkiego Brata często powtarzali, że czekają, aż sława sama do nich przyjdzie. Wśród nich największe kontrowersje budziła Monika Sewiolo. Widzom nie spodobało się m.in. to, na co tak naprawdę czekali - paradowanie bohaterki nago po domu BB. Nieprzychylnie opinie oraz artykuły, które prognozowały rozpad małżeństwa Moniki, ani się nie sprawdziły, ani jej nie zaszkodziły, a właściwie pomogły. Monika nagrała piosenkę „Urodziłam się, aby grać” (zawsze chciała śpiewać, jak Madonna), udziela wywiadów, a jej zdjęcia pojawiły się w wielu czasopiśmie, ostatnio pozowała do „Playboya”. Dzięki rozgłosowi, jaki towarzyszy Monice, również jej mąż rozdaje autografy.

Piotr Lato, usunięty z sękocińskiego domu za złamanie zasad, został reporterem „Big Brothera”. Lato marzył, żeby nagrać płytę. Na razie nagrał tylko jedną piosenkę ze Zbigniewem Hołdysem, od którego wcześniej otrzymał gitarę.

Wielki Brat spełnia marzenia, a w kolejce na narodziny gwiazdy czekają jeszcze m.in. Karolina Pachniewicz i Grzegorz Mielec, którzy chcieli zagrać w serialu. TVN musi im coś szybko wymyślić albo raczej wykorzystać, bo wszyscy bohaterowie BB podpisali umowę z TVN na

dwa lata. Przez ten czas muszą dzielić się ze stacją zarobkami, które uzyskują dzięki telewizji.

Komercja aż do granic

TVN pokazała Polakom, jak bardzo telewizja może być komercyjna. Za wszystkie „przywileje”, które oferowała widzom, ci musieli zapłacić. Dwa razy dała widzom możliwość zadecydowania o losach bohaterów: czy Klaudiusz i Gosia, którzy złamali zasady BB, mają odpaść, oraz czy Piotr Lato ma zostać reporterem relacjonującym wydarzenia z domu Wielkiego Brata. Widzowie decydowali, płacąc 2,44 zł za połączenie oraz tyle samo za wysłanie SMS-a. TVN często organizowała konkursy audiotele: „Jeśli jesteś prawdziwym fanem BB, to na pewno znasz odpowiedź na to pytanie...”.

TVN wymyśliła również inne sposoby zdobycia pieniędzy. Uru- chomiono linię podsłuchową, serwis z wiadomościami z domu w Sękocinie, które były wysyłane dwa razy dziennie, oraz tygodnik „Big Brother”. W Internecie zorganizowano aukcje przedmiotów związanych z BB. Największą popularnością cieszą się zdjęcia, kurtki, bluzy oraz plecaki, na których jest autograf Piotra Gulczyńskiego. Na aukcji można je kupić za średnio 150 zł. Gulczyńskiego przebił tylko Piotr Lato, z którym kolacja kosztuje aż 450 zł.

Pierwszy raz w telewizji w ten jawny sposób zastosowano na wielką skalę tzw. product placement, czyli umieszczanie markowego produktu na ekranie. Każdy, kto choć kilka razy oglądał BB, potrafi wymienić nazwy papierosów, napojów, słodczy lub piwa, którymi raczyli się mieszkańcy domu.

TVN organizuje nabór do drugiej edycji Wielkiego Brata. W krajach, w których organizowano kolejne edycje, żadna nie przebiła popularnością pierwszej. Czy druga edycja przyciągnie w Polsce tylu widzów? Czy zdarzą się takie wypadki, jak np. w jednym z opolskich akademików, gdzie trzeba było użyć gaśnicy, by ugasić smażące się frytki, o których zapomnieli studentki, bo z domu BB wychodził jeden z uczestników programu? TVN na pewno się postara, by tak się stało.

TOMASZ WOLSKI



Gulczas: narodziny gwiazdy

Za 15 minut w siedzibie firmy komputerowej w Poznaniu rozpoczyna się czat z Piotrem Gulczyńskim „Gulczasem” – jednym z bohaterów Big Brothera.

Głównego bohatera nie ma. Pracownicy firmy wyglądają przez okna.

- Są straszne korki, pewnie gdzieś utknął - słychać na korytarzach.

Jeden z pracowników przyprowadził ośmioletniego synka. - Usiądź tu na fotelu, będziesz dobrze widzieć swojego ulubieńca - uspokaja dziecko.

W recepcji dwie dziewczyny wymieniają uwagi. Z rozmowy wynika, że oficjalnie nikt nie ogląda programu, ale wszyscy dokładnie wiedzą, co się dzieje w sękocińskim domu.

- Może przyjedzie na motorze? - zastanawia się jakaś dziewczyna.

- Nie, słyszałem, że mu go ukradli - pan w garniturze rozwiewa jej nadzieje.

Umowa

Zdobycie bezpośredniego kontaktu z Piotrem Gulczyńskim jest trudne, bo TVN strzeże podopiecznych. Podpisała z nimi dwuletnie kontrakty dające wyłączność na udostępnianie ich wizerunku.

Telefon do Gulczasa. W słuchawce znajomy głos.

- Jasne, przyjeżdżajcie do Poznania, znajdzie się chwila. Umawiam się na telefon za parę dni, żeby dograć szczegóły. Gdy dzwonię dzień przed wyjazdem, Paulina - dziewczyna Piotra - oznajmia, że jest on bardzo zajęty i prosi o telefon po godz. 20.

Drugi telefon odbiera Piotr. - Wtorek o 15? Nie wiem, czy znajdę czas. O 14 odpowiadam na pytania na czacie, a później przychodzą dziennikarze z lokalnych gazet. No i jeszcze ta audycja w radiu o 16. W tle słychać słaby głos Pauliny: - Nie umawiaj się na jutro, nie mamy czasu.

- Może później? - pytam.

- Nie, później jadę do Warszawy i jestem tam do czwartku. W końcu decydujemy, że spotkamy się we wtorek po czacie. Mam obiecane 10 minut.

Nadjeżdża Black Rider

Z okien widać parking i prowadzącą do niego ulicę. Tuż przed godz. 14 pojawia się na niej stare srebrne bmw serii 5. Powoli mijają zjazd na parking, potem zatrzymuje się, cofa i z piskiem opon wjeżdża w alejkę. Za kierownicą siedzi mężczyzna w znajomej skórzanej kurtce z naszywkami Black Rider.

- Przyjechał, przyjechał - ożywia się korytarzowy tłumek.

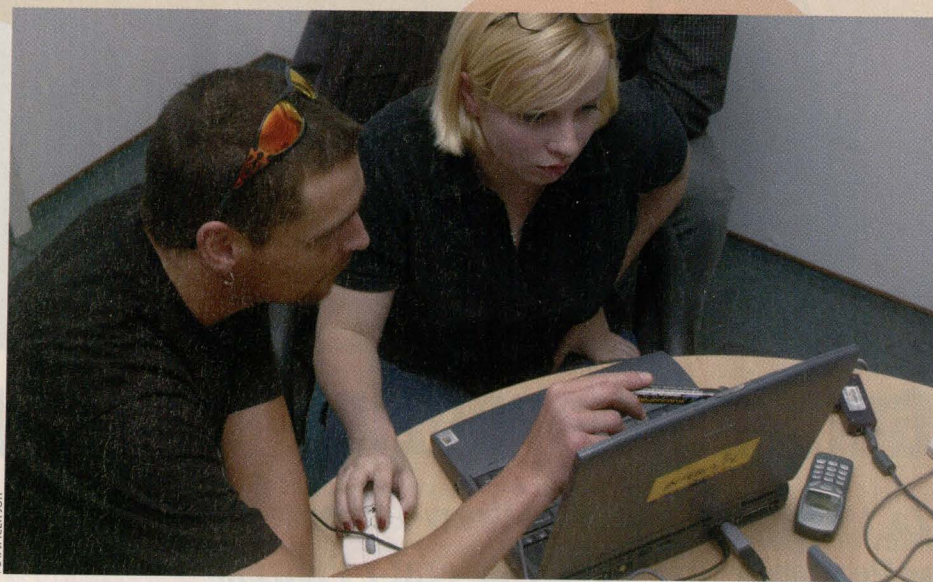
- Przygotujcie karteczki i długopisy na autografy - żartuje jeden z pracowników.

Gulczas szybko wbiega po schodach. Kowbojki, dzinsy, motocyklowa kurtka. Na czole okulary przeciwsłoneczne. Pewny siebie, uśmiechnięty. Wita się ze wszystkimi.

- To gdzie ten czat? Zaczynamy! Z kieszeni wyciąga zmietną kartkę. - Ktoś jeszcze miał tu być, z „Przekroju” i z jakiejś gazety?

Pytam, czy mogę być w pokoju podczas czatu. Nie wiem, czy TVN zgodzi się na moją obecność.

– Strasznie mnie czasem wkurza, że TVN traktuje mnie jak swoją własność. Jasne, że możesz. Co będziesz sterczał na korytarzu – rozstrzyga Gulczyński.



FOT. JACEK JUR

Siadamy przy komputerach. – Jeszcze tylko cola, zielone marlborko i możemy zaczynać – mówi Piotr.

Nie ma coli. Jest sok, a palić w firmie nie można. Gulczas chce widzieć ekran komputera i wszystkie pytania internautów. Do pokoju wchodzi fotograf. Gulczas zachowuje się jakby w życiu nie robił nic innego tylko udzielał wywiadów i pozował do zdjęć. Zakłada okulary, patrzy w obiektyw.

– Specjalnie dla ciebie – mówi do fotoreportera. – A teraz jeszcze te śmiejące się oczy – żartuje, zdejmując okulary.

Czatowanie

Piotr wybiera co śmieszniejsze pytania. „Gdzie z Klaudiuszem zakładacie knajpę?” – pyta iwet. „Na dworcu centralnym w Poznaniu. Herbata już osłodzona będzie kosztować 90 groszy” – pada odpowiedź.

„Podobno jesteś inteligentnym facetem, ale to chyba tylko pogłoski?” – docieka JO.

„Inteligentny pisze się przez en, mistrzu!”.

„Po co zgłosiłeś się do programu? Czy po to, żeby wygrać szmal?”.

„Nie, po to, żeby pić sprita przez 3 miesiące!”.

Gulczas nie namyśla się długo, idzie na żywioł. Jest pewny siebie i bezpośredni.

„Dlaczego nie przefarbujesz się na różowo?” – pyta GOSIA_WOLSZTYN.

„Bo nie chcę się upodabniać do ciebie!”.

„Co zrobić, żeby mieć taki głos twardziela” – docieka zrozpaczony petro_cafeja.

„Mnie się nie podoba mój głos, jak słyszę się w telewizji, to jestem chory!” – przyznaje Gulczas.

Rzadko wybiera poważne pytania. Również rzadko uchyla rąbka tajemnic związanych z pobytami w domu Wielkiego Brata. Widać, że specjaliści od PR w TVN dokładnie określają, o czym można mówić, a o czym nie. Kiedy pada pytanie, czy BB jest manipulacją, Gulczas uśmiecha się tylko: „To jest telewizja!”. Mimo takiej pozy cza-

sem nie wytrzymuje. Lilka pyta, czy uczestnicy programu byli pokazywani autentycznie.

„Oczywiście, że nie” – oburza się przed monitorem. „Najlepszym przykładem jest Grzegorz. Nawet nie wiecie, jaki to superfacet. On wszystko robił: majsterkował, zbudował kurnik, gotował. Fantastycznie opisywał swoje podróże. A na ekranie był przedstawiony jako niemowa!”.

Na pytania np. o jego stosunki z Moniką z BB – w ogóle nie odpowiada. Cały czas patrzy na zegarek. Czekają dziennikarze i dwuipółletni syn, któremu Gulczas poświęca dwa, trzy dni w tygodniu.



FOT. A. CHIESTOWSKI/FORUM

Chat kończy się pytaniem „Jak tam twój synek?”. „Bardzo mnie kocha i tęskni. Muszę do niego lecieć, bo zaraz się obudzi”.

Moje 10 minut

Po czacie pytam Piotra o plany.

– Plany oczywiście są. Nie po to siedziałem trzy miesiące w domu WB, żeby wrócić do normalnego życia. Moja twarz jest bardzo znana. Codziennie byłem w telewizji cztery godziny. Znacznie więcej niż większość aktorów w Polsce. Jestem jednym z najbardziej znanych ludzi w Polsce. Taka prawda.

– Masz jakieś propozycje?

– Dwa tygodnie temu wyszedłem z programu, tak że tych propozycji nie ma zbyt wiele. Na razie czekam, aż będzie ich więcej. Jestem teraz strasznie zajęty. Śpię średnio cztery godziny na dobę. Potem są wywiady, media, spotkania charytatywne z dziećmi. Dzisiaj z moimi klubowymi braćmi jadę do Warszawy spotkać się z Klaudiuszem. Będzie imprezka.

– Jak sobie radzisz z fanami?

– Nie lubię słowa „fan”. Nie jestem Michałem Jacksonem. Wolę słowo „sympatki”. Popularność mnie nie drażni. Ludzie odbierają mnie pozytywnie. Pozdrawianie na ulicy jest miłe. Nie jest dla mnie problemem uśmiechnąć się do gościa i kiwnąć głową.

Podczas rozmowy Gulczas staje się ostrożny. Waży słowa. Zastanawia się nad prawie każdym zdaniem. „Nie, tego nie pisz”, „napisz może tak...” – słyszę po każdej odpowiedzi.

Nasz czas dobiega końca. Na parkingu zebrał się tłumek wielbicieli. „Gulczas, Gulczas” – skandując roześmiane fanki. Piotr je pozdrawia. Kilka autografów, uścisków rąk. Gulczas wskakuje na maskę swojego auta. Będzie wspólne zdjęcie.

STEFAN ROKITA



Zdziecinnienie kultury nie jest tragiczne dla świata. W każdym razie nie dla wszystkich jego mieszkańców.

Nasze dzieci się do chaosu dostosowały i świat chaosu jest ich naturalnym środowiskiem. Czas, by zrozumieli to również intelektualiści, którzy obarczają, często bez zastanowienia, swoje myślenie o kulturze masowej mitami i stereotypami. W przeciwnym razie podzielią los dinozaurów.

U naszych intelektualistów pokutuje XIX-wieczne myślenie o wyższości kultury tradycyjnej nad tą, którą współtworzą media. Biadoli się o zepsuciu moralnym i estetycznym społeczeństwa, ale niewiele z tego wynika.

Z pozycji wyższości

Od XIX w. do lat 50. XX w. dominował w myśleniu o kulturze model angielskiego filozofa i poety Matthew Arnolda. Zadanie ludzi kultury polegać miało na poznawaniu tego „co najlepsze” i upowszechnianiu wśród pozostałych.

Autorzy szkoły frankfurckiej z lat 20. (i późniejszych) interpretowali kulturę popularną jako groźną, fałszywą i manipulacyjną ideologię. Miała ona doprowadzić do zaniku tradycji kulturowej.

W latach 70. brytyjski krytyk Malcolm Muggeridge wierzył, że

WIESŁAW GODZIC

Intelektualista w supermarkecie

telewizja jest dziełem szatana i nie dotrwa do 2000 r. Jerry Mander przedstawił „Cztery argumenty za zlikwidowaniem telewizji”, a na przykład akcja Mary Whitehouse, brytyjskiej nauczycielki, oczyszczania telewizji z nieczystości moralnych wstrząsnęła posadami BBC w latach 60.

Popatrzymy na polskich przedstawicieli tego nurtu myślenia.

Dorota Terakowska w nr 20 „Przekroju” z 20 maja („Polacy nie nawidzą Wielkiego Brata”) powiada, że lista dyskusyjna tvn.bigbrother daje prawdziwy obraz stanu umysłu anonimowych Polaków: „Lista dyskusyjna i czat zięją nienawiścią do wszystkich bohaterów BB. Średnio co piąta wypowiedź nosi znamiona czystej patologii”. Autorka zastanawia się, kto podejmie się terapii widzów po zakończeniu programu – bo przecież widzowie są głównymi ofiarami takich produkcji (a w domyśle: wszelkiej miernoty i sieczki telewizyjnej).

Terakowska popełnia błąd sądu sformułowanego „na pierwszy rzut oka”. Mówi: ponieważ internauci paskudnie piszą o BB, więc programu nie cierpią.

A to nie musi być prawdą. W sieci na pewno nie jest. Internauci na ogół źle piszą o wszystkim. To panujący styl zachowania w grupach dyskusyjnych. Poza tym wypadaloby zastanowić się, co powoduje, że ludzie oglądają godzinami programy, na które wylewają kubły pomij?

Krzysztof Zanussi, przy okazji dyskusji nad cechami kultury polskiej, pisze od niechęci: „Nasza telewizja w widomy sposób kundleje i tą drogą zdobywa widza. Kundleje, to znaczy robi się nierasowa, pokraczna, prymitywna, gdyż odpowiada na ten najpowszechniejszy gust, do którego nie bardzo chcemy się przyznać (...)”.

Poeta Bronisław Maj mówi dobrze o publiczności spotkań poetyckich, bo ta przyszła posłuchać

czegoś odmiennego od „bezsensownego belkotu płynącego z ekranu TV”. Maj, wieszcz szkolny, nie ma wątpliwości: telewizja równa się belkot.

Jerzy Pilch na pytanie: „Gdzie powstaje literatura” odpowiada bez namysłu, że powstaje ona „z daleka od takich miejsc jak to, w którym jesteście”. Rozmowa odbyła się w studiu telewizyjnym.

Zagubieni na rynku

Nie sądzę, aby przytoczeni autorzy do takich sądów byli głęboko przekonani. Tak się po prostu mówi, tak czasem wypada powiedzieć. Ale czy tak się myśli? Czy takie myślenie zapewni nam kiedykolwiek jakikolwiek sukces?

Problemy styku kultury i mediów są problemami intelektualistów odrąconych przez wolny rynek oraz wybujały i anarchiczny kult młodości kultury masowej. Nie mam na to dobrej rady, ale uważam, że można i trzeba się przystosować, żeby opanować intelektualnie ten bezmiar próżności. A w tym celu trzeba się nauczyć innych metod kontaktu z masami.

Tymczasem prawdziwy polski intelektualista używa telewizji, lecz się jej wstydi. A w każdym razie uważa za wstydlive pisanie o niej. Krytyczne teksty o programach pojawiają się sporadycznie, pisane są często przez dziennikarzy nie od czuwających istoty tej formy przekazu lub nie lubiących telewizji.

Nie ma u nas krytyki telewizyjnej, co wobec ogromnej popularności tego medium wygląda niedorzecznie. W refleksji naukowej o telewizji sytuacja nie wygląda lepiej: z trudnością przychodzi wskazać kierunki badań, szkoły czy poszczególnych badaczy.

Parasol nad telewizją

Kultury medialnej – popularnej i masowej – trzeba się uczyć. Ta uwaga dotyczy bardziej nauczycieli niż uczniów. Uczyc się o mediach, uczyć się je wykorzystywać

i używać do naszych, wysokich celów. Odczuwać przyjemność w kontakcie z nimi i racjonalizować tę przyjemność, bo często świadczy ona o aktywnym i obywatelskim stosunku do świata. Nie działać przeciwko nim, bo tak się nie walczy z „barbarzyńcą”. Uczyc się odczytywać krytycznie znaczenia mediów dla samego siebie i dla innych: mówić o nich więcej, a nie mniej. Zadać sobie więcej trudu, niż wymaga wymyślenie tytułu felietonu w tygodniku „Wprost”: „Włącz telewizor, wyłącz rozum”.

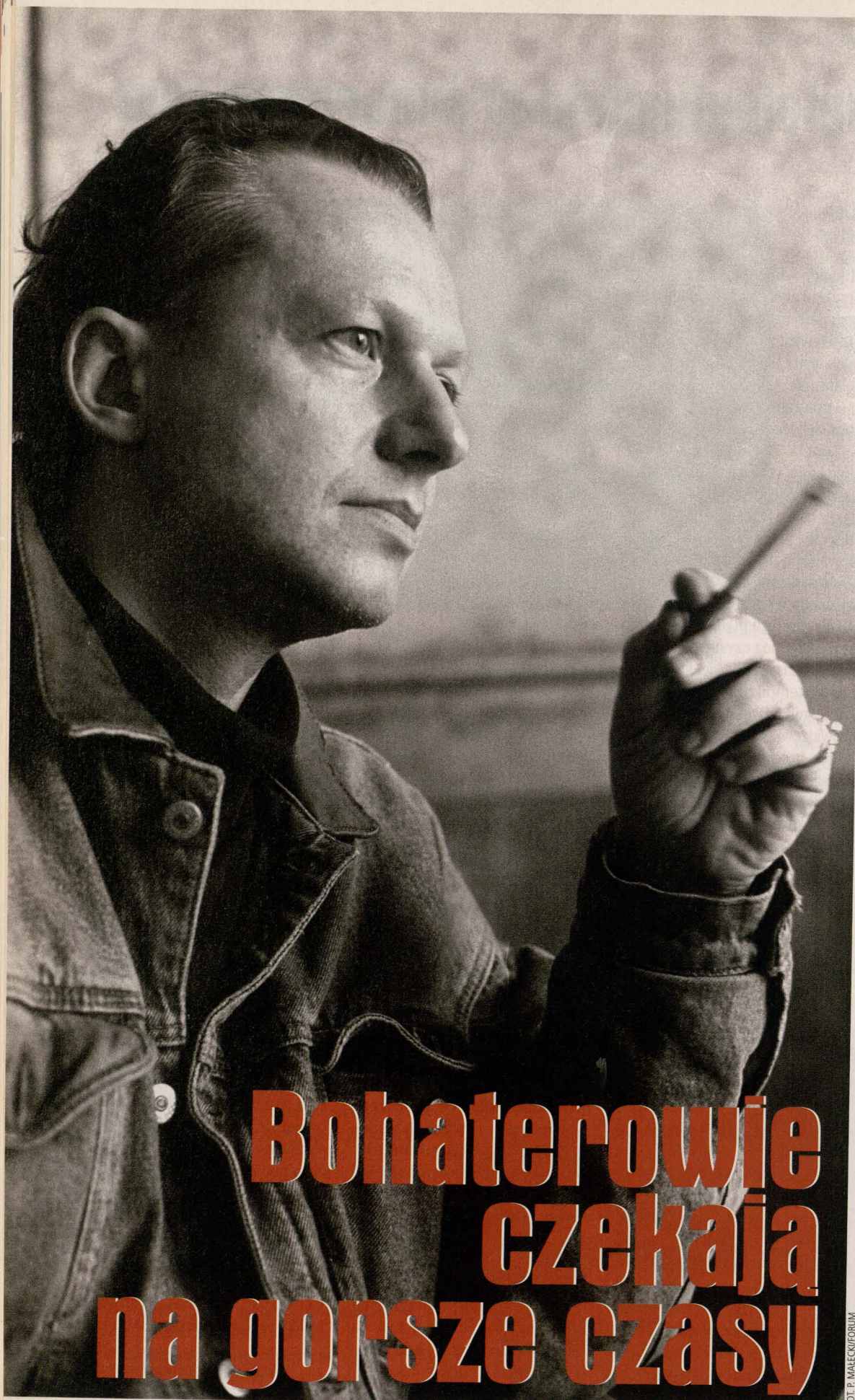
Czeka nas walka o znaczenia telewizyjne. Czeka nas negocjowanie znaczeń nie tylko tego, co proponuje i żąda kultura wysoka, ale także tego, czego żądają rozmaite subkultury. A do tego wszystkiego – to szczyt paradoksu – należy rozłożyć nad telewizją parasol ochronny przed niesprawdliwymi i fałszywymi ocenami, bo tylko wraz z telewizją możemy pokonać jej własne (ale nie przyrodzone) ubóstwo i miałość.

Polubić media

Intelektualiści przez lata usypiali społeczeństwo arkadyjskimi wizjami sfery publicznej lub – przeciwnymi – zagrożeniami bagna masowej kultury popularnej. Formulowano te opinie z wysokości katedr, ambon i salonów.

Teraz chodzi o coś zupełnie innego i prostszego: trzeba być razem z pogardzanymi masami, zasiadać przed tym samym ekranem telewizora, próbując rozmawiać o tym, jak oni rozumieją przedstawiony na nim świat. Przed elitami staje zadanie uczenia się mediów, polubienia ich i prowadzenia dyskusji z masami na tym właśnie obszarze. Jeśli tego zadania nie wykonają, pozostaną w izolacji. Odwracając się od kultury masowej, skazują się z góry na porażkę. A przecież jest szansa na lepsze widoki, nieprawdaż?

Autor jest filmoznawcą, profesorem UI. Ostatnio wydał książkę „Zrozumieć telewizję”.



Bohaterowie czekają na gorsze czasy

DOROTA TERAKOWSKA

Im czasy gorsze, tym łatwiej o bohatera, którego można stawiać innym za wzór. Gdy jest normalnie – z bohaterami gorzej.

Zajrzałam do Internetu pod ciekawą adres: „Bank Bohater jest serwisem zawierającym linki do stron poświęconych wybitnym jednostkom naszej historii. Znajdziesz tu wiele interesujących informacji”. Odetchnęłam, kliknęłam i otrzymałam informację, że tej strony nie ma. A zatem znikają nie tylko bohaterowie, ale i zapotrzebowanie na nich?

Od paru lat cierpimy na deficyt bohatera lub rozmieniamy go na drobne. W dodatku niektórym bohaterzy myślą się z idolami.

Heca z Bohunem

Złośliwi mówią, że ostatnim Polakiem, który z uwagą czyta Sienkiewicza, jest Stanisław Lem. Najmłodszy znający tego autora głównie z filmów. Być może nadchodzącym pokoleniom Sienkiewicz będzie się kojarzył ze scenarzystą. Tak czy owak, Jerzy Hoffman chciał wskrzesić Skrzetuskiego w roli bohatera i to takiego, jakim był Wołodyjowski dla mojego pokolenia. I co się stało?

Armia kinomanek i kinomanów zlekceważyła patriotyczny wydźwięk filmu i zakochała się w Bohunie. W dodatku nie za

sprawą swojskiego Bogusława Lindy, lecz Aleksandra Domogarowa.

Zjawisko nieprawdopodobne jeszcze 10–15 lat temu, gdy Bohun niewątpliwie kojarzyłby się z wrogiem, a Domogarow z „artyście ludowym” ze Związku Radzieckiego. A jednak to Bohun-Domogarow stał się bohaterem ekranowego „Ogniem i mieczem”, usuwając w cień pozostałych. Rzecz niemożliwa ćwierć wieku temu, gdy uwielbiany Daniel Olbrychski – przyjmując rolę Azji Tuhajbejowicza w „Panu Wołodyjowskim” – został uznany za niegodnego, by wcielić się w Kmicica, tylko dlatego, że „Azja to był wróg”.

Osobiście wątpię, czy szansę w roli bohatera mieliby dziś nawet Wołodyjowski lub Kmicic, bardziej popularni i szerzej znani niż Skrzetuski.

Wiedźmin za Wołodyjowskiego

Śledząc awantury o obsadę filmu według opowiadania Sapkowskiego, nieodparcie przypominała mi się afera z Olbrychskim. W obu przypadkach pełni gniewu i zacieźnienia dyskutanci mówili o „szarganiu świętości” – mimo że Kmicic walczył z potopem szwedzkim, a Geralt tylko z nieistniejącymi potworami.

A jednak Wiedźmin niewątpliwie pełnił funkcję narodowego bohatera przez dobre dwa, trzy lata u schyłku XX wieku. I trzeba było Harry’ego Pottera – reżolucyjnego małego Anglika – czarodziejskim rodowodzie, aby osłabił jego pozycję.

Wiedźmin przybył nie wiadomo skąd i żadna z jego prababek nie miała w sobie ani krzty polskiej krwi. Potwory, z którymi walczył, nie symbolizowały naszych wrogów. Wiedźmin jest w gruncie rzeczy klasycznym kosmopolitą i nie pomogą rozpaczliwe zabiegi krytyków, którzy uważają, że Sapkowski pisze językiem Sienkiewicza – gdyż Geralt i tak nie będzie mieć nic wspólnego z krajem nad Wisłą, poza osobą jego autora.

A jednak Wiedźmin na pewno był swoistą namiastką literackiego bohatera, na miarę Wołodyjowskich, Kmiciców czy Skrzetuskich.

Skąd tak abstrakcyjni bohaterzy w miejsce żywych lub literackich „pomników patriotyzmu”?

Wszak raptem 12 lat temu odzyskaliśmy wolność, 11 lat temu runął mur berliński, a od upadku orwellowskiego Wielkiego Brata, czyli ZSRR minęło dopiero 10 lat? Wydawałoby się, że nie ma lepszych czasów nad kulturowanie miłości do wszystkich, którzy symbolizują walkę o niepodległość.

Bohaterowie powstań, II wojny światowej, opozycja antykomunistyczna i solidarnościowa – chyba wszyscy oni powinni znajdować się wciąż w centrum naszej uwagi i wzbudzać żywe uczucia przywiązania i szacunku. Na pytanie o ulubionego bohatera młodzież powinna bez zająknięcia recytować długą listę żywych i martwych. A tymczasem ma ona kolosalne trudności z odpowiedzią albo chichocze i uśmiecha się szyderczo.

Niewątpliwie popełniono kolosalne błędy przez pierwsze dwa, trzy lata wolności, karmiąc nas – jak gęsi na pasztet strasburski – hurrapatriotyczną i bogoojczyźnianą, wysokocholesterolową mieszanką, w czym udział mieli nie tylko politycy, ale i media. I nastąpił nieuchronny zawał.

Bunt przeciw kombatanctwu

Kult Lindy-Maurera z „Psów” Pasikowskiego był buntem przeciw nadmiarowi kombatanctwa. „Co ty, kurwa, wiesz o zabijaniu?” – to zdanie byłego ubeka, Franza Maurera, odmieniane na dziesiątki sposobów („Co ty, kurwa wiesz o blondynkach?”, itp.), stało się ukochanym cytatem używanym przez młodzież przy lada okazji.

Bogusław Linda jest typowym przykładem mylenia przez młodzież idola z bohaterem. Wszyscy „mówili Lindą”, ubierali się i nosili jak Linda, kochali jego parodię, czyli Cezarego Pazurę i jego kontynuację w roli „mocnego mężczyzny”, czyli Marka Kondrata.

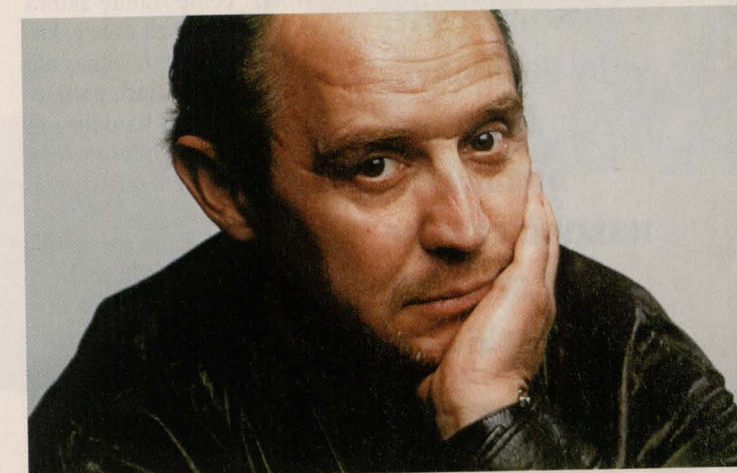
Siłownie i fitness kluby przepełniły się młodzieżą, która chciała pakować mięśnie, a nie głowy. Wszyscy wielbicieli Lindy-Maurera odczuwali też głęboką potrzebę odcinania się od tradycyj-



Daniel Olbrychski – Kmicic



Aleksander Domogarow – Bohun



Marek Kondrat – Halski



Jurek Owsiak – Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy



Jacek Kuroń – Fundacja SOS



Janina Ochojska – Polska Akcja Humanitarna

Można chodzić do siłowni i pakować mięśnie, lecz nie po to, by zbawiać świat – ale żeby mieć więcej siły, by go zdobyć. Idealnym bohaterem naszych czasów jest człowiek z reklamy.

nego, patriotycznego bohatera, chowania pod cynizmem szlachetnych uczuć, demonstrowania niewiary w czystą miłość („kobiety są sprzedajne”) i wiary w to, że wszystko jest przeżarte korupcją. Ba, tych co „spisali”, Linda wręcz zawiódł, biorąc patriotyczną rolę księdza Robaka w „Panu Tadeuszu”.

Wciąż cenię Lindę-aktora i uważam „Psy” za dobry, komercyjny produkt. A jednak nie było w ostatnich latach polskiego filmu, który by bardziej namieszał w głowach młodzieży w kwestii bohatera niż właśnie film Pasikowskiego.

Kogo Linda-Maurer zastąpił jako bohatera? Moim zdaniem Hansa Klossa. Jeśli jednak Kloss udawał bohatera romantycznego („wszystko dla ojczyzny”), to Linda-Maurer kokietuje nas cynizmem i brakiem wiary w ideały. Jeśli coś robi – to z wrodzonej uczciwości (która czyni go człowiekiem samotnym), a nie dla wspólnoty.

Linda-Maurer to samotny wilk, a Mikulski-Kloss to „człowiek partii”, za którym stoi określona grupa – i ojczyzna w potrzebie.

Bohater Lindy uczy nas, że trzeba działać tylko na własną rękę i nie liczyć na nikogo. Wiedźmin Geralt jest w tym do niego podobny. A do nich obu próbują być podobni ci, którzy nadal mają ich za swoich bohaterów. Ale są to już raczej dzieci niż młodzież.

O zabijaniu wiem z gier

Podobnie samotni są bohaterowie gier komputerowych, z którymi utożsamiają się gracze

Samotny na kosmicznym statku Obcych. Samotny w obcym mieście, opanowanym przez terrorystów. I podobnie jak Linda-Maurer umiejący zabijać („Co ty, kurwa, wiesz o zabijaniu?”). No wszystko, właśnie z gier).

Stopień utożsamiania się z grą jest jednak trochę za mały, aby mówić o bohaterze – wzorcu dla młodzieży. Zarazem gry na ogół uczą, że miasto/państwo, w którym żyjemy, to dżungla, której należy stawić czoło i chwycić się wszystkich sposobów, by przeżyć.

Nawet jeśli młodzi ludzie nie przyznają się, że Wołodyjowskiego zastąpił im sprawny morderca z komputerowej gry – to pewne zachowania z gier przenoszone są do życia. „Nie ufaj nikomu, strzelaj pierwszy, walczy, bądź sprawny fizycznie”.

Wołodyjowski czy Kloss robili wszystko „dla ojczyzny” – gracie uczyć się, że należy wszystko robić dla siebie. Ale bohater w grze nie jest wzorcem, lecz sposobem. Sposobem na życie.

A życie nas oszukuje, jak głośni kultowy film „Matrix”. Skonstruowany jak gra i przez wielu młodych uważany za najważniejszy film XX w. Ciekawe, kto utożsamia się z Neo, kto gotów jest mieć go za bohatera? Neo odkrywa, że świat – z jego konsumpcyjną wspianiałością – w ogóle nie ma. To atrapa. Ludzie są oszukiwani przez tajemniczych Agentów, na usługach polityków. Neo przystępuje do walki, gdyż jest wybrańcem.

Choć tak wielu kocha „Matrixa”, niewielu jest gotowych zrezygnować z tej „konsumpcyjnej fikcji”. Przeciwnie – to do niej się dąży. Można chodzić do siłowni i pakować mięśnie, ale nie dlatego, by zbawiać świat – ale żeby mieć więcej siły, by go zdobyć.

Spolecznicy – wariaci

Nowy ład po roku 1989 usiłował stworzyć nowych bohaterów – takich, jakich potrzebują nowe czasy. Niektórzy zaś pojawili się sami: Jacek Kuroń, Jasia Ochojska, siostra Chmielewska, Jurek Owsiak. Ludzie, którzy usiłują nas wciąż i wciąż nauczyć, że warto, a nawet należy żyć dla innych. To prawda, że bardzo ich lubimy i szanujemy. To prawda, że przyłączają się do nich ochotnicy – choć nie ma ich tak wielu, jakby się chciało. Niewątpliwie są to bohaterowie na miarę naszego czasu, w którym świat – w tym i Polska – dzieli się na biednych i potrzebujących oraz bogatych, którzy nie chcą dać.

Sęk w tym, że biednym najchętniej dają biedni – cała czwórka bohaterów to ludzie niezamożni – tymczasem przeważająca większość młodych ludzi marzy jednak o bogactwie i o konsump-

cji. Gotowi są szanować Kuronia, Ochojską, Owsiaaka, siostrę Chmielewską – ale niekoniecznie chcą iść w ich ślady, gdyż to wymaga wyrzeczeń.

Kochają Jana Pawła II (w ankiecie rozpisanej wśród internautów został uznany za najwybitniejszą postać XX w.), ale nie umieją naśladować jego wiary, dobroci, ekumenizmu i umiejętności wybaczenia.

Człowiek z reklamy

Gdy zastanawiam się, kto naprawdę – i to dla wielu młodych – jest bohaterem naszych czasów, to dochodzę do wniosku, że być może znam tę odpowiedź: kobieta i facet z reklamy są marzeniem i wzorcem dla większości

Nawet dla tych, co reklamą gardzą. Bowiem nie ma armii szwedzkiej, z którą walczył Kmicic, ale są Szwedzi, z którymi można ubijać interesy przez komórkę lub laptop. Wprawdzie istnieją korupcja i mafia, jak głosi Franz Maurer – ale nikt nie chce dać się zabić w walce o sprawiedliwość. Na razie ci, co giną – giną za kasę i mętne interesy. Wiedźmin Geralt może się podobać, ale nikt nie zamierza walczyć samotnie z potworami bezprawia, gwałtu, przemocy.

Idealnym bohaterem naszych czasów – wzorem dla tysięcy młodych, marzących o ułożeniu sobie życia i kariery – jest przebojowy, bogaty, dobrze ogolony i pachnący mężczyzna, w drogim garniturze, z komórką przy uchu, w sportowym samochodzie, jadący do ciepłych krajów na krótki urlop i podrywający dziewczynę o wyglądzie top modelki, a po drodze załatwiający zyskowne interesy.

To także kobieta – ale nie ta, która potulnie ocenia, jaki proszek jest lepszy. Młode dziewczyny chcą być tą kobietą, która ma pół głowy z łupieżem, a pół bez, jedną nogę ogoloną, a drugą ze szczecina, gdyż dba o wygląd, aby spodobać się szefom i wskoczyć o oczko wyżej na stołek lub zdobyć tego faceta z komórką i sportowym autem, z którym pojedzie na Karaiby.

A może jest jeszcze inaczej? Zapraszamy do pożytecznej kłótni.

DOROTA TERAKOWSKA

Wraz z upływem czasu naturalne procesy starzenia sprawiają, że skóra coraz wolniej regeneruje się, traci elastyczność i jędkość. Po 30. roku życia zaczynają pojawiać się pierwsze zmarszczki mimiczne, a cienie i obrzęki pod oczami pogłębiają się. Wszystko to sprawia, że cera wygląda na zmęczoną. Dlatego tak ważne jest, aby w tym okresie zadbać o utrzymanie właściwego tempa odnowy biologicznej. Aktywność ruchowa, rekreacja, ćwiczenia, ale także właściwa pielęgnacja sprzyjają lepszemu dotlenieniu oraz ukrwieniu organizmu, pozwalają zachować właściwe tempo aktywności procesów komórkowych, które są przecież warunkiem utrzymania dobrej kondycji skóry.

Fabryka Kosmetyków Miraculum opracowała serie:



MIRACULUM ODNOWA BIOLOGICZNA, przeznaczoną dla kobiet po 30. roku życia. Kosmetyki z tej serii zawierają aktywator odnowy biologicznej biodynes TRF, czyli wyciąg z żywych komórek drożdży. Ekstrakt otrzymany dzięki nowoczesnej biotechnologii potrafi zwiększyć aktywność procesów oddechowych w skórze i stymulować wytwarzanie białek pochłaniających wilgoć, dzięki czemu skóra staje się bardziej jędkna i elastyczna.

W skład serii MIRACULUM Odnowa Biologiczna wchodzi 6 uzupełniających się preparatów do pielęgnacji skóry twarzy wraz z okolikami oczu, ust oraz szyi i dekoltu. Dla pań po 45. roku życia uzupełniło serię o 3 nowe produkty terapii fitohormonalnej (krem nawilżający – eliksir młodości na dzień, krem półtłusty przeciwzmarszczkowy na noc i maseczka młodości). Sekret skuteczności nowych preparatów tkwi w zastosowaniu unikalnego kompleksu roślinnego, który łagodzi efekty hormonalnego starzenia się skóry.



MIRACULUM SENSITIVE – seria nowoczesnych, działających selektywnie kosmetyków do codziennej pielęgnacji każdego rodzaju cery wrażliwej. Wszystkie preparaty zawierają entelinę, czyli odpowiednio skomponowany wyciąg z zielonych alg, która blokuje w skórze substancje odpowiedzialne za wywołanie podrażnień, działa tonizująco, zmniejszając nadwrażliwość. W skład serii wchodzi kremy i balsamy do pielęgnacji twarzy i ciała, a ostatnio dołączył do niej jeszcze jeden preparat – krem wiosenno-letni energizujący MIRACULUM sensitive.

Panie o wrażliwej cerze wiedzą, jak trudna jest jej pielęgnacja przez cały rok, a zwłaszcza w okresie wiosenno-letnim, kiedy skóra narażona na zmiany temperatury i ostre słońce często staje się nadwrażliwa.

Uwaga!
Dla Pań, które zechcą podzielić się z nami swoimi doświadczeniami i spostrzeżeniami na temat zaprezentowanych powyżej serii kosmetycznych MIRACULUM, mamy miłą niespodziankę – najciekawsze wypowiedzi nagrodzimy zestawami kosmetyków MIRACULUM. Na listy – z dopiskiem na kopercie „Miraculum” – czekamy do 1 lipca br.



MAYBELLINE – kredka do powiek w żelu Cool Effect. Idealna na ciepłe, letnie dni, ponieważ delikatna receptura na bazie wody przyjemnie chłodzi powieki i nie podrażnia wrażliwej skóry w okolicy oka. Stwarza efekt jedwabistego, rozkiszzonego i świeżego spojrzenia. Można wybierać spośród pięciu pastelowych odcieni: sliwki, lila, błękitu, różu i beżu.



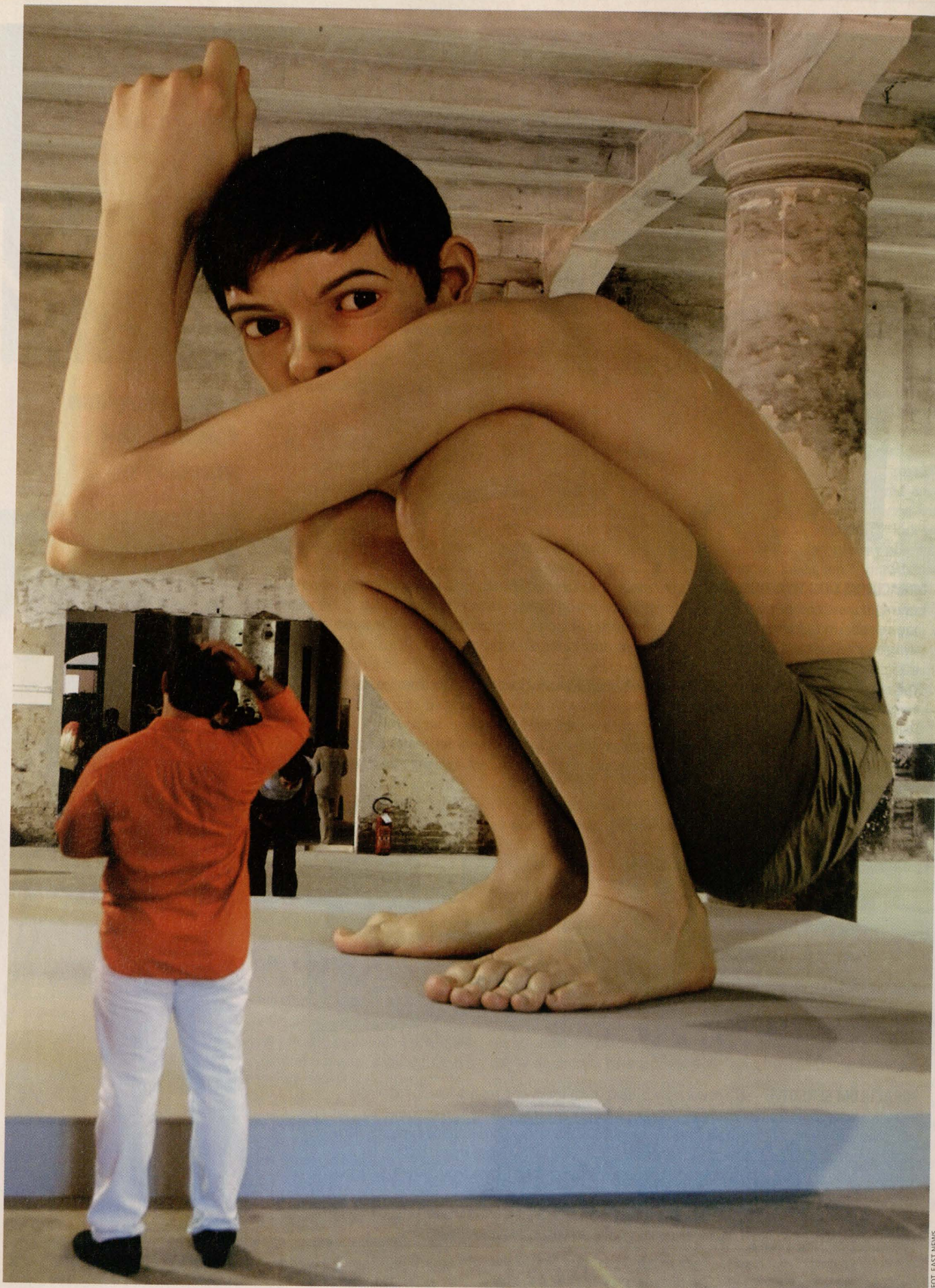
„Kwiaty Polskie” – znana i lubiana seria kosmetyków do twarzy URODY SA wzbogaciła się ostatnio o zupełnie nowe produkty przeznaczone do pielęgnacji ciała.

- Żele pod prysznic – delikatne o świeżym zapachu kwiatów lasu, kwiatów łąki lub kwiatów ogrodu wzbogacone naturalnym wyciągiem kwiatowym, witaminami i alantoiną.
- Balsam do ciała Słonecznik – z kompleksem pięciu naturalnych olejków roślinnych (olejek migdałowy, słonecznikowy, z nasion sezamu, kielków pszenicy i orzeszków Shea), które nawilżają, odżywiają i pielęgnują każdy rodzaj skóry.
- Kremy do rąk i paznokci Rumianek – (w wersjach Sensitive do skóry wrażliwej oraz do skóry normalnej) z wyciągiem z rumianku i kielków pszenicy oraz kompleksem gliceryny i prowitami B5. Polecane do całodziennej pielęgnacji, chronią skórę przed wysuszeniem, działaniem chlorowanej wody i detergentów.

FOT. A. SMIETLIKFORUM
Cezary Pazura – Kiler

KORRESPONDENCJA Z WENECCJI: WOJTEK KOCOŁOWSKI

NIE WSZYSZY ZOSTANĄ ZABRANI DO PRZYSZŁOŚCI



FOT. EAST NEWS



© BIENNALE WENECCIA

Przerasta widzów nie tylko wielkością. Jest tajemniczy jak Sfinks. Nieufnego, 8-metrowego chłopca, pokazywanego w pierwszej sali weneckiego Arsenatu wykonał w 1999 r. Ron Mueck, urodzony w Australii brytyjski artysta. Nazwał go przewrotnie „Bez tytułu”, choć pierwowzorem był autentyczny nastolatek. Mueck wcześniej był zapalonym modelarzem, pracował w telewizji, potem w filmowym studiu efektów specjalnych, a następnie w świecie reklamy. Jako artysta debiutował w 1996 roku rzeźbą z lateksu, wiernie ukazującą własnego ojca tuż po śmierci.

▲ Sztuka jako wizualna zabawa. „Basen” Leandro Erlicha z Argentyny, 1999 r. Stojąc na dole, wydaje się, że woda jest nad nami. Stojąc u góry, wydaje się, że ci w dole są pod wodą. A tak naprawdę woda znajduje się jedynie w cienkiej warstwie pomiędzy dwoma szklanymi taflami.

Tytuł 49. edycji Weneckiego Biennale, nadany przez głównego kuratora Haralda Szeemanna, brzmi „Platforma człowieczeństwa”. To wielkoduszne i nieco na wyrost. O wiele bardziej pasuje motto dzieła Ilii Kabakowa, wystawianego w Arsenale. To naturalnej wielkości, nieco nonszalancka rekonstrukcja stacji metra. Po porzuconych na peronach przedmiotach widać, że nadciąga koniec świata. Ze ściany wystaje jeszcze końcówka ostatniego wagonu. Metro odjeżdża w nieznaną

i na jego świetnym ekranie przebiega złowieszczy napis: „Nie wszyscy zostaną zabrani do przyszłości”. Tak jest w życiu i tak dzieje się też w sztuce – obie aktywności ludzkie mieszają ze sobą zarówno szlachetne proroctwa, jak i płytkie efekciarstwo.

Sztuka nie jest niezbędna do życia. Przecież, jak powiedział W. H. Auden, „wielu przeżyło bez miłości, ale nikt bez wody”. Sztuka nowoczesna jest

bezczelna, ekstrawagancka, gra widziwi na nosie i kpi z niego. Najbardziej wytarty banał brzmi mniej więcej tak: „dawni mistrzowie to było dopiero coś – potrafili narysować i namalować. Można było i oko nacieszyć, i pomyśleć nad obrazem. A ci dzisiaj to banda hochsztaplerów. Udadają mędrków, a nawet konia narysować nie potrafią”. Swoją drogą – potrafią, tyle że nie na papierze, tylko w nowej wersji Photoshopa.

Mimo wszystko dzisiejsza sztuka, nawet gdy błądzi po bezdrożach lub wybiega za bardzo w przyszłość, uwiera nas jak hemoroidy, bolący ząb albo kamyk w bucie. Nie daje spokoju, irytuje, wciąż wra-

terowe równocześnie. Jedno półgodzinne dzieło wybrane zostało przez panią komisarz wystawy, związaną z Ministerstwem Kultury i Religii w Bukareszcie. Nazwa mówi sama za siebie. Praca jest doskonale pusta – półgodzinne nic.

Drugie, zbiorowe dzieło składa się z trzyminutowych filmików kilkunastu przyjaciół z grupy Context, związanej na łączach Internetu. Zostali oni zechnięci na marginesie wystawy, choć mieszanina ich dziełek daje interesujący kontrast i zaskakuje nierówną jakością.

Najlepsza jest praca naszego redakcyjnego przyjaciela, Bogdana Achimescu, który przekształcił twarze swych

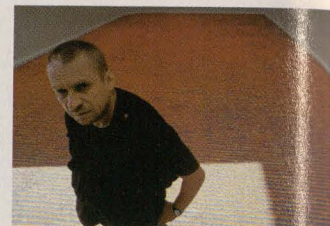
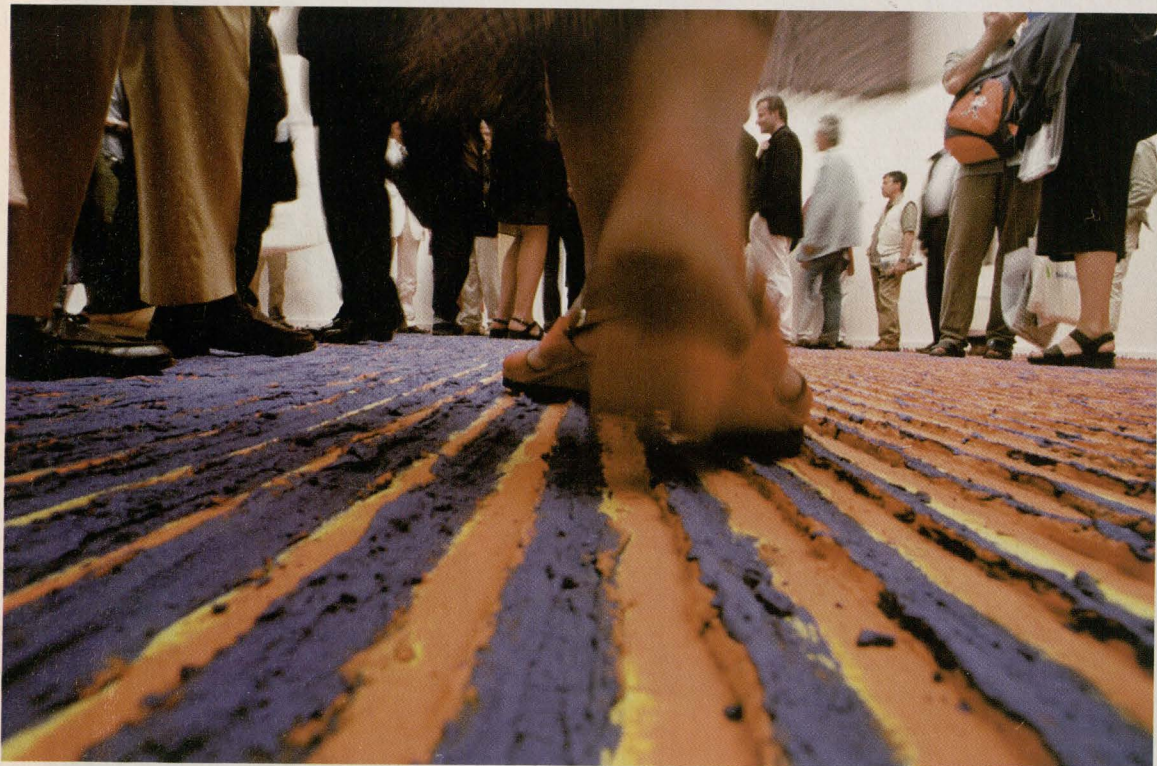
zwiedzających, znękanych pokonanymi kilometrami galeryjnych sal, palącym słońcem i ilością obejrzonej sztuki.

Zrozumiałem, co to jest biennale, dopiero ostatniej nocy w Wenecji. Bogdan zaprosił mnie na nocleg do swojego pawilonu. Najpierw przestrzegł, aby nie mówić nikomu, bo spanie na terenie wystawy jest zabronione. Wieczorem musiałem się przebrać, dochodziła ósma, w pawilonie byli ostatni goście. Szukałem jakiegoś zamkniętego pomieszczenia albo zasłonki. Nic z tego. Tak więc po prostu zacząłem się przebierać i wtedy... ludzie przystanęli i zainteresowa-

Niemców. Zazdrosna konkurencja czy akt artystycznej wypowiedzi?

Takie jest biennale – pod pozorami oficjalnego tonu kryje się prawdziwe życie dzieł, artystów i ludzi zafascynowanych sztuką.

Praca Tarasewicza w polskim pawilonie nie była gorsza od innych. Co więcej, była lepsza, ale zginęła w natłoku akcji promocyjnych pozostałych pawilonów. O udziale w biennale powinno się myśleć już dwa lata przed kolejną edycją i przygotowywać jak do wielkiej bitwy.



◀ Zgrzebne i przewrotne dzieło Leona Tarasewicza „Malować” powstało na potrzeby biennale i wymagało od artysty nie lada krzepy. Wygląda jak wielkie zaorane pole, pomalowane na żółto-niebiesko-pomarańczowo. Brak tylko ptaków, wydziobujących ziarno spomiędzy skib. Tarasewicz, wielki znawca i hodowca kur ozdobnych, zastanawiał się nad wystawieniem przed budynkiem klatek z ptactwem, ale stwierdził, że odwróciłoby ono całe zainteresowanie i nikt nie zaglądałby do pawilonu.

ca, jest natrętna. Narzuca tę niewielką chwilę zastanowienia nad nami, naszymi związkami z innymi i światem wokół.

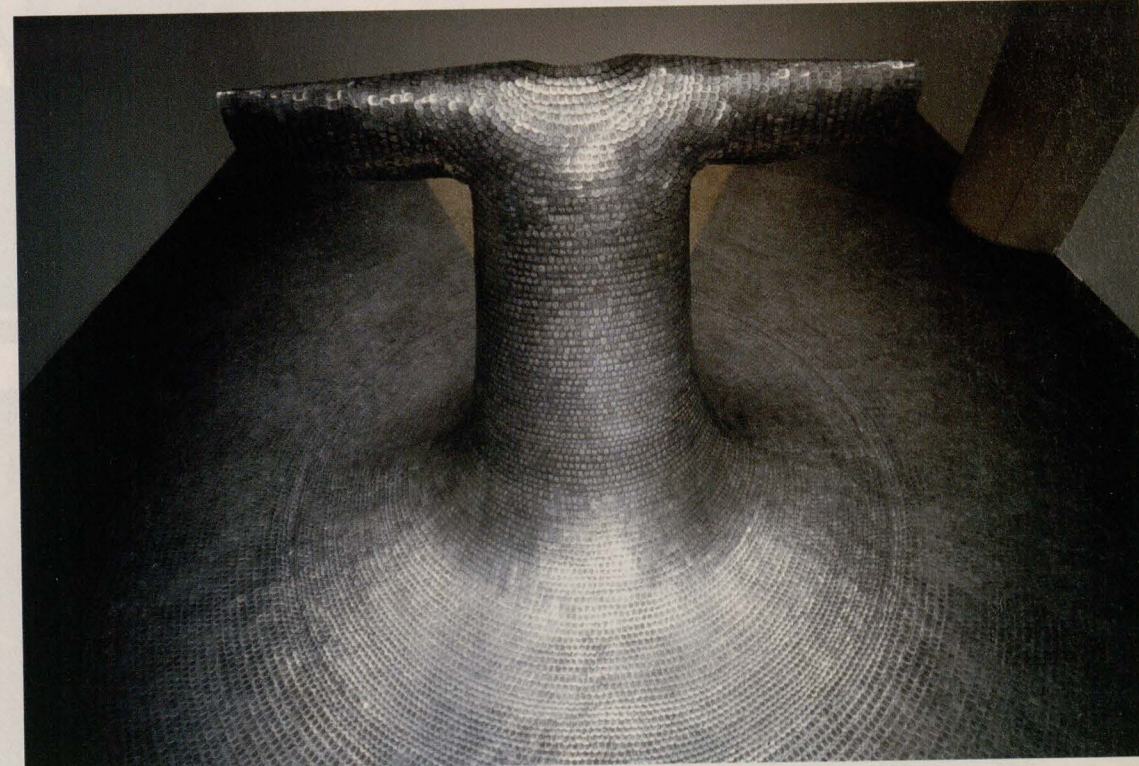
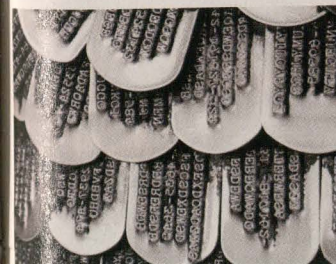
Weneckie Biennale jest jak wielki kocioł, gdzie miesza się ze sobą wszystko, co umysł, oko i ręka artysty umieją przetworzyć w całość. Tę całość umownie nazywamy dziełem sztuki.

Kolejny przyczynek do splotu polityki i sztuki w Wenecji – rumuński pawilon, sąsiadujący z polskim. Od pierwszego dnia zarysował się podział, przeradzający się chwilami w konflikt. Sprzęt dostarczono w noc przed otwarciem. Z pięciu rzutników zepsuł się jeden i w sumie wyświetlano tylko cztery prace kompu-

bliskich i przyjaciół w poruszający katalog fizjonomii służb bezpieczeństwa. Gdy Bogdan udzielał wywiadu dziennikarzom i krytykował ministerstwo, które ogłosiło konkurs na pawilon dopiero w lutym br., kurator wystawy zwymyślała go i zabroniła szkalować własny kraj.

Mimo wszystkich usterek technicznych rumuński pawilon był jednym z najciekawszych wydarzeń na biennale. Konfrontował niezależność postaw z lojalnością wobec urzędu, undergroundowe zaangażowanie z pustką sztuki oficjalnej, luz członków Contextu ze sztywnością zamawiającego wystawę ministerstwa. Pawilon, z wygaszonymi światłami i poduszkami na podłodze, był też nieoczekiwanym miejscem wytchnienia dla

Praca Koreańczyka Do-Hu Suha ▶ z 1998 r. nosi tytuł „Ktoś/On”, chociaż z przyjaciółmi nazwaliśmy ją wszyscy „Bogiem wojny”. Z daleka wygląda inaczej – wydaje się, że to staranna, ale bardzo zimna praca, czysty, ozdobny formalizm. Z bliska, gdy odczytujemy oznaczenia z blaszek wojskowych identyfikatorów, przechodzi dreszcz po plecach. Metafora prosta i dosadna. Wyrafinowani esteci wybrzydząją i kręcą z dezaprobatą głowami.



ni obserwowali moje poczynania. Bogdan zrozumiał sytuację w lot i rozbawiony oświadczył: „Proszę państwa, to nie jest żaden happening ani performance, to tylko kolega przebiera spodnie!”.

Po nocnym spacerze dotarłem do pawilonu, gdzie właśnie kończyła się wesoła kolacja ze Szwajcarami. Goście wyszli i zostaliśmy w czwórkę: Bogdan (pół-Polak, pół-Rumun), ja (Polak), konserwator zabytków (Austriak) i jego pracownik (rumuński emigrant). Rozmawialiśmy o sztuce w różnych językach – po angielsku, włosku, niemiecku, polsku i rumuńsku. Gdy zasympialiliśmy, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że kilkadziesiąt metrów dalej nieznanymi wandalami demolują zwyczajny pawilon

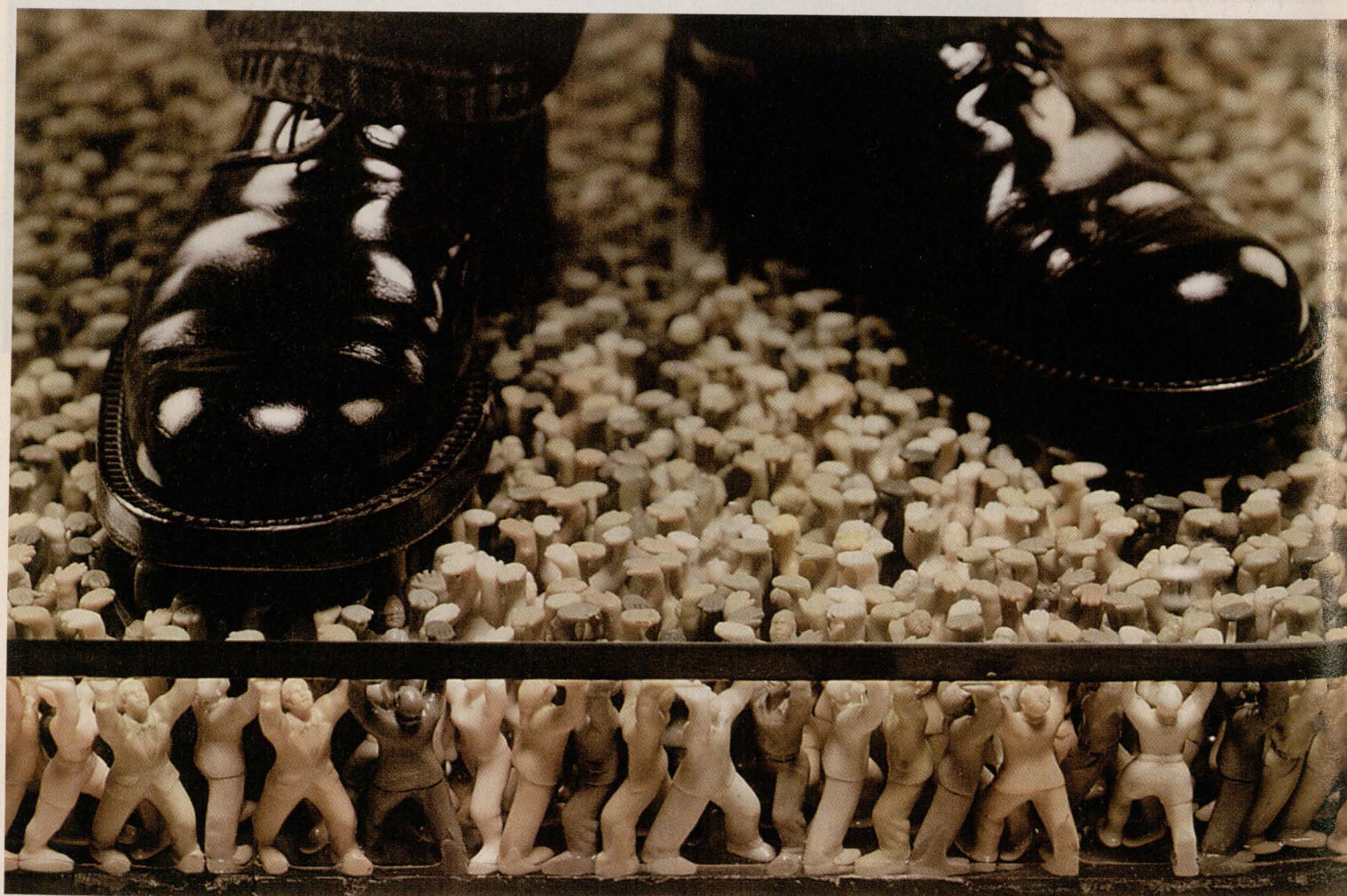
Wygrał pawilon niemiecki, który został zamieniony przez Gregora Schneidera w specyficzny rodzaj labiryntu. Oddał on ideę domu, który zamiast dawać ciepło i bezpieczeństwo, zamienia się w trudną do zdefiniowania przestrzeń. Dodatkowe ściany tworzą podwójny sens słowa „dom”, wnętrza stają się zmienne, niestabilne. To nie przypadek, że „Umarły pra-dom” Schneidera został odkryty przez znawców sztuki w miasteczku Rheydt, niemal samym centrum zadowolonej z siebie zjednoczonej Europy.

Pawilony Koreańczyków i Japończyków nie dostały żadnej nagrody. Ich prace wydały się jury i krytykom zbyt proste. Pewien polski koneser sztuki powiedział, że rzeźba z blaszek wojskowych identyfi-



▲ Zdumiewające dzieło słynnego videoartysty Billa Violi z 2000 r. zatytułowane zostało „Kwintet niewidomych”. Trwa zaledwie kilka minut, ale wydaje się, jakby całą wieczność. Na ekranie zamarli w bezruchu ludzie, upozowani na patetyczne malarstwo flamandzkie. Wzrok nie może oderwać się od wyrazu twarzy niewidomych – zastygli ludzie nie wytrzymują jednak i co jakiś czas drga im powieka, usta, napięte na czole zmarszczki. Widz nie jest jednak w stanie uchwycić tych minimalnych drgnięć. Sztuka czasem boli.

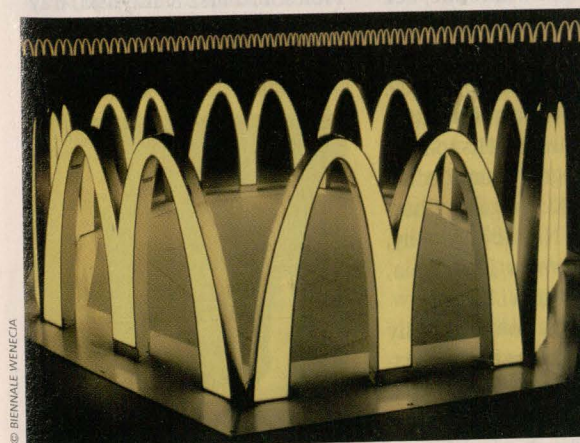
▼ Wszystko zależy, czy utożsamiamy się z tymi na dole, czy z butami na górze. „Podłoga” Koreańczyka Do-Ho Suha z 2000 r. zdumiewa nawet w tym fotograficznym detalu. Ale to nie wszystko – praca liczy kilkadziesiąt metrów kwadratowych!



Vuk Cosic ze Słowenii w 1997 r. stworzył projekt przeznaczony dla Internetu. Nosi on tytuł „Historia sztuki dla lotnisk”, zawiera najsłynniejsze motywy z obrazów i rzeźb zamienione w ironiczne piktogramy. Figurka kobieca trzymająca na piersiach mężczyznę w dziwnej pozie to nic innego jak motyw „Piety”. Czy to naprawdę aż tak bezczelne i obrazoburcze? Nie mniej niż Madonna w kłapie prezydenta pewnego kraju z Europy Środkowej.



▲ Postacie Siergieja Szutowa – „Abacus”. Z głośników w rosyjskim pawilonie niesie się pieśń łącząca motywy z różnych religii. Czarne figury zginają się do pokłonu wszystkie razem, w mechanicznym porządku. Zagłębienie pod czarną plachtę nic nie daje – jest tam przepastna pustka.



▲ Upiorny krąg z pawilonu japońskiego. To dzieło Masato Nakamury „QSC+mV” z 1998 r. Symbol znany z ulic na całym świecie, z reklam i zabawnych parodii. Tutaj po raz pierwszy w tak apokaliptycznym wymiarze, w trupiej poświacie żółci i zieleni.

katorów jest zbyt prostacka, a inny dodał, że to „zwykle grepsiarstwo”.

Na pewno nie jest skomplikowana – ale to nie wada. Praca zdobywa swych zwolenników prostotą i czytelną metaforą. I na dodatek została starannie wykonana. W pawilonie Korei był zawsze tłum zwiedzających. To nie przypadek, bo na biennale podczas dni prasowych publiczność nie jest przypadkowa – to niemal wyłącznie artyści, krytycy i historycy sztuki, kuratorzy wystaw i muzealnicy.

Weneckie Biennale pokazuje, że sztuka choruje przewlekłe na współczesność, ale czasem umie też spojrzeć ku przyszłości. Obok bezczelnego hochszaplerstwa znajdziemy szlachetne przesłania i szokujące punkty widzenia. Bien-

nale to swoiste połączenie World Press Photo i ceremonii rozdania Oscarów. Różnica jest taka, że używa się innych środków. Zamiast prostego widowiska i blichtru, publiczne ogrody oferują myślą prowokację i eksperyment.

Biennale jest też sądem nad sztuką współczesną. Zebranie w jednym miejscu kilkuset prac pozwala na błyskawiczne porównanie: sztuka może być formalną zabawą, próbą wyjaśnienia teoretycznych problemów, prostym przekazem antywojennym, rozważaniem nad naszym przeznaczeniem i cynicznym wpiśnięciem się w istniejącą modę.

Ale sztuka bywa też sztuką: oślepiającym przekazem, po którym nagle czujemy się jakoś nieswojo i zastanawiamy się, kim jesteśmy.

WOJTEK KOŁOŃSKI

JOANNA SOSNOWSKA

Udział Polski w Weneckim Biennale to historia przenikania się sztuki, polityki i historii trudnych „powrotów do Europy”.



Wysepka św. Heleny na terenie biennale w weneckich ogrodach publicznych, w głębi po lewej stronie wejście do polskiego pawilonu.

Sztuka i polityka na lagunie

SPECYFIKĄ biennale są przede wszystkim narodowe pawilony, malowniczo usytuowane w ogrodach publicznych. Mają status podobny do ambasad. Są własnością danego państwa i tylko ono ma prawo nimi dysponować. Dziś pawilonów jest 26, a ostatni, wzniesiony w 1995 r., należy do Korei Południowej. Na terenie ogrodów brak już miejsca, dlatego nowi uczestnicy szukają sal w weneckich pałacach i galeriach.

Fakt posiadania własnego pawilonu mocno wpłynął na polityczny charakter wystawy. Manipulowanie budynkami, ich dzielenie i dostawianie nowych było zgodne ze zmianami na mapie świata.

Przed I wojną światową polscy artyści mogli wystawiać tylko z zaborcami. W 1914 r. w głównym pawilonie otwarta została

„Sala Polacca”. Znalazły się w niej dzieła artystów związanych z krakowskim Towarzystwem Artystów Polskich „Sztuka”.

Wojna przerwała biennale, a następna edycja odbyła się dopiero w 1920 r. Włosi, żywiący wobec Polaków szczerze uczucia sympatii, udostępili nam pusty pawilon niemiecki. Chcieli oddać go nam na zawsze. Polski rząd oferty nie przyjął. Jednak na tę jedną okazję Polacy skuli fryz Nibelungów, który zdobił zewnętrzne ściany budynku.

Drugie dziesięciolecie wolnej Polski przyniosło zasadnicze zmiany. W 1932 r. otwarto polski pawilon. Jest on częścią budynku wzniesionego według planów włoskiego architekta, Brenno Del Giudice, na oddzielonej od Giardini wąskim kanałem wysepce Świętej Heleny. Od tej chwili udział Polski w biennale nabrał charakteru oficjalnego, państwowego wystąpienia, z udziałem ambasadora i innych przedstawicieli władz.

Komisarz, czyli kurator

Historia biennale to nie tylko ciąg nazwisk artystów, lecz również komisarzy, dziś częściej zwanych kuratorami. Zazwyczaj są to wybitni krytycy i historycy sztuki. Inauguracja polskiego pawilonu odbyła się 28 kwietnia 1932 r., w czasie uroczystego otwarcia

XVIII Międzynarodowej Wystawy Sztuki w Wenecji, dokonanego przez włoską parę królewską. Całą godzinę oprowadzał ich po polskim pawilonie komisarz wystawy, krytyk i historyk sztuki, dr Mieczysław Treter.

Do 1939 r. czterokrotnie pokazywano różne oblicza polskiej sztuki, prezentując nie tylko malarstwo i rzeźbę, ale również drzeworyty i tkaniny artystyczne. Cieszyła się ona zainteresowaniem publiczności, nieco mniej krytyki, która w latach 30. oczekiwała od sztuki wyraźnych deklaracji artystycznych i ideowych. W czasie II wojny światowej biennale odbyło się dwukrotnie, bez udziału Polski. W 1940 r. uczestniczyły: Belgia, Morawy (Protectorat Czech i Moraw), Niemcy, Grecja, Włochy, Holandia, Jugosławia, Rumunia, Hiszpania, Szwajcaria, Węgry i Stany Zjednoczone, a w 1942: Bułgaria, Chorwacja, Dania, Niemcy, Włochy, Rumunia, Słowacja, Hiszpania, Szwecja, Szwajcaria i Węgry.

7 lipca 1945 roku Włochy uznały komunistyczny Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Na pierwszym powojennym biennale polska ekspozycja kontynuowała przedwojenne tradycje. Pokazano malarstwo kolorystyczne Czyżewskiego i Cybisa. Obok Jugosławii byliśmy jedynym krajem z bloku wschod-

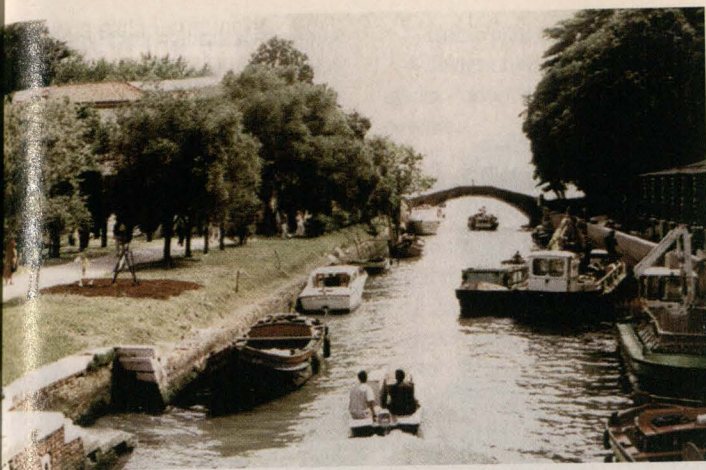
niego uczestniczącym w wystawie w okresie zimnej wojny.

Postsocrealizm

W 1950 roku zabrakło jednak polski – socrealistyczne dzieła pojechały na zorganizowaną przez włoskich komunistów wystawę w Suzzarze. Na kolejnych dwóch edycjach pokazaliśmy złagodzony już socrealizm, a w 1956 r. artystów, którzy zerwali z doktryną. W tym „odwilżowym” czasie zyskali również uznanie polscy krytycy i historycy sztuki. Mieczysław Porębski otrzymał nagrodę za najlepszy szkic krytyczny opublikowany w zagranicznej prasie. Profesor Juliusz Starzyński, trzykrotny komisarz polskiej wystawy, był członkiem jury nagród w



Alina Szapocznikow i Tadeusz Brzozowski podczas biennale w 1962 r.



FOT. P. SOSNOWSKI

1958 r. z ramienia AICA, czyli Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki i w jury Nagrody UNESCO, a w 1964. w głównym jury nagród – zaproszony przez władze biennale.

Od odrodzenia do pop-artu

Na przełomie lat 50. i 60. polska sztuka przeżywała krótki okres powodzenia. Na I Biennale Młodych w Paryżu nagrodzono Jana Lebensteina, na V Międzynarodowym Biennale Sztuki w Sao Paulo Aleksander Kobzdej dostał jedną z głównych nagród. W wielu krajach odbywały się wystawy zbiorowe młodej, polskiej sztuki. Krytyka zachodnia uważała odrodzenie polskiego malarstwa niemal za cud. Włosi powołałi oficjalną Nagrodę im. Francesco Nullo, przeznaczoną dla polskiego artysty. Po raz pierwszy otrzymała ją w 1958 roku Maria Jarema. Nagrodzone prace trafiały do zbiorów w weneckim Ca'Pesaro.

W 1960 roku ekspozycja w Wenecji przedstawiała się interesująco, choć znowu wzmożyły się restrykcje polskich władz wobec sztuki nowoczesnej. Pierwszy raz wystawiał obrazy Tadeusz Kantor. Wrzenie wywołane wystąpieniem na XXXII Biennale w 1964 r. amerykańskich artystów pop-artu i przyznanie I nagrody Rauschenbergowi nie znalazło bezpośredniego odbicia w twórczości polskich artystów. Pop-art był w naszej krytyce oficjalnie zwalczany. Polska sztuka pozostawała w nurcie neoawangardowym. Patronował mu Henryk Stażew-

ski, laureat „Mention Honorable” na biennale w 1966 r.

Od początku lat 70. polski pawilon zaczął nawiązywać do nurtów światowych. Było to zasługą komisarza Aleksandra Wojciechowskiego, pięciokrotnego kuratora ekspozycji, a także chwilowej liberalizacji w polityce kulturalnej państwa. Prawdziwy sukces odnieśli Władysław Hasior, którego rzeźbę „Przesłuchanie partyzanta” zakupiła Galeria Nazionale dell'Arte Moderna w Rzymie oraz Józef Szajna wystawiający wstrząsające „Reminiscencje”.

Grand Prix o mały włos

W 1978 r., na wyraźne polecenie Moskwy, Polska nie wzięła udziału w biennale. Przyczyną było zorganizowanie we Włoszech wystawy i konferencji dotyczącej twórczości dysydemów z krajów Europy Wschodniej.

Polityczny kryzys ogarnął całą strukturę imprezy i spowodował kolejne zmiany organizacyjne. Od 1973 r. obowiązywał nowy statut, który m.in. znosił nagrody, wstrzymane już w 1968 r. na skutek protestów artystycznej „młodzieży”. Zostały przywrócone dopiero w 1986 r.

Polska powróciła do Wenecji w 1980 roku wystawą prac Magdaleny Abakanowicz. Krytyka zagraniczna jednogłośnie wyraziła opinię, że gdyby wówczas przyznawano nagrody, Polka zostałaby laureatką XXXIX Biennale. Wojciechowski, wybierając Abakanowicz, zastosował się do zaleceń władz biennale. Od lat dążono do ograniczenia liczby artystów wystawiających w pa-

wilonach na rzecz pokazów indywidualnych.

W latach 80. wystawialiśmy w Wenecji, mimo politycznego kryzysu. Ekspozycje były organizowane według polityczno-towarzyskiego klucza. Jedynie wystąpienia młodych artystów na części biennale zwanej Aperto, przygotowywanej przez niezależnego komisarza, pokazywały, że istniała w Polsce sztuka nie ulegająca politycznym manipulacjom.

Nowa epoka

Biennale w 1990 roku zamknęło wyraźnym akcentem okres powojenny. Polska sztuka w latach 90. nie miała już z polityką artystyczną minionego czasu nic wspólnego. W tym roku drugi raz wystawiał Szajna. Choć nie można artystycznie odmówić ważnej roli w polskiej sztuce, jednak już wtedy był anachroniczny. Na Aperto wystawiał

biennale zaprosiła do reprezentowania Polski Romana Opałkę, który wcześniej wystawiał na Aperto.

Kolejne wystawy to twórczość kobiet. W 1997 roku była to Zofia Kulik, a w 1999 roku Katarzyna Kozyra, która za wideoinstalację „Łaźnia męska” otrzymała jedno z czterech regulaminowych wyróżnień. Po raz pierwszy Polka znalazła się w gronie laureatów.

Już trzy razy polskich reprezentantów wyłaniano w konkursie i ani razu ich projekt nie został zrealizowany. W 1997 r. planowano udział trzech artystów, reprezentujących różne postawy. Skończyło się na pracach Zofii Kulik. W 1999 r. nie było wiadomo, co będzie pokazane. W końcu wybrano Kozyrę. Decyzja podjęta w ostatniej chwili nie zdobyła w Polsce aprobaty, a przyznane wyróżnienie nie zdołało zatrzeć tego wrażenia.



Francuski rzeźbiarz Cesar i Roman Opałka na biennale w 1995 r.

wówczas Mirosław Bałka. Młody, ale znany już w świecie artysta umocnił w Wenecji swą pozycję.

Trzy lata później jego wystawa w pawilonie otworzyła nową epokę polskiego uczestnictwa. Wtedy do Aperto zaproszono też Zbigniewa Libereę, którego „Obóz koncentracyjny” z klocków LEGO miał być pokazany na XLVII Biennale w 1997 r., ale polski komisarz wycofał projekt pod naciskiem opinii publicznej.

Anda Rottenberg była komisarzem polskiej wystawy w Wenecji w 1993 i 1995 r. Na stulecie istnienia

Nagrody dla Polaków

- 1954 – Tadeusz Kulisiewicz, Nagroda UNESCO
- 1958 – Maria Jarema, Nagroda im. Francesco Nullo
- 1960 – Alfred Wiśniewski, Nagroda im. Francesco Nullo
- 1960 – Piotr Potworowski, nagroda firmy Cartier Vita Mayer&C.
- 1962 – Tadeusz Brzozowski, Nagroda im. Francesco Nullo
- 1999 – Katarzyna Kozyra, wyróżnienie dla młodego artysty

Laureat Nagrody UNESCO Tadeusz Kulisiewicz i córka słynnego włoskiego futurysty Gino Severiniego w polskim pawilonie, 1954 r.



Pani szuka pana
Wdowa z Podkarpackiego, lat 56
 Blondynka średniego wzrostu ze średnim wykształceniem i dobrym sercem, ceniąca szczerość i uczciwość, chciałaby poznać pana do lat 65, wdowca, przystojnego, kulturalnego, uczciwego i dobrze sytuowanego, bez nałogów, który chce spędzić resztę życia we dwoje. 223

Moja znajoma, pani Rysia, postanowiła poszukać sobie męża z ogłoszenia prasowego. Poprosiła mnie o pomoc. Oto dokumentacja tego polowania.

BOGNA BALICKA

Polowanie na męża

Zon przez ogłoszenia prasowe szukają głównie rolnicy. Niewinne ogłoszenia mogą skrywać zaproszenia do lekko dewiacyjnych „balecików”. Poetyckie anonse piszą zwłaszcza mieszkańcy więzień. Na prasowe poszukiwanie współmałżonka musisz przeznaczyć około 1000 zł. Po najbardziej skuteczną pomoc, do biura matrymonialnego, zgłasza się niewielu samotnych. Wstydzą się „wystawiać publicznie na targowisko”.

„Głęboka studzienka” na balu samotnych

Największe ogłoszenie w codziennej prasie obiecywało setki atrakcji na Balu dla Samotnych Serc. „Poślubiliśmy już 25 par” – zachęcano marnym językiem.

Bal zaczynał się o godz. 17, w powszedni dzień (w weekendowej wersji koszty są zbyt duże). Jak się spodziewałam, samotni nie zdążyli przebrać się po pracy i tak też się stało. Wejściówka kosztowała 30 zł. Przyszło około 30 niezbyt „doprasowanych” osób. Nikt się jednak nie przejmował, bo wewnątrz lokalu nie zachęcano do stroju wieczorowego. W ściany powtykano pełno kamyków, a między nimi ktoś – z kawałków talerzy – uformował różne ryby. Kiedyś musiał to być sklep lub bar rybny.

– Przytulajcie się szybko, bo mamy czas tylko do godz. 20. Po nas idzie wesele – poinformował wesolutki wodzirej, który ledwo wystawał zza małej trybunki. – Witam wszystkich i informuję, że sponsorem naszego szampańskiego balu jest zakład cukierniczy... – dodał i powtarzał to później co kwadrans.

Sponsorowanie polegało na tym, że na każdym z sześciu stołów stała babka drożdżowa. Resztę musieliśmy sobie kupić sami w barze. Niemal wszyscy panowie poszli od razu do baru. Dwie szybkie setki i już nabierali odwagi do kontaktów z paniami. Spośród pań tylko dwie piły mocny alkohol i dobrze się bawiły, więc „chłopcy” najchętniej przysiadali się właśnie tam.

Ryśka była nieco przestraszona, ale odwagi dodało jej piwo. Dosiadł się do nas wesolutki kawaler, lat około 45.

– Gdzie pani robi? – zapytał.
 – Jestem nauczycielką akademicką – odpowiedziała Ryśka niepewnie.
 – O rybkach czy o grzybkach? – pewnie chodziło mu o to, czego uczy.

Rozmowie przysłuchiwało się kilku innych samotników.

– Zajmuję się fizyką jądrową – grzecznie wypowiedziała się moja koleżanka, choć ją kopałam pod stołem.

– Czyli jak obcinać świni jądra, he, he, he – rozradował się kawaler. – To taki żart – dodał. – Ja mam szczęki na hali. Teraz handluję skarpetkami. Miałem biustonosze, ale cały dzień mi stał, he, he, he.

U Ryśki utrata złudzeń nastąpiła bardzo szybko. Wtedy wodzirej puścił „Głęboką studzienkę” i kilka par zawirowało pod rybami.

Mniej więcej podobnie wesolucy panowie zajmowali się zaczerwienionymi paniami (czyli pijącymi), niepijące i blade skromnie siedziały przy stolikach. Jak my. Słuchałyśmy: „Daj mi tę noc”, „Przeleć mnie” i „Do tanga trzeba dwojga” ze sprośnymi uwagami wodzireja. No i informacji o łaskawym cukierniku.

O godz. 19.30 delikatnie nas wyproszono, żeby posprzątać przed weselem. Wychodząc, słyszałyśmy jeszcze ostatnią „Głęboką studzienkę”.

– Bardzo głęboką – skwitowała Ryśka.

Znowu rybka – złota i goła

W piśmie z horoskopami wypatrzyłyśmy zdjęcie bardzo przystojnego bruneta (Ryśka też jest ponętą brunetką). Obok zdjęcia był anon: „Jestem spod znaku Ryb. Jestem złotą rybką, złów mnie, a spełnię wszystkie twoje życzenia”.

Napisaliśmy do Rybki. Ryśka podała swój telefon. Umówili się w dobrej kawiarni. Ja siedziałam kilka stolików dalej i zieleniałam z zazdrości. Facet był rzeczywiście zabójczy. Trwało to około 2 godzin, rozmawiali, on dotykał jej dłoni i miał uduchowiony wyraz twarzy. Jej twarzy nie widziałam.

Kiedy wyszła do toalety, przyszedł do mnie kelner z kartką „Ratuj, zadzwoni na moją komórkę, muszę wyjść”. Tak zrobiłam. Ryśkę spotkałam przy aucie. Nie chciała wsiadać, bo jej się ręce trzęsły.

– Co ty, to piękny facet – zagałam. No i usłyszałam opowieść. Jerzy (on) jest kierowcą TIR-a i „lata po świecie”. Jest nie tylko złotą rybką, ale i gołą rybką. Jest naturystą i chce mieć kobiety, które chodzą tylko na golasa.

– We Włoszech to na gołego prowadzę, tam baby to lubią – zachęcał. Chciał Ryśkę odwiedzić do domu „swoją wielką bryką” i zobaczyć, czy się nadaje do publicznej prezentacji golizny.

Rolnicy, sonety i baleciki

Kolejnym ogłoszeniem prasowym, na które się zdecydowałyśmy, był anon Korespondencyjnego Biura Matrymonialnego. Ryśka uparcie, jak większość samotnych ludzi poszukujących partnerów, chciała tę sprawę załatwić za pomocą indywidualnego kontaktu, choćby tylko listownego.

Po zapłaceniu 300 złotych – w ciągu kilku dni – otrzymała gruby biuletyn samotnych. Jego „grubość” wypełniały przede wszystkim ogłoszenia pań. Część męska była dość skromna. Podzielono ją na kilka rozdziałów: „Ziemianie” (potem okazało się, że to rolnicy), „Samotni poeci” (więźniowie; pewnie nie chcieli ich zrazić do ogłoszeń), „Specjalne Wymagania” (różne) oraz „Jesień Życia” (starszkiwie).

Rzuciłyśmy się do czytania. Samotnych rolników było tak dużo, że po 50. anonse miałyśmy dosyć. Wybrałyśmy jeden rozsądnie brzmiący list poetycki. W rubryce „Specjalne Wymagania” najwięcej było mowy o konieczności bycia niepalącą katoliczką. Ale też znalazły się: biust powyżej 120 cm, stała praca, mieszkanie, bezdzietność, seks codziennie, przedślubna umo-

Samotny z Puław, lat 38
 Jestem spokojnym kawalerem, nieśmiałym, o dobrym charakterze, ceniącym dom i rodzinę. Mam 179 cm wzrostu. Mam nadzieję, że napisze do mnie pani zdecydowana na małżeństwo, w wieku 30-45 lat. 242

Samotna z Lubelskiego, lat 29
 Jestem osobą wrażliwą, o spokojnym usposobieniu. Szukam dobrego, życzliwego mężczyzny, najchętniej z Lubelskiego lub okolic Warszawy, w celu zawarcia prawdziwej przyjaźni. Liczę na pomoc i wsparcie w trudnych chwilach – choćby tylko w korespondencji. Mile widziane zdjęcia. 247

rych, skrytka pocztowa 215.
 - (0523EJ0017)
 • 63-letnia blondynka, domatorka, lubi ład i porządek. Posiada ładne mieszkanie. Warunki materialne wystarczające. Pozna pana powyżej 58 lat, chętnie z dziećmi. Biuro TULIPAN, 45-076 Opole, skrytka 210-AZ67/4. Bezpłatnie! (6589)

wa majątkowa, brak teściowej lub (on pisał) „zamieszkamy z moją mamusią, bo ona beze mnie nie może żyć”, „wyształcenie góra średnie” lub widoczna otyłość.

Ryśka jest palącą ateistką z dobrym wykształceniem, więc znalazła dla siebie tylko jedną ofertę: Zygmunt z Opola (nauczyciel akademicki), spokojny, delikatny itp. Jego też wybrałyśmy. Oprócz dwóch listów wysłałyśmy jeszcze anons Ryśki, aby

zamieszczono go w biuletynie. Poeta nie mógł przyjechać, po trzech listach przyznał się, że siedzi w więzieniu w Zielonej Górze i tam go można odwiedzić. Wizyta u Zygmunta była jeszcze większą niespodzianką. Ma żonę (też z uczelni) i poszukują interesującej pani na „dojazdowe wspólne baleciki”.

- Fajni są, ale za nich nie wyjdę - żartowała Ryśka przez łzy.

Po jej anonsie w biuletynie

przyszło około 30 listów. Rzuciłyśmy się na nie jak harpie. 23 pochodziły od rolników (jeden nawet ma strusie), cztery przysły z więzień, jeden był od Ukrainki (który w ten sposób chciał się zadomowić w Polsce; „dużo zapłacić” - kuśił) i jeden od bardzo młodego mężczyzny (studenta iberystyki).

- Może jestem napromieniana - biadoliła Ryśka. Zachęcałam ją do korespondencji ze studentem (młodość jest tak odświeżająca), ale ona na to: - Chcę opiekuna i partnera, a nie dziecko.

Swaty perfekcyjne

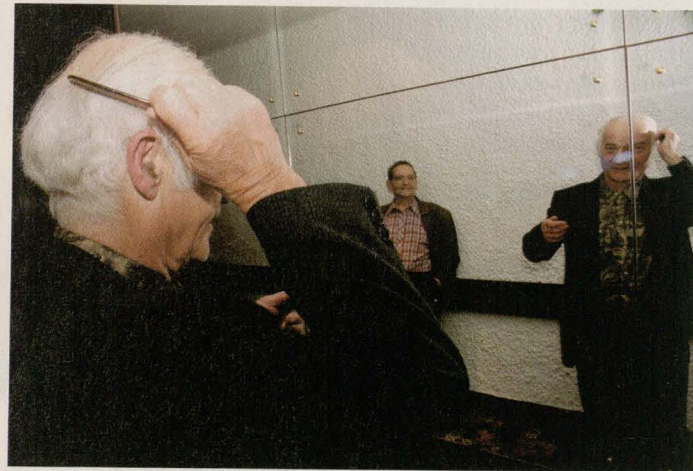
Kiedy na skutki „polowania” poszedł pierwszy tysiąc złotych, obie powiedziałyśmy: dość! Mimo protestów koleżanki umówiłam ją w biurze matrymonialnym, gdzie trzeba się stawić osobiście. Biuro ma kilka wejść, więc przychodzący nie naraża się na „targowe oględziny”.

Ryśka w miłym saloniku wypełniła bardzo szczegółową ankietę (m.in. z hobby, przechodzonymi chorobami, preferowanymi pozycjami seksualnymi, alergiami, liczbą poprzednich partnerów, samooceną itp.). Zrobiono jej make-up i portret (profesjonalnie) oraz poinformowano, że resztą zajmie się psycholog i komputer.

Czekaliśmy dwa tygodnie i przyszło piękne zaproszenie z informacją, że jest trzech chętnych. Najpierw ona musi ich zaakceptować (przeczytać krótką charakterystykę i obejrzeć zdjęcia), a potem randka.

Ryśka zaakceptowała trzech i zapłaciła 2000 zł (to całość opłat). Uroczą pani z biura umówiła ją z wszystkimi trzema na ten sam dzień, żeby „nikt nie tracił czasu i nerwów”. Randki miały się odbyć w saloniku biura; były ciasteczka, kawa, a nawet wino (dobre).

Pierwszy pan miał na sobie jakiś dziwny garnitur. Za krótkie rękawy i nogawki, drapał się, bo go wszędzie cisnęło. Nie pomogło to w miłej rozmowie, żadne z nich prawie nie zwracało uwagi na to, co mówi drugie. No i po dwóch kwadransach rozstali się bez żalu.



• Danuta, 31/168, panna, jedno dziecko - pozna pana w wieku do 37 lat, wolnego, z poczuciem humoru, uczciwego, spokojnego, bez nalogu alkoholowego. Tel. 0-605-856-534, woj. zachodniopomorskie.

- Nawet nie pamiętam, jak wyglądała - skwitowała koleżanka. - Może się wygłupia!

Drugi pan był przystojny, dobrze ubrany i miły. Ich serca już zalewało ciepło, ale okazało się, że Ryśka musiałaby wyprowadzić się do niego, do Warszawy. Spełnienie tego warunku, z powodów osobistych i zawodowych, okazało się niemożliwe.

- Ale szkoda - skomentowała. - Dał mi jednak telefon, gdybym zmieniła zdanie. Kurczę, takim facetowi się podobałam.

Trzeci pan zmienił zdanie już na początku, kiedy Ryśka powiedziała mu, w jakich godzinach pracuje (czasem do nocy).

- No, cóż, jest pani piękną kobietą, ale rodzinnego życia sobie nie ułożymy - rzekł kategorycznie.

- Nie chciałam mu przypominać, że napisałam o tym w ankiecie, rozmyślił się, to jego sprawa. No i puźdo!

Rybka wyłowiona

Po trzech tygodniach smętnego zapominania o wielkiej miłości Ryśka wpadła do mnie w stanie stuporu (niema, głucha, z wytrzeszczonymi oczami). Po dłuższej chwili opowiedziała mi coś, co pozwoliło mi uwierzyć, że świat jest piękny. Otóż przy kasie w sklepie zobaczyła znajomą twarz. Mężczyzna też robił wrażenie, że sobie ją przypomina.

- Skąd my się znamy? - zapytał. A był zabójczo przystojny, wysoki i w odpowiednim wieku. Od słowa do słowa: okazało się, że to ten drapiący się gość od zbyt ciasnego garnituru. Garnitur pożyczzył od kolegi, który mu perorował, „że trza być w garniturze”.

- Noszę tylko mundur i stroje sportowe - wyjaśniał powody drapania.

- On jest pilotem - zachwycała się moja koleżanka. - No i umówiliśmy się.

Powiadomiłyśmy biuro matrymonialne, po trzech dniach Ryśka i Tadeusz (pilot) otrzymali od nich kwiaty i srebrne obrączki na dobry początek. Reszta to już ich sprawa. A listy z biuletynu jeszcze przychodzą.

BOGNA BALICKA



Raport spod miotły

TEKST BOGNA WERNICHOWSKA, LESZEK MAZAN
RYSUNKI IGNACY CZWARTOS

**Wiedzmy i dziś
wiele mogą,
choć nie płoną
już na stosie.
Poznajcie zatem
diabelskie sztuczki
czarownic
i sposoby
postępowania
z nimi.**

Przed 24 czerwca polskie sklepy tradycyjnie sprzedają - głównie Janinom i Łucjom - więcej mioteł. Może to przypadek, może efekt wzmożonych porządków.

- A może nie.

Najkrótsza noc w roku to tradycyjne święto czarownic. Tych dawnych i tych współczesnych. To okazja do napowietrznych podróży, spotkań, wymiany doświadczeń, szaleństw przy ogniskach. Przerażająco bezkarnych, gdyż od 1776 r. (gdy - jak obliczono - nad Polską latało na miotłach w noc świętojańską 15-20 tys. bab) czarownic już się w Polsce, kontrowersyjną decyzją sejmu, nie pali na stosie. W innych europejskich krajach też nie. Winą za zbiorowe bądź osobiste niepowodzenia obciążamy - nie zawsze słusznie - polityków lub urzędy skarbowe, a nie wiedźmy.

Nadmuchana w Marsylii

Pierwsza (najprawdopodobniej) zdemaskowana polska czarownica spłonęła na stosie w Chwaliszewie k. Poznania w 1511 r. Sto lat później w Marsylii uka-

rany został zbrodniarz, który „ośmielił się wdmuchnąć diabła do ust kobiety”. Był to nieliczny - może jedyny? - wypadek uwzględnienia w procesie czarownicy okoliczności łagodzących: wprawdzie „nadmuchana” spłonęła na stosie wraz z obecnym w niej diabłem, ale zachowała swą cześć niewieścią i chrześcijańską.

Inne czarownice nie mogły liczyć na podobne fawory: płonęły na stosie jako przeklęte od Boga, wyklęte od Kościoła katolickiego, potępione, napiętnowane moralnie i fizycznie. W Polsce i w Niemczech wypalano im piętno na czole i piersiach; w Hiszpanii przed podpaleniem stosu wykonywano dekalwację, czyli zdarcie z głowy skóry z włosami. Traktowano tak zwłaszcza czarownice specjalizujące się w wywoływaniu burz oraz te, które nie przyznały się do swej wrednej działalności, mimo najstraszliwszych tortur.

Młotem je, bestie!

W 1489 r. w Kolonii dwaj dominikanie: Heinrich Kramer i Jacob Sprengers wy-



dali „Młot na czarownice” (*Malleus maleficarum*) – podstawowe dla całej Europy źródło informacji o diabelskich sztukach czarownic. Zalecany przez owe dzieło tryb postępowania z uprawia-

jącymi czarcie praktyki babami nie zostawiał żadnego marginesu na litość. Proces musiał się skończyć stosem; zależnie od gatunku posądzeń różnicowano jedynie tortury.

Najsurowsza była inkwizycja. Instytucję tę powołał przez Watykan, gdy biskupi okazali się zbyt pobłażliwi w zwalczaniu czarów i herezji; nie stać ich było – stwierdzano z ubolewaniem w Rzymie – na bezkompromisowość. Papież Grzegorz IX powierzył wówczas funkcję inkwizytorów dominikanom, którzy stali się niejako pełnomocnikami Stolicy Apostolskiej, niezależnymi od biskupów. Więzienie, skazanie na galery, utrata mienia – kary te stosowano nagminnie wobec wszystkich klientów inkwizycji, z wyjątkiem czarownic: te czekało zawsze autofała, czyli spalenie żywcem.

Jeśli wina była oczywista (jak np. w roku 1598 u Elwiry del Campo, która zmieniała bieliznę co sobotę!) – stos płonął niemal natychmiast. Jeśli skład orzekający miał wątpliwości lub szukał współników – rozpoczynało się śledztwo.

Najprostszym sposobem udowodnienia czarownicy wina było pławienie. Kobietę w metalowej klatce lub po prostu z powrozem pod ramionami spuszczano do stawu lub rzeki. Jeśli utonęła, sprawa była jasna; jeśli nie szła pod wodę (a sprzyjały temu obszerne spódnice) – trzeba było rozgrzewać katowskie szczypcy. Nim jednak wyszarpały one pierś lub kawałek pośladka – podejrzana musiała przysiąc „na Boga i świętą Dziewicę, że zezna prawdę co do siebie i innych”.

– Ja nie wiem, co mam mówić, powiem wszystko! – wyły podobno często czarownice na

śladem widok narzędzi tortur. Alіści męczne były – zwłaszcza w Niemczech – przez cztery dni, by przypomnieły sobie wszystko. A najlepiej pracowała ponoć pamięć w dniu trzecim, gdy „członki sztywniały, a męka szczególnie dotkliwszą się stawała”.

W dniu pierwszym kat najczęściej przypalał tylko stopy, a na różne części ciała (obowiązkowo na wzgórku Wenery) kładł rozpalone kamienie; w dniu drugim podciągał czarownicę na belkę na sznurze okręconym wokół przegubów związanych w tyle rąk. Przyjęte było, że ofiara tak długą musiała wisieć, aż sędziowie trzy razy zomłowili „Miserere”. W dniu czwartym, na zakończenie mąk, mistrz świętej sprawiedliwości wrywał wnętrze, do gardła zaś, metodą wypróbowaną na fałszerzach monety, lał roztopiony ołów.

Łagodni nad Wisłą

W Polsce inkwizycja nie szalała w stopniu równie nieograniczonym i niepohamowanym jak w Hiszpanii czy we Włoszech; oskarżenia o czary i nieunikniony stos omijały ludzi zamożnych i wpływowych. W śledztwie częściej niż w innych krajach ograniczano się jedynie do pławienia, chłosty i piętnowania. Tę ostatnią karę stosowano również wobec kobiet oskarżonych o cudzołóstwo, wypalając im na czołe wizerunek narzędzi pćciowych.

Do chłosty i kat, i sędziowie podchodzili z dużą ostrożnością. Jak piszą kroniki, zdarzało się często, że sprawiała ona biczowanym młodym kobietom widoczną „grzeszną rozkosz”, czyli, mówiąc językiem dzisiejszym, satysfakcję seksualną.

Karą dodatkową było wystawienie skazanej na widok publiczny, najczęściej nago lub w tym, co z odzieży, mimo bicia, przypalania, łamania kości itd., ocalała. Czarownicę trzymano nieraz kilka dni w klatce na rynku lub przy wjeździe do miasta; przywiązywano do stojącego pod ratuszem pręgierza; przykuwano ją również do muru bram czy świątyni metalową obręczą. Do dziś zachowała się taka metalowa „kuna” (stosowana również wobec niewiernych żon i nieuczciwych przekupek) przy bocznym wejściu do kościoła Mariackiego w Krakowie. Przed tym właśnie kościołem płonęły

również stopy z czarownicami, dowożonymi na egzekucję w uroczystej, publicznej procesji.

Różne poniżające wystawienia na widok publiczny znane były we wszystkich niemal krajach. We Francji szczególnie stosowane były w wypadku, gdy czarownica w czasie tortur bluźniła Bogu; przed przywiązaniem do pręgierza obcinano jej ząbki wargi lub język. W Niemczech czarownice przykuwano do bram miast w finezyjnie malowanej infule.

W Anglii po 1640 r. tortur nie stosowano już nigdy – z wyjątkiem spraw o czary. Podobnie stało się w 1754 r. w Prusach, wiosną 1776 r. w Austrii, a w jesieni tegoż roku również w Polsce. Stało się tak po głośnej sprawie „czarownicy z Doruchowa”: w wyniku oskarżeń sprosowanych przez miejscowego dziedzica spalono tam 14 kobiet uznanych za wiedźmy.

Miejscem ich tradycyjnych spotkań był głaz na szczycie okolicznej wzniesienia zwanego Łysą Górą.

Wiedźmy na Łysej

Łysych Gór (nie zawsze jest to nazwa urzędowa) jest w Polsce kilkadziesiąt, ma je każdy szanujący się powiat. Ta naj-

W USA najwięcej zwolenników czarnej magii i latania na miotle żyje w stanie Nowa Anglia; we Francji najliczniejsze stowarzyszenia czarownic i czarowników istnieją w Bretanii i Normandii.

W Wielkiej Brytanii stolicą czarownic i czarów jest miasteczko Castletown na wyspie Man. Mieszkają tam Scott i Monique Wilsonowie

– starsze małżeństwo (on emerytowany pilot RAF-u, ona absolwentka filozofii) pełniące rolę przywódców duchowych rytuałów. Owe rytuały nie mają nic wspólnego z satanizmem i kultem zła. Współczesne czarownice i ich wybrańcy spotykają się w odludnych miejscach, na leśnych polanach w górskich dolinach, wśród wielkich głazów służących ołtarze, na nadmorskich klifach. Odziani w białe szaty zdobne rytualnymi znakami albo w „światło gwiazd” – jak eufemistycznie określa się nagość – tańczą w korowodach, śpiewają pieśni i piją sherry.

George Ammit, socjolog i religioznawca, twierdzi, że obyczajom najkrótszej nocy hołdują w Wielkiej Brytanii na ogół ludzie wykształceni, dobrze sytuowani: lekarze, prawnicy, agenci giełdowi, artyści. Kobiety są najczęściej niezależne finansowo i samotne z wyboru.

sławniejsza, w Górach Świętokrzyskich, mierzy 600 m n.p.m. Opowiadają, że w noc świętojańską tłok na niebie nad nią jest nieraz tak ogromny, iż trzeba regulować ruch. Nie pomaga obecność klasztoru wystawionego tu, by zapobiec upiornym оргiom.

Sabaty czarownic odbywały się i odbywają nadal na Śnieżce w Karkonoszach, na szczycie Mogielnicy w Górcach, na kaszubskiej Wieżycy i pienińskich Trzech Koronach. W Niemczech wiedźmy spotykają się w noc Walpurgii na szczycie Brockenu w górach Harzu; ukochały też alpejski szczyt Gross Glockner, kilka szczytów we francuskich górach Owernii i walijskich Granpian.

Pierwsze w Polsce baby na miotłach pojawiły się pod koniec XV w. w Wielkopolsce i na Śląsku. U schyłku I Rzeczypospolitej najwięcej ich było w Małopolsce i na Rusi, najmniej na Mazowszu i Podlasiu. Ale, co ciekawe, tam właśnie przetrwały szczególnie licznie.

Reportarka warszawskiej telewizji Beata Postnikow nakręciła kilka lat temu cykl filmów dokumentalnych z Mazowsza o czarownicach. Były to kobiety w średnim wieku lub starsze, o których każdy w okolicy wiedział „że wiele mogą”. Po trosze zielarki i zamawiaczki pomagające ludziom i zwierzętom, trochę wróżki, ale bez kart taroka czy szklanej kuli.

Danuta Górecka, redaktor naczelny „Wróżki”, twierdzi, że polskie, dość liczne czarownice „prawdziwą moc przejawiają, kiedy im coś jest nie na rękę”. Czy uczestniczą w sabatach? Ten obyczaj raczej zanika. Polskie czarownice trzeciego tysiąclecia zdają się nie lubić licznych zgromadzeń. Mieszkają zwykle samotnie i to raczej ludzie przychodzą do nich, niż one bratają się z ludźmi.

Uwaga, bardzo ważne: podróży na Łysą Górę i innych praktyk czarodziejskich z reguły nie uprawiają niewiasty urodzone w środy, soboty i niedziele oraz noszą-

ce imiona Marianna i Michalina. Najczęściej widuje się na miotle Janiny i Łucje.

Okrakiem na miotle

Pora na pytanie kluczowe: dlaczego właśnie na miotle?

Ten rodzaj komunikacji odkryli już w XII w. francuscy mnisi, buntujący się przeciw kościelnej zwierzchności. Udując się na tajne spotkania kacerskie, smarowali się maścią pozwalającą wzbicie się w niebo. Maść rozprowadzano po ciele wkładaną potem między nogi pałeczką. Czarownice używały do tego celu miotły, z uwagi na jej kuszący, falliczny kształt. Siadały tedy baby okrakiem na miotle (bądź, obyczajem litewskim, na łopacie, służącej do wymowniania chleba z pieca, lub, jak na Podhalu, na ożdze do przegarniania węgla w kominie itp.), wołały: „Płat nie płat, wieś nie wieś, ty mnie, biesie, nieś” i – hajda na Łysą!

I bardzo dobrze. Niechże sobie lecą, a nam dadzą trochę od siebie odpocząć.

BOGNA WERNICHOWSKA
LESZEK MAZAN



Męczeństwo na sprzedaż

**Jaka przyszłość czeka kopię „Pochodni Nerona”?
Przedstawiający męczeństwo chrześcijan obraz na pewno
nie zawiśnie wśród wędlin, pieczywa i artykułów sanitarnych.**

Oryginał „Pochodni Nerona” pędzla Henryka Siemiradzkiego można oglądać w krakowskich Sukiennicach. Kopia znajduje się na razie w dzielnicy Łęg, w nie wykończonej jeszcze hali budowanego tu wielkiego centrum handlowego.

Dzieło artysty malarza Tadeusza Bystrzaka miało być jednym z najważniejszych elementów wystroju tego miejsca. Załącznikiem i zaczątkiem galerii sztuki, dzięki której zakupy miały zyskać nieco odświętny charakter.

Autor kopii, a zarazem plastycznej koncepcji całego centrum, popełnił jednak błąd. Nie przewidział emocji, jakie mogą wzbudzić „Pochodnie Nerona”. Przedstawiające kaźń pierwszych chrześcijan, raczej słabo kojarzą się z zakupami. Inwestor, koncern Metro AG, zniechęcony głosami opinii publicznej i negatywną opinią Kościoła,

zrezygnował z pomysłu umieszczenia kopii „Pochodni...” w swoim centrum handlowym.

Cztery żywioły i sklep

Tadeusz Bystrzak jest absolwentem Katedry Komunikacji Wizualnej krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Projektował m.in. scenografię dla Studenckiego Festiwalu Piosenki, wielkoformatowe reklamy, meble. Według jego projektów wykonano wnętrza apartamentów krakowskiego Pałacu Wodzickich przy ul. św. Jana. Przyłożył rękę do wystroju centrum handlowego M1 w Markach pod Warszawą, zajazdu „Siedlisko” na trasie Warszawa-Kraków i krakowskiego International House.

– Moja koncepcja wystroju centrum handlowego budowanego w Krakowie opiera się na multimedialnym i wizualnym wyobrażeniu czterech żywiołów – ziemi, wody, powietrza i ognia. Każde-

mu z nich przyporządkowałem odpowiedni element scenograficzny. Symbolem ognia miała stać się właśnie kopia „Pochodni Nerona” – mówi Tadeusz Bystrzak. Obraz miał zawisnąć na ścianie na wprost jednego z wejść. W stronę obrazu prowadziły czerwony dywan, umieszczony 30 centymetrów pod poziomem posadzki i przykryty szybą.

Poobcować przy okazji

Dlaczego wybór artysty padł właśnie na obraz Siemiradzkiego? – To proste. Od tego dzieła, podarowanego przez autora miastu Kraków, zaczęła się w roku 1879 historia Muzeum Narodowego. „Pochodnie...”, opatrzone w inwentarzu muzeum numerem 1, zawisły w Sukiennicach, które były wówczas zwykłym domem handlowym. Wykorzystanie kopii w nowym centrum podkreślałoby więc ciągłość tradycji. Poza tym za rok przypada 100. rocznica śmierci Siemiradzkiego, warto więc przypomnieć jego dorobek, a jesienią wchodzi na ekrany film „Quo vadis?”, opowiadający m.in. o wydarzeniach utralonych na obrazie.

A przede wszystkim chodziło mi o efektowne zapoczątkowanie nowej galerii, właśnie w centrum handlowym. Coraz trudniej przyciągnąć ludzi do salonów wystawowych, a odwiedzając centrum, mieliby okazję obcowania ze sztuką – mówi Tadeusz Bystrzak.

Wedle jego koncepcji po jakimś czasie „Pochodnie Nerona”

Siemiradzkiego-Bystrzaka miałyby zostać zastąpione innym dziełem sztuki. A każdemu z kolejnych obrazów towarzyszyłaby ekspozycja sztuki współczesnej. – Nadeszły czasy, w których to nie ludzie przychodzą do galerii, ale galerie muszą wychodzić do widzów – uważa Tadeusz Bystrzak.

Kurtuazyjny koncern

Przeciwko takiemu wykorzystaniu „Pochodni Nerona” wypowiedziało się jednak krakowskie Muzeum Narodowe, właściciel oryginału.

Od jesieni ubiegłego roku muzeum poszukiwało sponsora, który sfinansowałby renowację trzech wielkich płócien wiszących w Sukiennicach: „Pochodni Nerona”, „Czwórki” Józefa Chełmońskiego oraz „Kościuszki pod Racławicami” Jana Matejki. Podpisano w tej sprawie stosowną umowę z Fundacją Wspierania i Rozwoju Muzealnictwa w Polsce, która rozpoczęła poszukiwania firmy gotowej wesprzeć planowane prace. Fundacja dotarła do Tadeusza Bystrzaka, pracującego już wtedy dla koncernu Metro AG.

Rozpoczęły się rozmowy między Muzeum Narodowym a kon-

cernem. Muzeum miało wyrazić zgodę na wykorzystanie kopii obrazu będącego jego własnością, Metro AG miało sfinansować konserwację oryginału dzieła Siemiradzkiego (koszt obliczono na 100 tys. złotych) oraz wesprzeć kwotą 50 tys. zł system cyfrowej archiwizacji muzealnych zbiorów. Co istotne, przygotowywana umowa miała w gruncie rzeczy charakter kurtuazyjny – żadne przepisy prawne nie zobowiązują wykonawcy kopii do uzyskania zgody właściciela oryginału.

Wszyscy mówią „nie”

Wątpliwości dyrekcji MN budziło jednak wykorzystywanie tego właśnie dzieła w takim właśnie miejscu. – „Pochodnie Nerona” to obraz o charakterze religijnym. Centrum handlowe nie wydaje się właściwym miejscem dla ekspozycji płócien o takiej tematyce – mówi Zofia Gołubiew, dyrektorka krakowskiego MN.

Muzeum i koncern szukały więc kompromisu. – Zasugerowałam posłużenie się reprodukcją „Czwórki” Chełmońskiego. Zastanawialiśmy się również nad wykorzystaniem w hipermarkecie tylko

części „Pochodni Nerona”. Postaci umierających chrześcijan mogłaby na kopii zasłonić ściana ognia – mówi pani dyrektor. – Konsultowałam się z krakowską Kurią Metropolitalną, rozmawiałam z poprzednimi dyrektorami Muzeum Narodowego oraz z Kolegium Kustoszy. Wszystkie opinie były jednoznacznie negatywne. „Pochodnie Nerona” nie powinny zawiśniać w centrum handlowym.

Tymczasem na łamach krakowskiej prasy codziennej rozgorzała dyskusja publiczna. Swoje wątpliwości wyraził m.in. ks. Józef Nowobilski, dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego w Krakowie. – „Pochodnie Nerona” w supermarkecie to, moim zdaniem, profanacja. Nie da się tego wytłumaczyć estetycznie ani historycznie. Tak postępować ze sztuką nie wolno. Może gdyby temat obrazu był inny lub gdyby w tym sklepie była galeria, przybytek sztuki... – zastanawia się ksiądz dyrektor.

Swoich racji broni natomiast autor pomysłu. – Protesty są u nas rzeczą normalną, protesty wzbudza każdy pomysł wybudowania na przykład pomnika. Nie ja wybrałem ten obraz, zadecydowała

o tym historia. Obrazy o podobnej tematyce wiszą w wielu, czasem naprawdę bulwersujących miejscach.

Metro rezygnuje

W końcu wszystkie wyrażane publicznie wątpliwości podzielił koncern Metro AG. – Nie liczyliśmy głosów za i przeciw. Skoro idea wzbudziła kontrowersje, skoro ktoś mógł poczuć się urażony, postanowiliśmy zrezygnować z umieszczenia w naszym centrum kopii „Pochodni Nerona” – podsumowuje Renata Juszkiewicz, dyrektorka polskiego przedstawicielstwa firmy.

Zarząd Metro Real Estate Management Sp. z o.o. wydał nawet w tej sprawie specjalne oświadczenie. „Naszym zamierzeniem jest, by budowane w Krakowie centrum M1 było miejscem kojarzącym się z rodzinnymi zakupami, a nie miejscem budzącym szereg – czasem wątpliwych – kontrowersji” – czytamy w piśmie rozesłanym do prasy.

Decyzja koncernu ucieszyła Zofię Gołubiew. – Podkreślam jeszcze raz, iż rezygnacja z pomysłu to jedynie wyraz dobrej woli

Metro AG. Żadne przepisy prawne nie obligowały koncernu do uzyskania niczyjej, także naszej, zgody na wykonanie i zawieszenie kopii. Tym bardziej cieszy mnie takie rozwiązanie problemu, budzącego coraz więcej emocji – mówi pani dyrektor.

Co z kopią?

Nie rozwiązane pozostają jednak dwie kwestie. Pierwsza to sfinansowanie renowacji oryginału. Druga – przyszłość namalowanej już kopii, będącej naprawdę niecodziennym dziełem sztuki.

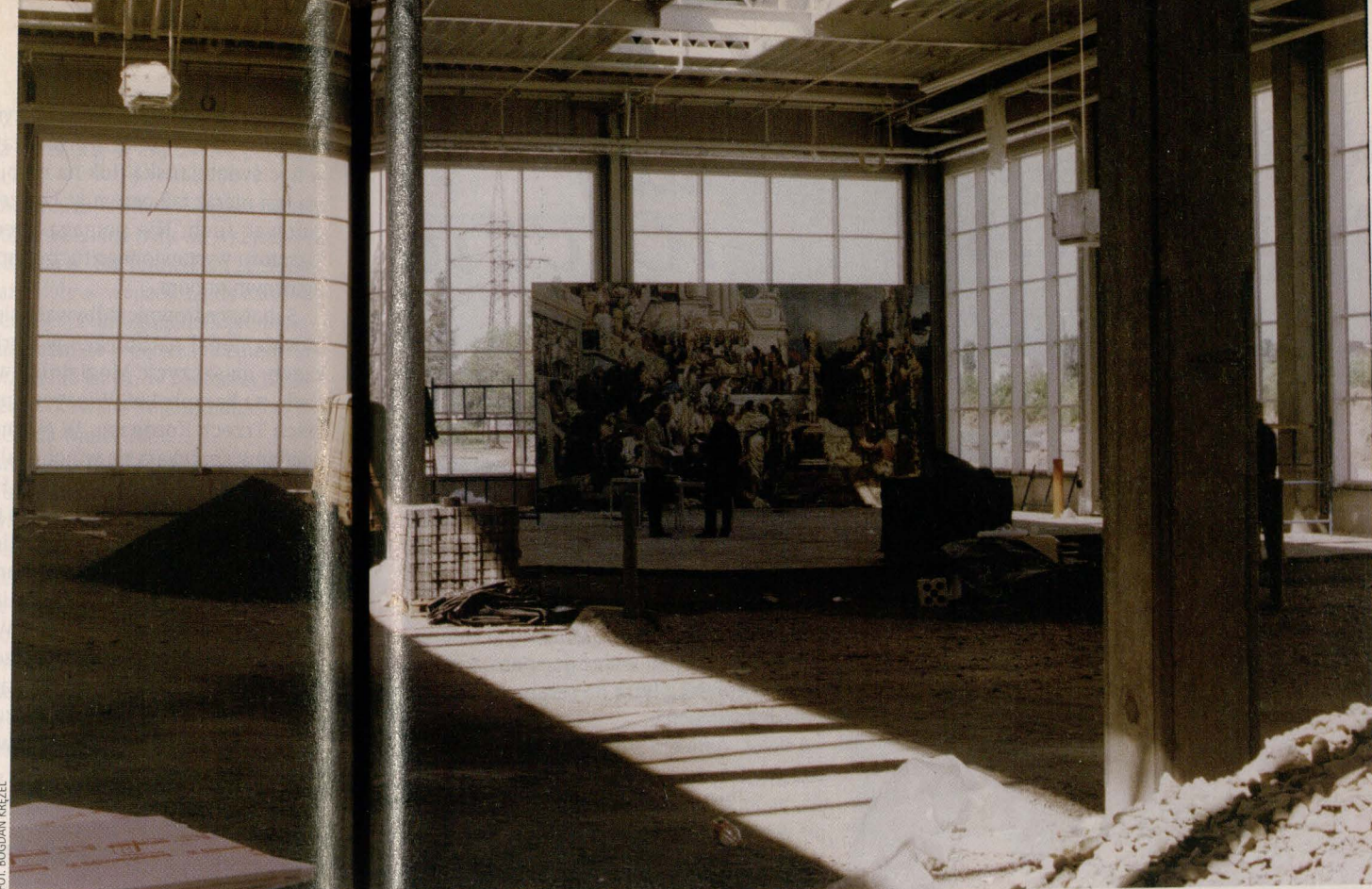
– Rozmowy o sponsorowaniu Muzeum Narodowego w Krakowie trwają – mówi Renata Juszkiewicz. – Mamy różne możliwości odwdzięczenia się naszym sponsorem. Może nieco bardziej konwencjonalne, ale skuteczne. Od umieszczenia emblematów sponsora w naszych placówkach, po zgodę na wykorzystywanie reprodukcji naszych obrazów w drukach reklamowych – dodaje Zofia Gołubiew.

Nie wiadomo jednak, co stanie się z kopią, ani co zajmie jej miejsce w galerii budowanego centrum handlowego. – Decyzje zapadną w ciągu dwóch tygodni – zapewnia Renata Juszkiewicz. Zofia Gołubiew uważa, że kopia mogłaby być przez jakiś czas ekspozowana w Rynku Głównym, może nawet na fasadzie Sukiennic. – To byłaby chyba niezła reklama podczas pierwszych dni działalności centrum M1 – mówi.

Inne problemy ma teraz Tadeusz Bystrzak. – Zaproponowałem inwestorowi zastąpienie kopii „Pochodni...” moim obrazem „Cztery żywioły”. Zobaczmy, jaka będzie decyzja

Na razie przyszłość płótna mierzącego 710 na 470 centymetrów jest wciąż niejasna. Może najlepszym wyjściem byłoby zorganizowanie aukcji? Rozgłos, jaki dzięki „Pochodniom...” zdobyło już nowo budowane centrum, jest naprawdę niemały. Dzięki aukcji mógłby być jeszcze większy. Tak czy tak, oto Henryk Siemiradzki, twórca obrazów historycznych i religijnych, inspirator powołania Muzeum Narodowego, zdobył już niezłe miejsce w historii polskiej reklamy.

WŁODZIMIERZ JURASZ



Kopia „Pochodni Nerona” niedługo zniknie z pawilonu przyszłego supermarketu



Artysta Tadeusz Bystrzak nie przewidział, jakie emocje może wzbudzić jego pomysł

HOFF

Jeszcze o fiolecie

Fioletów, jak i innych kolorów, jest mnóstwo. Różne odcienie, maleńkie domieszki mają zresztą dziesiątki nazw. Ale możemy też sprawę spłycić, zbanalizować i powiedzieć dla uproszczenia, że by się prędko dogadać, że fioleto są dwa: lila i fiolet. Ten pierwszy jest jasny, ten drugi jest średni lub ciemny.

I teraz patrzcie, co się dzieje: lila noszą modne dziewczyny, stał się ulubionym kolorem młodej blondynki, widać go sporo w wersji mocno opiętej z lycrą na seksownym ciałku nieco opalonym.

A fiolet? A fioleto jest pełno dookoła, bo noszą go głównie dwie grupy kobiet. Starsze panie, bo im ślicznie do siwych włosów. Orasz panie w sportowej wygodnej kurtce typu nieprzemakalnego z kreszu albo czegoś innego. Kurtka jest duża i obszerna, pochodzenia raczej barowego albo ze sklepu mniej ambitnego, nie posługującego się tajemniczymi metkami Versace czy Jean Claude. Panie trochę starsze, a trochę w sportowej kurtce czy jakiejś fioletowej bluzie, młodszy ostrym paniąkom wydają się zupełnie nie interesujące się modą i noszące swoje fioleto kurtki tylko z rozpędu, bo takie dawali. Nie ma przypadków. Może, kiedy człowiek wyskakuje w nocy nagle z łóżka przez okno w gatkach z płonącego domu w czasie bombardowania, łapiąc po drodze jedyny ciepły szalik (mam taką pamiątkę rodzinną), to potem los może go skazać przez pierwsze dni na noszenie rzeczy przypadkowych. Całe życie raczej wybieramy. To właśnie jest tak fascynujące, kiedy patrzymy na ludzi, co noszą. Ale o tym będzie kiedyś osobno. Dziś o tym fiolecie, co go pełno u nas w formie dresów, kurtek i jakichś okropnych beblochów, nic z supermody, tylko samo wychodzenie z psem w czymś, co wisiało najbliżej drzwi. I tak nam się to może kojarzyć, i nie pcha nas do noszenia fioletowej sukni.

A jak wszedł w modę kilka lat temu w lecie pomarańcz, to wszyscy brr!, że się kojarzy z tymi, co sprzątają ulice. I bądź tu projektantem w Polsce. Biały kojarzy się z lekarzem, czerwony z komuną, brązowy z cukierkiem krowka, po którym zrobiło mi się niedobrze. No, przestańcie, proszę.

FOT. ROBERT KULEZA

Adama Wiedemanna Dziennik „duszy“ (17)



FOT. BOGDAN KRZEL

Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich i prozatorskich. Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE. Ostatnio często jeździ na stypendia.

1.06.01

Pierwszy sen w B. Jestem u rodziców w Książenicach i już się właściwie zbieram do wyjazdu, kiedy tato mówi: Nie możesz tak wyjechać, nie widziałeś jeszcze, co się dzieje u nas pod wzgórzem. Więc biorę rower i tam jadę, a tam trzy dziewczynki, na oko siedmioletnie, siedzą przy stolikach i udzielają młodszym dzieciom swojego daru. Jest to dar czytania i pisania. Dzieci podchodzą do dziewczynki i po chwili mogą już prezentować publicznie swoje umiejętności. Niektóre - dla większego efektu - czytają jakieś łacińskie sentencje.

Potem ktoś przeprowadza wywiad z najważniejszą dziewczynką, posądza ją o korszachy z siłami nieczystymi.

- Nie mamy nic przeciwko chrześcijaństwu - stwierdza dziewczynka - i mogłybyśmy występować nawet w kościele, ale krzyża to nie lubimy. Wszędzie, gdzie występujemy, domagamy się usunięcia wszystkich krzyży.

Otwieram oczy i słyszę dziwne dźwięki: to Steffi chlipie w kuchni, pewnie ma jakiś problem, wołę spać dalej, dziewczynka zmienia się w Martę Podgórnik, która przez godzinę prawi mi natrętne morały.

3.06.01

Koncert Filharmoników Berlińskich, w orkiestrze sami młodzi ludzie, już tylko jeden kontrabasista wygląda na takiego, co pamięta czasy Karajana. Jakimś cudem udało nam się dostać ostatnie dwa

bilety, siedzimy z boku, na balkonie, sala pęka w szwach.

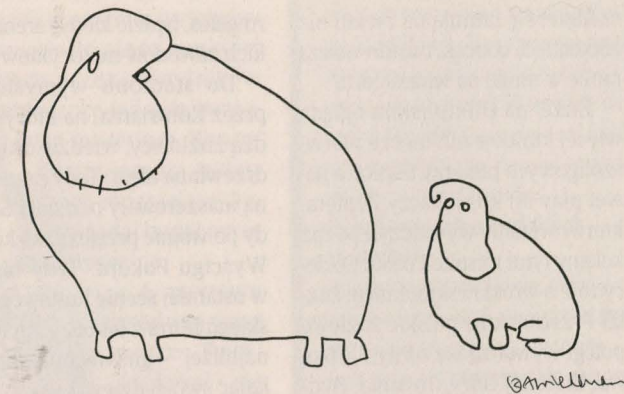
- Czosnek - mówi Jasiu pomiędzy utworami. - Czujesz? Ktoś jadł przed koncertem.

- Pewnie Barenboim - mówię, bo właśnie wraca na estradę i się kłania. Nieduży, łysy dyryguje, chodząc, a że pomiędzy nim a orkiestrą stoi fortepian z taboretom, w każdej

4.06.01

Leżymy na tapczanie i oglądamy telewizję, w telewizji wszystkie programy są o samochodach albo o Jezusie; przez dłuższy czas zastanawiam się nad tą dziwną prawidłowością, aż w końcu przypominam sobie, że to przecież Zielone Świątki.

teraz ty tu sobie posiedź,
a mamusia skoczysz
do kosmetyczki.



chwili grozi to wpadnięciem na któryś mebel i złamaniem karku. W końcu siada i sam zaczyna grać, nareszcie spokój, można skupić się na muzyce. Jego Mozart sentymentalny, ale w granicach przyzwoitości, dopiero w kadencji eksplodują takie ładunki liryzmu, że aż obecne na sali jakieś dziecko nie wytrzymuje i zaczyna rzewnie płakać. Na szczęście część się zaraz kończy i możemy rozładować sytuację rzęsiłymi oklaskami.

7.06.01

Polsko-niemiecki most radiowy. Polega to na tym, że przyjechali do K. poeci z Norymbergi i jesteśmy razem nagrywani na taśmę, po czym taśma zostanie pocięta i to, co było po niemiecku, polecą w Niemczech, a to co po polsku - w Polsce. Cała akcja odbywa się z udziałem publiczności, dla której musi to być (muss es sein) niewiarygodnie wprost nudne, choć nie brak też momentów przygotujących o uśmiech. Poeta

Schramm (w szaliku z różowymi kwiatkami, co na antenie radiowej nie będzie już niestety widoczne) czyta swój wiersz po polsku, w związku z czym bohater utworu, przechadzając się plażą, słyszy kruka, srokę i Sojkę.

Bronek Maj opowiada o swojej kombatanckiej przeszłości i nie może się zdecydować, czy czasy schyłkowej komuny były ponure i okropne (bo takie po prostu były), czy też - wręcz przeciwnie - wspaniałe (bo ludzie przychodzili wtedy tłumnie na sesje mówionego NaGłosu i w nabożnym skupieniu słuchali wierszy). Jak się tak zastanowić, to naprawdę trudno stwierdzić, co ważniejsze: moja własna sytuacja, czy sytuacja poezji?

8.06.01

Mamy z Kuczkiem wieczorek w G.; do mojego występu dotrwało może z pięć osób. Poezja polska zawsze lubiła się objawiać w okropnych okolicznościach.

10.06.01

Tymczasem w nowej Res Publice pani prof. Brach-Czaina zauważa zniechęca, że przestaliśmy cierpieć. Powody do cierpienia nadal są, ale nas opuściła już ta umiejętność, tam gdzie dawniej cierpiano, my się tylko niecierpliwimy; niedługo zaczniemy się dziwić, dlaczego Jezus na krzyżu nie wziął po prostu jakichś znieczulających pigułek (już zresztą spotkałem się z teorią, że właśnie wziął).

Cztery okrażenia w dużym mieście



Na nieco zrujnowany stadion wrodawski tłumnie przychodzą kibice żużla

- A pierwszy mistrz polski w żużlu nazywał się Breslauer - mówi ojciec do syna, wracając zadrzewioną aleją z wrocławskiego Stadionu Olimpijskiego.

Nigdzie w świecie żużlowi nie powodzi się tak dobrze, jak w Polsce. Żaden polski stadion żużlowy nie mieści tylu kibiców, co nieco zrujnowany stadion wrocławski.

We Wrocławiu na żużel się chodzi, bo wypada. Na Olimpijski idzie się nie tylko dla sportu. Również po to, by się spotkać ze znajomymi, wypić piwo i zjeść gorącą kiełbasę. Przychodzi się całymi rodzinami, bo szalikowcy żużlowi nie są żużlią z boisk piłkarskich, pokojowo nastawieni do siebie i świata. Czy może jest tak dlatego, bo żużlowcy

rzadziej się faulują na bieźni niż lekkoatleci, chociaż twardo walczą ramię w ramię na wirażu toru?

Żużel na Olimpijskim ogląda więcej kibiców niż mecze pierwszoligowych piłkarzy Śląska, a nawet play off koszykarzy Zeptera, którzy właśnie wywalczyli po raz kolejny tytuł mistrza Polski. Co decyduje o wrocławskim kulcie żużla? Przecież inne polskie żużlowe potęgi wywodzą się z Piły, Gorzowa, Zielonej Góry, Torunia, Bydgoszczy czy Leszna, a więc miast małych, które może w ten sposób odreagowują brak profesjonalnego futbolu i innych igrzysk.

Kompleks olimpijski

Pochodzący z Kępna architekt, Ślązak Richard Konwiarz, uczeń słynnego Berga, zaprojektował i zbudował kompleks Olimpijskie przed II wojną światową.

Sport żużlowy dopiero raczkował i nikt nie przewidywał, że obiekt, za który projektant dostał brązowy medal na konkursie architektonicznym Olimpiady w Los

Angeles, będzie kiedyś areną wielkich zawodów motocyklowych.

Do stadionu wymyślonego przez Konwiarza, na którym jeżdżą żużlowcy, wiedzie długa zadrzewiona aleja. Tędy przed wojną maszerowały oddziały SA. Tędy po wojnie przejeżdżali kolarze Wyścigu Pokoju. Tędy biegał w ostatniej scenie kultowego polskiego filmu z lat 60. - „Uciec jak najbliższej” - główny bohater, szukając swojej dziewczyny.

Na torze wrocławskiego stadionu Polacy po raz pierwszy sięgnęli po wielkie światowe trofea - drużynowe mistrzostwo i sukcesy indywidualne. W 1970 r., w finale indywidualnych mistrzostw świata, mistrzem został Nowozelandczyk, Ivan Mauger. Rybniczanie, Waloszek i Woryna, byli tuż za nim. Batiarskie, lwowskie tradycje były jednak na tyle żywe, że w kolejkach mówiono - na torze wygrał, owszem, ale oberwał od jakiegoś batiara z Księży Małego, chulińskiego wtedy przedmieścia Wrocławia.

Towarzyszący tamtym zawodom najazd szwedzkich i brytyjskich kibiców żużla dla prowincjonalnego miasta był jak świeży łyk powietrza z innego świata.

Dekawki z legendy

Potem „polskie” finały mistrzostw świata rozgrywano już na chorwackim gigancie. Sparta, która w latach 50. była czterokrotnie wicemistrzem Polski, a Kupczyński i Pociękiewicz zdobywali indywidualne mistrzostwa, nie była już tak mocna. Może dlatego legendę o inwalidach oświetlających lampami swoich dekawek tor, gdy w czasie finału drużynowych mistrzostw świata zgasiło światło - opowiadano we wrocławskich domach przez kilka pokoleń.

Renansans zaczął się w latach

90., gdy żużel we Wrocławiu zajął się związany z Solorzem rzutki prawnik i dobry organizator, Andrzej Rusko. Udało się zbudować zespół, który trzy lata pod rząd wygrywał ligę. Teraz Ryszard Czarnecki, poseł ZChN, niezmiennie wygwizdywany na meczach żużlowych (jak większość polityków, chcących wypromować się za pomocą sportu) jest według wielu obserwatorów najlepszym i najpewniejszym „zawodnikiem” drużyny żużlowej Atlas Wrocław.

W dużej części dzięki jego przedsiębiorczości udaje się co roku zmontować drużynę, która powinna już dawno być mistrzem Polski. Byłaby, gdyby nie fenomenalny bydgoski zawodnik Tomasz Gollob. I klubowa wiara w magię nazwiska. To ona sprawia, że Atlas (dla niektórych wciąż Sparta) dokonuje nieustannych transferów. Dziś poza juniorami żaden z zawodników nie pochodzi z Wrocławia. Kosztowne zakupy cudzoziemców sprawdziły się dotąd tylko w przypadku Amerykanina, Grega Hancocka, mistrza świata z 1997 r. W tym sezonie dobrze jeździ też drugi cudzoziemiec, Anglik Nicholls. Nie ma jednak pewności, czy najbogatszy klub żużlowy w Polsce, a kto wie, czy nie świata - wygra...

Pierwszy wiraż

Najważniejszy jest pierwszy wiraż po starcie, gdzie pędzący na pełnej szybkości jeżdż-

cy dotykają się prawie kierownicami. Tam, na prawo od trybuny VIP-ów i dziennikarzy, zajmują miejsca najwytrawniejsi kibice. Naprzeciwko głównej trybuny siedzą szalikowcy, przeważnie uczniowie i studenci, których nie stać na droższe bilety. Czarnecki próbuje przyciągnąć młodzież, fundując zorganizowanym grupom z gimnazjów i paniom wstęp za darmo.

Po meczu wracający zadrzewioną aleją tłum jest spokojny, stonowany. Zaraza chamsstwa, brutalnych starć kiboli z policją i między sobą - jeszcze nie dotarła do Wrocławia, nie sięgnęła zresztą większości żużlowych stadionów.

Wystarczył jednak niezaspokojony głód sukcesu, żeby w Lesznie, wieloletniej mekce polskiego żużla, kibice najpierw pobili się przyjezdnymi torunianami, a na następnym meczu z ochroną miejscowego stadionu. Wreszcie, po porażce z Atlase, jeden z nich uderzył Czarneckiego, tłumacząc się potem: „Myślałem, że biłem szalikowca”.

Ale we Wrocławiu - na razie - dalej panie w zniszczonych płaszcach i starych adidasach, palące papierosy, wypełniają pracowicie program wyścigów. Wpisywanie do niego punktów zdobytych przez zawodników jest jeszcze jednym żużlowym misterium. Rzucone czasem na trybunach mocniejsze słowo nadal budzi poruszenie.

- A pierwszy przedwojenny mistrz Polski nazywał się Breslauer, choć jeździł w klubie z Katowic - mówił ojciec do syna, idąc w rzedniejącym z przecznicę na przecznicę tłumie po jednym z kolejnych meczów, który faworyzowany Atlas znow z trudem wygrał.

LESZEK BUDREWICZ



Kibol w akcji

Źródła agresji należy szukać poza stadionem - mówi prof. HALINA SEKUŁA-KWAŚNIEWICZ, socjolog sportu.

Dlaczego sport, zamiast uczyć zasad fair play, wywołuje odruchy barbarzyństwa?

Już w starożytności między kibicami dochodziło do krwawych starć. W roku 532 p.n.e. w Konstantynopolu podczas wyścigów rydwanów zginęło blisko 30 tys. osób. W Pompei w 59 r. n.e. rozentuzjizmowany tłum wtargnął na arenę podczas walk gladiatorów. Wydano zakaz organizowania zawodów przez następne dziesięć lat. Pierwszą informację o agresji kibiców w czasach nam bliższych zamieściła w roku 1888 gazeta „Athletic News”. W roku 1923 publiczność niezadowolona z wyniku meczu piłkarskiego na stadionie Wembley uspokoiła jeden policjant na białym koniu. Współczesne chuligaństwo o cechach kryminalnych pojawiło się na stadionach brytyjskich na początku lat pięćdziesiątych. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych do agresywnych fanów klubowych dołączyli skinheadzi. Uzupełnili oni lokalny szowinizm kibiców hasłami nacjonalistycznymi i rasistowskimi.

Co jest przyczyną brutalnych ekscesów?

Problem agresji w sporcie, mimo wysiłków przedstawicieli nauk społecznych, jest ciągle jeszcze słabo poznany. Lecz przecież powstawały pewne teorie na ten temat.

Najpierw uważano, że agresywni kibice to wyłącznie młodzież rekrutująca się z nizin społecznych. Ale po tragedii na stadionie Heysel w Brukseli okazało się, że wśród agresywnych kibiców angielskich byli uczniowie elitarnych szkół i młodzi przedstawiciele klasy średniej. Podczas zamieszek towarzyszących meczom finałów piłkarskich mistrzostw Europy w zeszłym roku policja zatrzymała m.in. przedstawicieli wolnych zawodów. Nie wytrzymały też krytyki próby tłumaczenia agresji na stadionach przejawianiem się odrębnej subkultury młodzieżowej bądź

przez pryzmat psychologii tłumu. Być może kluczem do zagadki jest koncepcja amerykańskiego socjologa H. Kellermana, który opisał małe grupy społeczne wyróżniające się wysoką spójnością wewnętrzną. Jest to swoista wspólnota uczuć i czynów. Takie są grupy kibiców piłkarskich. Jednostka, która postępuje wbrew przyjętym w grupie wzorcom, jest karana. W zhierarchizowanej strukturze grupy szuka się ciągle kozłów ofiarnych w myśl zasady, że nic tak nie łączy jak wspólny wróg.

Jak to możliwe, że uczniowie elitarnych szkół na stadionie zamieniają się w prymitywnych chuliganów?

Rygory obowiązujące w grupie wykluczają jakąkolwiek samodzielność jej członków. Młodzi ludzie nabierają skłonności do posłuszeństwa i stają się anonimowymi wykonawcami poleceń grupy. Zanikaniu hamulców sprzyja stan skrajnego optymizmu i złudzenie, że własnej grupy nie może spotkać nic złego.

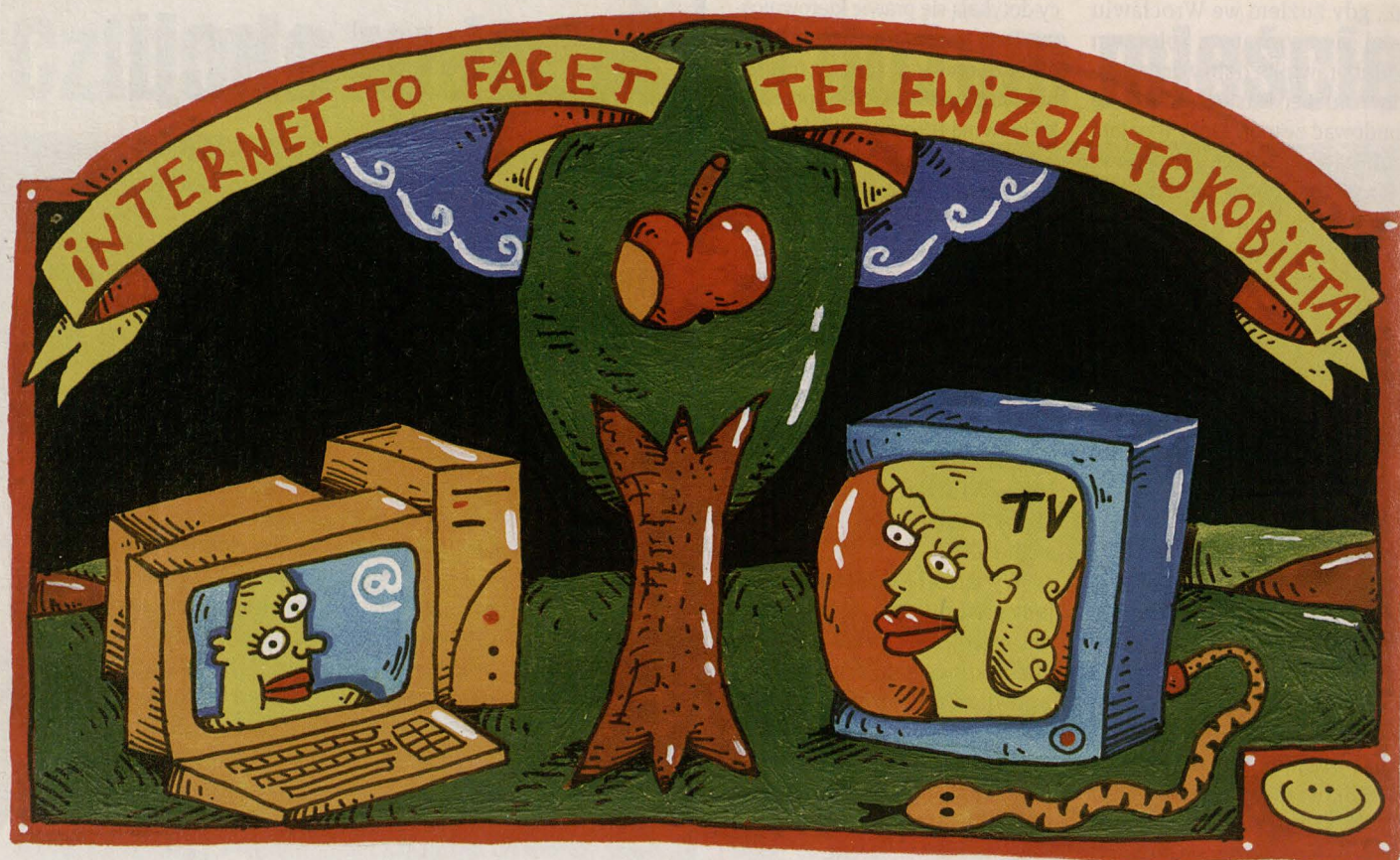


Łączy ich wspólny wróg

Jak walczyć ze zjawiskami, o których mówimy?

Źródła agresji należy szukać poza stadionem i klubem sportowym. Dotychczasowy system wartości związany z rodziną, środowiskiem rówieśniczym, szkołą i rynkiem pracy ulega załamaniu. Pozbawieni oparcia w tradycyjnych instytucjach życia społecznego młodzi ludzie skłaniają się w stronę grup opisanych przez Kellermana. I to właśnie owe grupy stają się substytutem rodziny, sąsiedztwa czy szkoły. W tej sytuacji perspektywa uwolnienia stadionów od agresywnych kibiców rysują się mało realnie.

Rozmawiał LESŁAW PETERS



Wredny facet

Styl i ton nadają sieci mężczyźni. Styl wulgarny, ton obraźliwy dla kobiet.

Telewizja to kobieta – uważają niektórzy. Jestem skłonna się z tym zgodzić. Zbyt często przypomina niemądrą, nałogową czytelniczkę kiepskich pisemek. Za to Internet na pewno jest facetem: równie niemądrym, a dodatkowo prymitywnym, traktującym kobiety obraźliwie i użytkowo. Ujawnia to – chyba niechęcący – analiza najpopularniejszych haseł w wyszukiwarce Wirtualnej Polski. Mylą się ci, którzy mniemają, że wyszukiwarek używamy do umysłowego doskonaenia czy łączności ze światem.

Wirtualna Polska zadała sobie trud solidnego poznania naszych upodobań, badając czę-

stotliwość wpisywanych haseł w skali tygodnia, miesiąca i roku. Analiza ta wystawia nam marne świadectwo. Pryska mit o „wyższym poziomie intelektualnym internautów”, tak ochotczo lansowany przez opiniotwórcze tygodniki.

Portal www.wp.pl ma codziennie prawie 4,9 mln tzw. odston – czyli niemal 150 mln miesięcznie. To niebotyczna liczba. Ogromna część internautów nie wchodzi tu tylko po to, aby przyjrzeć się aktualnościom. Większość wpisuje w wyszukiwarce określone terminy. Tylko naiwni wierzą, że są to pytania pomocnicze do prac naukowych, samoedukacji,

poznawania świata, usprawniania pracy mózgu itp.

„Porno” bije rekordy

„Porno”, „seks”, „panienki”, „laski” – najczęściej poszukiwane hasła. Wybierają je głównie mężczyźni. Oni też tworzą te szokująco wulgarnie strony, których charakter i tytuły budzą podejrzenie, że ich autorami są albo dewianci-małolaty, albo psychopatyczni osobnicy w dowolnym wieku.

Wirtualna Polska prezentuje 50 najpopularniejszych haseł. Aż 15 wśród nich w taki czy inny sposób wiąże się z seksem. Niby niewiele, ale aż pięć (porno, seks, Playboy, laski, nasto-

latki) znajduje się w pierwszej piętnastce (w zestawieniu rocznym – sześć). Gdyby chodziło tylko o seks, wszystko byłoby w porządku. Niestety, w przypadku Internetu idzie na ogół o jego wynaturzenia, o przedstawianie spraw związanych z seksem w sposób możliwie najprymitywniejszy.

Hasło „porno” (koniec maja) zajmuje miejsce nr 2 – ostatnio ustąpiło pierwszego miejsca Big Brotherowi – ale Big Brother to też pornografia, tyle że umysłowa. Już w analizie rocznej porno ma bezwzględnie pierwsze miejsce. Wprawdzie znajdziemy tu również ciekawy poznawski zespół „Pidżama Porno”,

oficjalną stronę zespołu „Big Cyc” czy gazetkę szkolną 76 Liceum Ogólnokształcącego, nazwaną w skrócie „Porno” (Pierwszy Ochocki Ruch Na Rzecz Odnowy Licealistów) – ale przeważają „seksbutiki” i magazyny stricte pornograficzne, przy których te papierowe, znane z kiosków, wyglądają na niewinne „świertszczyki”. W internetowych wersjach ich autorzy są nie tylko chamscy, ale i brutalni.

Obrzydliwie i groźnie

W tym zalewie sieciowej pornografii jest coś nie tylko obrzydliwego, ale groźnego.

Tytuły stron są agresywne, tak jakby ich autorzy usiłovali wyzbyc się kompleksów. Hasła „porno” czy „seks” nie wyczerpują tematu. Pojawia się on pod różnymi synonimami: laski, nastolatki, filmiki. „Laski” to także „galerie pięknych kociaków” (czemu nie), lecz przede wszystkim galerie pornosów, łączonych z tekstami pełnymi dosadnych określeń na kobiety, włącznie – a raczej przede wszystkim – z najobrzydliwszymi na czele. Niestety, znajdziemy tu też sławne podwarszawskie Laski, czyli Zakład dla Ociemniałych i normalny internauta dostaje dreszczy na myśl o sieciowym towarzystwie dla tej zasłużonej placówki. No cóż, w Internecie trudno liczyć na wrażliwość...

Wciąż powtarza się tajemnicze słowo „amatorki” (miejsce szesnaste) i domniemanie, o co chodzi, natychmiast się potwierdza... Istnieją też słowa-szyfry, których znaczenia trudno byłoby się domyślić – np. „katarynka”. Gdy kliknęłam w to niewinne słowo – wyskoczył mi „spis najlepszych polskich stron erotycznych, seks bez cenzury”, tuż obok „Katarynki” Prusa.

Nr 19 na liście najczęściej poszukiwanych haseł zajmuje Nokia, ale zaraz po niej hasło „dupy” sąsiaduje z „Unią Europejską”. Myślę sobie, że kobiety nigdy nie wymyśliły tylu obraźliwych, poniżających określeń dla

mężczyzn – i że wejście do Unii Europejskiej wcale tego nie zmieni.

Ciekawe, jakie hasła – poza tymi związanymi z seksem – pojawiają się najczęściej. Może te pozostałe wystawia internautom świadectwo intelektualnego rozwoju? Potwierdzą potoczną opinię, że internauta to człowiek o wyższej kulturze i lepszym wykształceniu? Niestety – nie.

Gdzie są orły

Miejsce nr 3 należy do mp3, czyli ściągania ulubionych muzycznych plików (niekoniecznie legalnych). Czwarte – dzierży hasło „SMS”, czyli wysyłanie krótkich tekstowych wiadomości przez komórki. Kolejne miejsce – to „Dragon bell”, czyli modna gra komputerowa. Modelki, horoskopy i wypracowania – to następne trzy pozycje. Klikam w „wypracowania”... Jak słusznie się domyślam, jest tu wszystko, co potrzeba, żeby ściągnąć zadanie z każdego przedmiotu. Niektórzy oferują to za darmo, inni za kasę. Pozostałe hasła: Nokia, pokemony, tapety, praca, gry, manga, sterowniki, PKP, Britney Spears, Winamp i Napster (programy do ściągania plików muzycznych). „Dwa światy” Polsatu są na 31. miejscu. Na 35. matura, czyli giełda, na której maturzyści ostatnich lat wymieniali się poradami. Nr 43 to chat, a 44 – geje. Na miejscu 50. są opowiadania erotyczne...

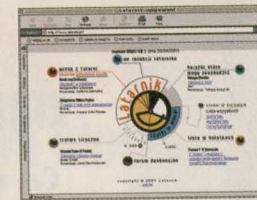
Teraz przeglądam zestawienie roczne. Na pierwszym miejscu porno, erotyka to miejsce trzecie, a seks szóste.

No cóż, Internet to na pewno facet. Niezbyt mądry, hołdujący niewybrednym rozrywkom, obdarzający kobiety obraźliwymi określeniami. Przegląd pozostałych najpopularniejszych haseł w wyszukiwarce wp.pl dowodzi, że orłów tu raczej nie ma.

To gdzie są te orły męskiego rodzaju...? Pewnie się kryją.

DOROTA TERAKOWSKA

LATARNIK WAM PRZYŚWIECI



Niewiele mamy pism literackich i skąpe są rubryki recenzenckie w gazetach – nie sposób, aby ocenić w nich wszystko, co ukazuje się na rynku książki. Ale jest w Internecie strona Latarnika, którą polecam, gdyż pomaga zorientować się w księgarskiej dżungli. W dodatku

recenzje pisane są lekko, językiem felietonowym i przystępnym, niekiedy pamfletowo. Sporo jest też o wydawcach i ich wydawniczej ofercie.

<http://www.latarnik.pl/>



SYNDROM DOWNA

To znakomita strona, która bardzo pomaga wszystkim, którym urodziło się dziecko z syndromem Downa, z porażeniem mózgowym lub inną dziecięcą chorobą – i którzy są bezradni, przerażeni. Tu znajdują ogromną rzeszę przyjaciół, która pokieruje ich pierwszymi krokami,

liczne porady, gdzie się udać o pomoc, co im się należy, czego się wystrzeżać. Mnóstwo pożytecznych adresów i ważnych kontaktów. A przede wszystkim pomoc i zrozumienie.

<http://www.dzieci.org.pl/main.shtml>



SZKLANA POGODA

Nigdzie się nie ruszam, jeśli nie sprawdzę, jaka będzie pogoda. Jest dużo adresów, pod którymi możemy to zbadać, ze sporym wyprzedzeniem i we wszystkich częściach świata. Jadąc do Niemiec, sprawdziłam i choć prognoza była mylna (padało cały czas) – o wiele przyjemniej pakowało się walizkę. To tylko jeden z tych praktycznych adresów; inne są na www.onet.pl, na www.yahoo.com i prawie w każdym porządnym portalu. Czasem podają skrajnie różne prognozy. A jednak lubię tam zajrzeć.

<http://blubit.com.pl/pogoda/>



EMPIK W KOMPITERZE

Na tę stronę ostro głosowali internauci, gdy przyznawano „Złote witryny” – i jest ona bardzo praktyczna. Należy do ogólnopolskiej sieci „empików”, czyli dużych salonów z компактami, książkami, gramami komputerowymi, czasopismami,

filmami na DVD i masą innych rzeczy. Tu dowiecie się, co jest aktualnie na topie w danej dziedzinie, poczytacie sobie listy bestsellerów i ciekawe recenzje, kupicie wszystko, co umila czas – a w dodatku zrobicie to paroma kliknięciami.

www.empik.com.pl

(TER)



SKOŃCZYĆ GAUDIEGO

Prawdopodobnie jeszcze dwadzieścia lat potrwa budowa katedry Sagrada Família w Barcelonie – tak uważa naczelny architekt budowy Joan-Jordi Bergos. 19 marca 2007 roku, w 125. rocznicę wmurowania kamienia węgielnego pod budowę, wnętrze świątyni będzie na tyle gotowe, aby umożliwić odprawienie mszy świętej. Sagrada Família jest największym dziełem hiszpańskiego architekta Antonia Gaudiego. Po rozpoczęciu wznoszenia katedry w roku 1882 Gaudi prawie nie opuszczał placu budowy. Mimo to do końca życia zdołał ukończyć jedynie wieżę fasady „Narodzenia”. Prace wznowiono dopiero w latach 40. XX wieku. Nawę główną ukończono w zeszłym roku. Budowa w całości finansowana jest ze składek publicznych. (SR)

SAMOŁOT NA DRODZE

Na świecie istnieją tysiące małych lotnisk, na których można wylądować prywatną awionetką, ale nie ma na nich wypożyczalni samochodów. Dla pilotów, którzy muszą mieć środek lokomocji również na ziemi, Roger L. Williamson, emerytowany pilot USAF, zaprojektował „Roadrunnera” – samolot i samochód w jednym. Na pierwszy rzut oka przypomina on zwykłą dwuosobową awionetkę. Jednak po wylądowaniu kabinę można odłączyć od tylnej części kadłuba. Składa się śmigło i powstaje trójkołowe autko. Projekt nieco przypomina podobne przedsięwzięcie z 1973 roku, kiedy w Kalifornii zbudowano samolot będący połączeniem Forda Pinto i awionetki Cessny. (AS)

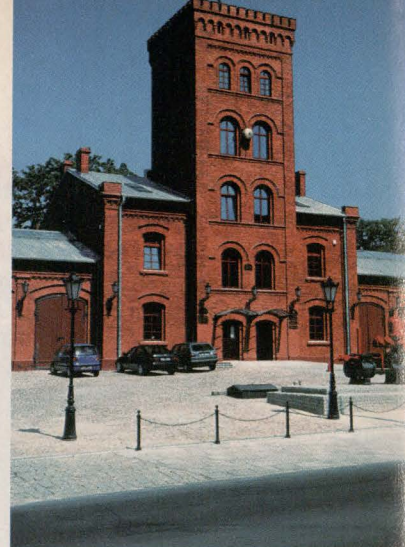
Starych fabryk zmartwychwstanie

Czy stary budynek produkcyjny musi straszyć zdewastowanym wyglądem? Nie, czasem może się jeszcze przydać.

Każde duże miasto ma w swym krajobrazie zdewastowane budynki – dawne hurtownie, hale produkcyjne czy magazyny. Wybite okna i sforsowane zamki kuszą tylko bezdomnych, pijaków i narkomanów. O tych budynkach myślimy mimowolnie jak o zabytkach ery przemysłowej. Stare fabryki i hurtownie najczęściej mają skute fasady, a wewnątrz zdewastowany wystrój. Ale to jest w nich najpiękniejsze – autentyczność.

Renesans magazynów

Wszystko zaczęło się od Manhattanu i jego dzielnicy Soho (wokół ulicy South Houston). Przed kilkudziesięciami laty było to miejsce zrujnowane. Opuszczone hurtownie i magazyny stały się miejscem zamieszkanym przez bezdomnych. Postanowiono je zmodernizować i zainwestowano niebotyczne sumy. Niegdyś zdegradowane Soho zamieniło się w dzielnicę lokali i galerii sztuki, od lat przyciągających bohemę artystyczną. Podobnie było z sąsiednią Chelsea, którą przedsiębiorcy budowlani zamienili w snobistyczną dzielnicę z wielkimi pofabrycznymi apartamentami, określanymi mianem loftu. Odrestaurowane i mocno zmienione budynki mimo to zachowały swój dawny charakter. Dalej mają wielkie odrzwia i metalowe



okna z małymi szybkami, drewniane stropy i odkrytą cegłę.

W Europie historia się powtórzyła. Berliński Prentzlauer Berg jest pozostałością XIX-wiecznej dzielnicy robotniczej, zamienionej w centrum młodzieżowe i artystyczne. W czasach NRD władze „zsyłały” tam opozycjonistów, inteligencję, emigrantów i artystów, którzy zmienili charakter miejsca. Po roku 1989 zostało ono zmodernizowane. Teraz w co drugiej kamienicy znajdują się galerie, bary, alternatywne teatrzyki, butik z awangardowymi ciuchami, kina oraz wiele klubów i dyskotek.

Londyńska Royal College of Art w Londynie –pomieszczenia, w których projektują młodzi styliści, są pełne starych rur i kabli tworzących niepowtarzalny wystrój. Nowe skrzydło Tate Gallery powstało w nieczynnej elektrowni, niedaleko centrum Londynu. We Francji Centrum Współczesnych Sztuk Plastycznych mieści się w halach składu wełny, a w Madrycie modny klub Teatro Capital to pozostałość hal produkcyjnych.

Polska

W Gdańsku działa galeria sztuki współczesnej „Łaźnia”. Mieści się w starej, odrestaurowanej łaźni miejskiej. W Sopocie, w daw-

nej siedzibie Funduszu Wczasów Pracowniczych popadającej w ruinę, powstał 10 lat temu „Sfinks” – jeden z najstojniejszych klubów nocnych. W Warszawie przy ul. Burakowskiej niewielkim kosztem zaadaptowano budynek pofabryczny, który obecnie mieści pracownie projektantów, studia fotograficzne, agencje stylistów, fryzjerów i redakcję „Aktivista”. Na Pradze, w miejscu magazynów powstał eksperymentujący teatr Academia.

W Łodzi przykładem utylizacji starych fabryk jest położona w centrum Biała Fabryka Lucjana Gajera. Teraz to Krajowa Izba Mody. Popularnością cieszą się też kluby nocne Forum Fabricum i Fabryka. Forum Fabricum powstało w neogotyckiej fabryce tuż przy ul. Piotrkowskiej i mieści pracownie młodych twórców, studia fotograficzne i fonograficzne oraz profesjonalną scenę, natomiast Fabryka prowadzi ośrodek informacji i promocji.

W Krakowie zmodernizowano wielką połączoną przez fabrykę Solvay. Wiele starych budynków wyburzono. W kilku pozostawionych powstała galeria sztuki, dom kultury, centrum rozrywki z kręgielnią i dyskoteką. Na tym terenie zbudowano też jeden z największych w mieście hipermarketów. W Nowej Hucie ma powstać muzeum socjalizmu. W zniszczonej hali produkcyjnej, niegdyś siedzibie „Służby Polsce”, planuje się wzniesienie muzeum komunizmu. Będzie gotowe za trzy lata i ma pokazać zabytki i fetysze starego ustroju.

Adaptowanie starych budynków z ekonomicznego punktu widzenia jest celne, bo oszczędza nakłady na nowe budynki, dając równocześnie świetną lokalizację i niezwykle wnętrza. Jak na razie w Polsce stare fabryki wykorzystuje się jedynie do celów kulturalnych i komercyjnych. Niemal brak na razie pofabrycznych loftów, ale i na nie zapewne przyjdzie moda.

SLAWEK SMOLEŃ

ZNAKI I SYMBOLE XX WIEKU (21)

LEGO, czyli klocki

Najstojniejsze klocki świata nazwano w 1934 r. Duńskie słowa „leg” i „godt” oznaczają dobrą zabawę. Łacińskie „lego” tłumaczy się: „czytam” lub „zbieram”.



W 1932 r. Ole Kirk Christiansen założył firmę produkującą drabiny, deski i drewniane zabawki, w tym również klocki. W 1947 r. rozpoczął produkcję zabawek z tworzyw sztucznych. Dwa lata później wprowadzono do sprzedaży klocki, będące protoplastami światowego przeboju z Danii.

Firma nie odniosła sukcesu i dopiero w roku 1954 zapadła decyzja o skoncentrowaniu się na produkcji klocków. Cztery lata później syn założyciela firmy, Godfred Christiansen, opatentował obowiązujący do dziś system łączenia klocków za pomocą słupka i tulejki, co pozwoliło na stabilne scalanie elementów i tworzenie skomplikowanych konstrukcji.

Znak firmowy Lego rozwijał się od 1936 r. Nie można wskazać konkretnej osoby czy agencji, która była jego autorem. Powstał w wyniku współpracy

wielu osób. Charakterystyczne zaokrąglone litery kształtowane były w latach 50. i z wielkimi zmianami stosuje się je do dzisiaj. Doskonale rozpoznawalny znak Lego z czerwonym tłem i czarno-żółtym obrzeżem został zaprojektowany w roku 1973 i jest uproszczoną wersją poprzedniego. Ostatniej zmiany dokonano trzy lata temu – to graficznie „ściśnięta” wersja logo używanego przez ćwierć wieku. Firma, poszerzając ofertę, wprowadzała także oznaczenia graficzne dla nowych produktów – w 1980 r. był to króliczek Duplo (klocki dla dzieci od 1,5 do 5 lat), a od 1982 r. – Technic (dla najstarszych).

Lata 60. przyniosły rozwój i ekspansję Lego na cały świat. Firma oferuje różne zestawy, pojawiły się także ubrania i plecaki, książki, czasopisma, gry komputerowe, a nawet zestawy klocków „Studios”, firmo-

wane przez Stevena Spielberga, z dołączoną kamerą cyfrową, pozwalające realizować filmy z pomocą komputera. Największym przedsięwzięciem firmy są Legolandy, czyli parki rozrywki na otwartym powietrzu z wybudowanymi z klocków miniaturami miast. Czwarty obiekt tego typu powstanie w przyszłym roku w Niemczech.

Współcześni artyści chętnie sięgają po zestawy Lego. Zbigniew Libera wykorzystał klocki, szatę graficzną i logo firmy do stworzenia słynnego na całym świecie zestawu pt. „Obóz koncentracyjny”. Choć firma dostarczyła artyście zestawy klocków, nie wyraziła jednak zgody na takie użycie produktu. Po pojawieniu się „Obozu koncentracyjnego” Lego nie protestowało. Uznano to za kradzież artystyczną, a nie handlową.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

JAK PACHNIE...



...KOMPOT. Poznanie prawdziwego zapachu kompotu jest tylko z pozoru łatwe. Z nazwą tą kojarzy się bowiem słodkawy płyn z pływającymi w nim mało estetycznymi kawałkami rozgotowanych owoców, którym zapełniano szklanki w polskich stołówkach w czasach smuty kulinarnej i, o zgrozo, obecny jest do dzisiaj w wielu tanich jadłodajniach. Taki napój pachnie zwykle wodniście i kwaśno, do tego od razu budzi skojarzenia z wonią duszącą kapuścianych łożanek i kraszonych margaryną kopytek. Tymczasem kompot to potrawa prawdziwie arystokratyczna. Jej podstawowym składnikiem jest gęsty cukrowy syrop, przejmujący z owoców wszystko, co najlepsze – naturalny

smak i dojrzały aromat. Nad tkwiącymi (nie pływającymi) w nim w kompotierce (nie w szklance), gotowanymi lub... pieczonymi kawałkami owoców unosi się więc słodki, nieco karmelkowy zapach podgrzewanego cukru i bogaty bukiec apetycznych owocowych woni. Niestety, takiej uczty zapachowej można dziś doznać tylko w ekskluzywnych restauracjach, nielicznych domach, gdzie pielęgnuje się stare kulinarne tradycje lub... w perfumerii, podczas wążchania perfum z rodziny owocowej, zwanych popularnie właśnie kompotami. Można w nich wyczuć zapach gruszek, jabłek, jagód i tego, co rośnie w dalekich egzotycznych krajach – na przykład marakui. Jej aromat połączony ze swojskim zapachem malin wypełnia pachnidło Marina de Bourbon, sygnowane przez księżniczkę z rodu królów Francji. Bo kompot to potrawa prawdziwie arystokratyczna. AGATA WASILENKO

REKLAMA(G)JE

UCZCIWY BANK?!

Czy posiadacz rachunków bankowych, otrzymując co miesiąc wyciąg z dokonanych operacji, nie zżymają się na widok kwot pobranych tytułem prowizji? Wszystkie zarobione „procenty” przeznaczają się zazwyczaj na pokrycie tychże wydatków. Inteligo w kampanii na ulicznych billboardach daje jasno do zrozumienia, że nie sprawia tej przykrości swoim klientom. Któż nie zastanawia się, przechodząc obok nowo otwartej filii swojego banku: czy to przypadkiem nie za moje pieniądze? Inteligo proponuje: „Nie funduj bankowi marmurów schodów”. Na innym afiszu sugeruje, że możemy „zrabiać więcej niż bank”. Czy to możliwe?!

W reklamówce telewizyjnej „rozpieszczony” przez ten internetowy bank małżonek nie może uwierzyć, że ma tylko jednego potomka. Zmusza żonę do wysiłku. Zdumiony lekarz i położna przystępują do przyjęcia jeszcze jednego dziecka. Oczywiście nikt nie uwierzy, że kobieta może z pojedynczej ciąży urodzić dwoje dzieci, ale reklama rządzi się swoimi prawami. Niemożliwe staje się możliwe, i aż dziwne, że dotąd w żadnej z nich Salomon nie nalał z pustego, kaktus nie wyrósł na dłoni, a wielbłąd nie przeszedł przez wiadome ucho. Może bank faktycznie czyni cuda, ale natura zna swoje granice. A twórcy reklam powinni znać przynajmniej granicę dobrego smaku. (ŁDZ)

Walter za Waltera

Piotr, syn Mariusza - założyciela TVN, 1 lipca zostanie prezesem tej stacji.



FOT. GREGORZ JAKUBOWSKI/FOTOFORUM, J. POLAK/FOTOFORUM

Walter junior (l.34) będzie najmłodszym szefem stacji telewizyjnej w Polsce. Walter senior pozostanie członkiem Rady Nadzorczej TVN. Będzie odpowiedzial-

ny za uruchomienie całodobowego kanału informacyjnego TVN 24, wzorowanego na programie CNN. Zajmie także miejsce w radach nadzorczych firm Onet i Dr Q. Gdy TVN ruszała,

Piotr Walter powiedział, że pragnie ją maksymalnie zdynamizować w przeciwieństwie do ojca, który chciał, by TVN była telewizją spokojną - dla wszystkich. Teraz stwierdził, że nigdy by tak się nie wyraził.

Ale zmiana prezesa to prawdopodobnie znak nowych czasów w trzeciej co do wielkości telewizji w Polsce. Przypomnijmy, że to właśnie w wywiadzie dla „P” (nr 2908 z 18 marca) Mariusz Walter po raz pierwszy wspominał o planach przekazania swojej funkcji synowi. Powiedział, że „jest do tego przygotowany od dziesięciu lat”.

Szlakiem ojca

Piotr Walter przez dwa lata był studentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, a przez rok studiował reżyserię w łódzkiej szkole filmowej, a w Columbia College, w Chicago, zagadnienia wideo i reklamy. Uczył się także w Lozannie w International Institute for Management Development. W latach 1991-1997 oraz 1998-1999 praco-

wał w ITI Film Studio w Warszawie, gdzie zaczynał od montażu filmów i reklamówek. Później pełnił funkcje producenta, a następnie wiceprezesa tej firmy. Wprowadził liczne zmiany technologiczne, nowoczesny sprzęt do produkcji. Odmłodził kadre studia i stworzył nowy zespół produkcyjny. Udało mu się utrzymać pozycję ITI Film Studio jako największego producenta filmów reklamowych na polskim rynku. Znany w świecie reklamy jako twardy negocjator i energiczny producent. Przez ostatnie dwa lata odpowiadał w TVN za marketing i autopromocję oraz informatykę i Internet.

„Grupa ITI znalazła się w sytuacji niezwykle przyspieszonego rozwoju. To wymaga od jej strategów pełnego zaangażowania w sprawy całej firmy. W tym kontekście decyzja o zmianie warty w TVN nie może być uznana za przypadkową” - powiedział Jan Weichert, prezes i współzałożyciel Grupy ITI, wieloletni przyjaciel Mariusza Waltera. - „Mój partner współtworzył strategię

i sukces Grupy ITI, stworzył stację TVN, zarządzał nią przez cztery lata i konsekwentnie budował jej siłę. Uplasował TVN w gronie trzech najważniejszych stacji telewizyjnych w kraju”.

Syn w nowym kanale

Piotr Walter mówi: „Na strategię TVN należy patrzeć z punktu widzenia całej Grupy ITI, czyli TVN 24, ITI, Film Studio, ITI Cinema, Multikino, Endemol Neovision, Onet, TenBit, Agencja Fotografów Forum, Dr Q. Wspólne działania tworzą podwaliny pod nowy mechanizm, który zapewni sukces całemu holdingowi.

TVN to przedsiębiorstwo jak każde inne. Jego kondycja finansowa jest obecnie bardzo dobra, ale z pewnością można ją jeszcze polepszyć. To jest moje zadanie. Ojciec nie pracował sam, stał za nim zespół doskonałych fachowców, na których pomoc liczę. Interaktywność stała się faktem - otworzył nam na to oczy Big Brother.

Oferta programowa to dopiero początek. Chcemy zapewnić na-

szym widzom możliwość czynnego udziału w programach, tworząc im forum do dyskusji na poruszane tematy. Będziemy eksploatować nowe nośniki, jak telefonia komórkowa i Internet. Na nowo zajmujemy się też już istniejącymi, jak teletekst.

Najbliższe plany to umocnienie wypracowanej pozycji i zatrzymanie młodych widzów, których tłumnie przyciągnął Big Brother. Ciekawa oferta programowa na lato i jesień z pewnością obroni nas przed konkurencją”.

Mariusz Walter zamierzał pożegnać się z pracownikami stacji już wcześniej. Nie zrobił tego, ponieważ zamierzał osobiście nadzorować pewne projekty. Chciał m.in. doprowadzić do finału pierwszej edycji Big Brothera. Dwa inne kluczowe zagadnienia, czyli wejście właściciela TVN, holdingu medialnego ITI na giełdę, oraz stworzenie nowego kanału informacyjnego, zostaną przeprowadzone już pod kierownictwem syna.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

PILOT

CTR+ALT+GRZECHÓW ODPUSzcZENIE

Smutna wiadomość dla wierzących internautów: nie będzie spowiedzi przez Internet. Watykan jest przychylny rozwijaniu i popularyzacji ogólnosięwiatowego medium, ale jego stanowisko jest nieubłagane: „Nigdy nie pojawi się możliwość wyznawania grzechów on-line. Spowiedź to bardzo osobisty sakrament i wymaga spotkania kapłana z wiernym”. Zagadnienie spowiedzi w Internecie powróci w specjalnym dokumencie wydanym przez Radę Pontyfikálną dla Społecznych Środków Komunikacji. (SR)



FOT. K. KRAJEWSKI/FOTOFORUM

OPTIMUS I UKRAIŃSKIE PODATKI

12 milionów dolarów wart jest kontrakt podpisany przez Optimus SA z Państwową Podatkową Administracją Ukrainy. Dostawa sprzętu komputerowego odbędzie się w kilku transzach i zakończy 31 grudnia br. PPAU zapłaci początkowo 15 proc. wartości kontraktu, a ostatnią ratę Optimus otrzyma w styczniu 2005 roku. Kontrakt na pewno przyczyni się do polepszenia sytuacji finansowej spółki, która pod koniec 2000 roku przyniosła straty w wysokości 40,5 mln zł. (SR)

E-NAGRODY

Koniec z podziałem na równych i równiejszych. Od tego roku elektroniczne książki, czyli E-booki, mogą konkurować z książkami drukowanymi o jedną z najważniejszych na świecie nagród: National Book Awards. Dotychczas istniała dla nich specjalna kategoria. Dzięki zmianom w regulaminie wśród tegorocznych zwycięzców w czterech istniejących kategoriach: beletrystyki, literatury faktu, poezji i literatury, być może znajdą się także książki elektroniczne. Wyniki będą ogłoszone 14 listopada w Nowym Jorku. (SR)



FOT. EAST NEWS

DRUGIE ŁADOWANIE

Na plaży Utah w Normandii odbył się 6 czerwca - w rocznicę inwazji wojsk alianckich - premierowy pokaz dwóch odcinków serialu „Band of Brothers” produkcji Stevena Spielberga i Toma Hanksa. Oglądało go 47 uczestników wydarzeń z 1944 r. Szef telewizji HBO, która sfinansowała produkcję, Jeff Bewkes, stwierdził, że to najlepszy sposób uhonorowania bohaterów sprzed 67 lat. Pomysł realizacji powstał podczas współpracy Spielberga i Hanksa na planie filmu „Szeregowiec Ryan”. Budżet wyniósł 120 milionów dolarów. Zagrało ponad 500 aktorów i 10 tysięcy statystów. Pracowało ośmiu reżyserów, w tym także Tom Hanks, który zagrał niewielką rolę angielskiego oficera. Premiera telewizyjna „Band of Brothers” w USA planowana jest na wrzesień. W Europie serial ma być emitowany już w tym roku. (LDZ)

REKOMENDACJE

RADIO

■ **Słynne powieści: Bolesław Prus, FARAON. Czyta Andrzej Ferenc.**

Program II PR, od poniedziałku do piątku, godz. 9. Premiera 22 czerwca, zakończenie 14 września. Mistrzowskie wykonanie i nienaganna reżyseria radiowa. II Program powraca do nieco już zapomnianej formy radiowej: proza czytana przez wybitnych aktorów. Ten gatunek audycji został wyparty ze współczesnego radia przez bardziej dynamiczne i muzyczne audycje. Lekturę zakończymy w dniu premiery filmowej adaptacji „Quo vadis” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza.



FOT. B. PIETRZAK
Andrzej Ferenc

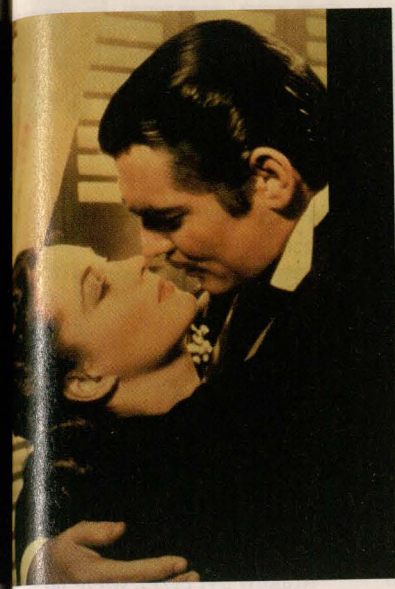


● SLABE ●● PRZĘCIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



FILMY O PREZYDENCIE ABRAHAMIE LINCOLNIE (WYBÓR)

- „Abraham Lincoln's Clemency” (1910)
- „Lincoln's Gettysburg Address” (1912)
- „Lincoln, the Lover” (1914)
- „Lincoln Highwayman” (1919)
- „Heart of Lincoln” (1922)
- „The Dramatic Life of Abraham Lincoln” (1924)
- „Abraham Lincoln,” (1930)
- „Young Mr. Lincoln” (1939)
- „Lincoln in the White House” (1939)
- „Abe Lincoln in Illinois” (1940)
- „Face of Lincoln” (1955)



DZIENNIK BRIDGET JONES

Nieudana, pozbawiona polotu adaptacja bestselleru Helen Fielding, przepełniona infantylizmem, żenującym dowcipem i nudą. Opowieść o samotnej, niešťśliwej trzydziślatce nieporadnie szukającej księcia z bajki zamiast wzruszać i poruszać, wywołuje estetyczną niestrawność i chęć ucieczki z kina. Cierpiąca z powodu nadwagi bohaterka (Renee Zellweger) nie budzi sympatii, jej zabiegi zmierzające do poprawy losu irytują, budząc co najwyżej uśmiech politowania. Narzekająca niemal nieustannie Bridget nie kiwnie nawet małym palcem, by zmienić swój beznadziejnie szary żywot.

Zamiast tego szuka zapomnienia w alkoholu, pali tony papierosów, słucha melancholijnych kawalków i wiąże się (wiedząc o tym) z niedojrzałym uczuciowo facetem, notabene swoim szefem (Hugh Grant). Rażąca przegadaniem i banałem historia, stereotypowo ukazuje naiwną kobietę, która bez mężczyzny wiednie i tylko małżeństwo może dać jej spełnienie i szczęście. Przesłodzone, tandetnie hollywoodzkie zakończenie jest smutnym tego potwierdzeniem. (ACK)

Reż. Sharon Maguire, Wielka Brytania 2001



DZIEWCZyny Z DRUŻYNY

Film z gatunku tych, który nie wzbudza sympatii większości krytyków, bo uprzedzenia do filmów klasy B trzymają się ich mocno. Wbrew pozorom, debiutancki obraz Paytona Reeda jest sprawnie nakręconą, widowiskową komedią, gwarantującą częste wybuchy śmiechu, a po wyjściu z kina pozytywne nastawienie do otoczenia. Tę niegłupią, relaksującą opowieść o grupie cheerleaderek, których największym pragnieniem jest zajęcie pierwszego miejsca w krajowym konkursie, ogląda się więc lekko i przyjemnie. Jej największą zaletą jest ironiczny humor, z dystansem ukazujący ko-

biece kompleksy (ach, ta sylwetka!) oraz rywalizację – zazwyczaj nieuczciwą i przyprawioną nieśmiertelną zawiścią – pomiędzy nimi. Co ważne, film łamie również negatywny stereotyp zgrabnej blondynki jako cukierkowej idiotki, zamiast mózgu posiadającej warzywo. Pokazuje natomiast dziewczęcą pasję (w tym przypadku nietuzinkowy taniec) i wrażliwość. Epizodyczne barwne postaci, jak choćby nadpobudliwego choreografa Sparky Polastry, są wysmakowanym, radosnym dopełnieniem całości.

(ACK) Reż. Payton Reed, USA 2000

Konfederaci, unicy i filmowcy

Amerykańska wojna domowa interesuje nie tylko samych Amerykanów. Ostatnio zajął się nią nawet reżyser pochodzenia tajwańskiego.

Amerykańska wojna secesyjna z lat 1861-1865 uznawana jest przez historyków za pierwszą wojnę przemysłową oraz jedną z pierwszych wojen ideologicznych. To pierwsze określenie dotyczy możliwości natychmiastowej rekonstrukcji potencjału militarnego – i tu górą byli od samego początku unioniści z przemysłowej Północy przeciw zacořanym agrarystom z Południa. Określenie wojny secesyjnej mianem „batalii ideologicznej” jest jednak istotniejsze – dotyczy bowiem konsekwencji zmiany wartości wskutek klęski konfederatów – zakończyło się tzw. stare Południe, a całe Stany Zjednoczone czekała teraz – trwająca do dziś – próba integracji.

Nie bez przyczyny zatem w kontekście pojawienia się na naszych ekranach filmu Anga Lee warto przypomnieć niemal archetypowe dzieło Davida Warka Griffitha „Narodziny narodu” (Birth of the Nation) – przeddzwiękowe arcydzieło z 1915 roku. Opowiada ono bowiem o związkach Północy z Południem, postępując się schematem najprostszym – historią rodzinną, która wskutek wydarzeń wystawia przyjaźń Stonemanów (z północnej Pensylwanii) i Cameronów (z Karoliny Południowej) na ciężką próbę. W filmie z pietyzmem zrekonstruowano najważniejsze fakty historyczne z tego okresu: zabicie prezydenta Abrahama Lincolna czy bitwę pod Five Forks. Jeszcze wcześniej nakręcono kilka innych filmów o amerykańskiej wojnie domowej – takich jak „The Drummer of the 8th”, „Granddad” (obydwa z 1913 r.) czy „The Coward” (1915 r.).

Oczywiście, nie należy zapominać o kinowym przeboju wszech czasów: dziele Victora Fleminga „Przeminęło z wiatrem” (1939). To z kolei historia miłości z wojną domową w silnie zarysowanym tle i barwną rekonstrukcją mentalności południowców. Film artystycznie chromy, ale w swoim przesłaniu topornie wyraził: chodzi o romantyczną nostalgicę za dawnymi (dobrymi) czasami. Całkowicie odmienną perspektywę – starć między unionistami a konfederatami z perspektywy prostego farmera z Wirginii (i jego sześciu synów) – zaprezentował Andrew V. McLaglen w swoim „Shenandoah” (1965 r.).

Jedną z podstawowych kości niezgody między Północą a Południem była kwestia stosunku wobec niewolnictwa. Wiadomo, że pierwszy wyłom z Unii spowodowało wystawienie przez republikanów na prezydenta Abrahama Lincolna – uważanego za zwolennika abolicjonizmu. Kwestię murzyńską w czasie wojny secesyjnej drastycznie ujął Griffith: „Narodziny narodu” zrealizował bowiem podług rasistowskiej powieści Thomasa Dixona „The Clansman”, czyli „człowiek klanu”. W jego filmie Czarni

KINO XXI WIEKU

Ucniowie Grotowskiego

Zjawisko wydaje się na tyle twórcze, że chyba warto rzucić nań sноп światła. No, może właściwszy będzie sноп. Oto także w kręgu kina rozwija się nad Odrą, a tym bardziej nad Wisłą, ruch kontynuujący wielki zwrot w sztuce spektaklu, jakiego dokonał parę dekad temu Jerzy Grotowski. Jak wiadomo, zaczęło się od Teatru 13 Rzędów (które nie istniały; potem obywało się też bez widzów, bowiem aktorzy, odmiennie niż u „Wielkiego Brata”, chcieli najpierw się udoskonalić, zanim coś pokażą).

Gdy tym śladem poszli inni, cały teatr światowy nawiedziła odnowa. Teraz kroi się analogia w sztuce kina, i co godne uwagi, o ile poprzednio postać mistrza budziła widomą niechęć Prawdziwych Polaków, to dziś, w duchu rosnącej tolerancji, adwersarze Grotowskiego z zapalem przejęli jego przenikliwie pojęte wzory na użytek własny. Ostatnio podczas seansów filmu „Dogma” przed kinami ustawiło się, by wykonać performance, trzynaście rzędów widzów (godny uwagi był udział Młodzieży Wszzechpolskiej z roczników najbardziej kinomaniackich), w środku

JACEK ZIEMEK



PRZEJAZDZKA Z DIABŁEM

Rzecz z czasów amerykańskiej wojny secesyjnej: opowiada o chłopcach, którym dorastać wypadło w walce. Jego bohaterowie to żołnierze przegranej sprawy. Biją się po stronie Południa, biorąc udział w jednej z najbrudniejszych kampanii konfliktu – podjazdowej wojnie partyzanckiej na pograniczu Kansas i Missouri. Centralne postaci opowieści to dwaj, poszukujący tożsamości, outsiderzy. Syn niemieckiego imigranta Roedel (bardzo dobry Tobey Maguire), gdy większość jego rodaków staje po stronie Unii, przyłącza się do konfederatów, by walczyć u boku przyjaciela. Holt, Murzyn wyzwolony przez swego pana, nie opuszcza go i bije się z nim ramię w ramię. Kreśląc ich losy, Lee w sposób godny uznania łączy w harmonijną całość wojenny (anty) western z kamedramatem obyczajowym. Scenariusz Jamesa Schamusa kilka razy oszukuje widza, a oszczędne dialogi są najwyższej próby. Także gwiazdka muzyki pop, niejaka Jewel, w głównej roli kobiecej nie jest niezła. Najpowaźniejszy problem filmu tkwi w jego finale. „Przejażdżka z diabłem” okazuje się bowiem nad podziw krzepiąca i kończy się wcale optymistycznie. Zdrowy rozsadek podpowiada, że przejażdżka z diabłem powinna skończyć się źle. (MS)

Reż. Ang Lee, USA 1999

zaś sal zachowywało stan spoczynku trzynaście rzędów krzeseł. W ten sposób ucieleśniona została awangardowa idea kina bez widzów i widzów – no transcendently doznających wybranego z zapalem filmu. Wiedzy o ambitnych działaniach (w duchu Prawdziwie Narodowej Zachęty) grozi jednak zaprzepaszczenie. Chcąc udokumentować powagę wnoszenia do Europy polskich wartości kulturalnych, uczniowie Grotowskiego wybrali do swych celów istną drogę przez ucho igielne: jak poinformowano, zeznania 1000 świadków happeningu z „Dogmą” ma uwiecznić dla potomności prokuratura. Niestety! Czegóż mogą oczekiwać od rozleniwionej przez brak zajęć instytucji wymiaru sprawiedliwości, która z nudów wsadza na sześć miesięcy za zdepnowanie szarlotki na urzędowej tysinie, zobaczenia zaś przed swym Wysokim Obliczem tego pana, co wszystkim blokuje, unika przez całe dwa lata? Nie lepiej było zainicjować debatę parlamentarną z Ojcem Profesorem w łozy? Ech, wiadomo, artyści zawsze niepraktyczni...

ADAM GARBICZ

Warsaw Summer Jazz Days to najważniejsza prezentacja tego, co nowe i oryginalne we współczesnym jazzie. Festiwal organizowany przez Mariusza Adamiaka odbywa się już po raz dziesiąty.

POMIESZANY JAZZ

Dyrektor festiwalu ma swoich ulubieńców. W poprzednich latach podczas koncertów w Sali Kongresowej prezentowali się dwaj jazzmani, którzy zdecydowali o obliczu tej muzyki w ostatniej dekadzie. Był John Zorn – saksofonista potrafiący zlepić w jeden krótki utwór rozmaite konwencje. Dobrze pamiętamy prowadzoną przez niego formację Naked City, odwołującą się zarówno do bluesa, country, free jazzu i punk rocka, a także zespół Masada łączący tradycyjną melodykę żydowską ze współczesną awangardą znaną choćby z Warszawskiej Jesieni.

Na Warsaw Summer Jazz Days nie mogło też zabraknąć dobrego znajomego Zorna – Billa Laswella. To właśnie ten gitarzysta basowy, a także producent niezliczonej liczby płyt sprawił, że swingujący muzycy zaczęli chętnie odwo-

ływać się do techno oraz hip-hopu, a sample i scratches, tak przecieży charakterystyczne dla tych gatunków, stały się czymś powszednim na jazzowych płytach.

Tradycja, elektronika i trąbka

Zorn i Laswell pokazali z pewnością najważniejsze kierunki we współczesnym jazzie. Muzykę otwartą, odwołującą się do rozmaitych stylów, nie pozbawioną dystansu i humoru, a jednocześnie – niesłychanie zaawansowaną technicznie. Jeśli więc ktoś przyzwyczajony jest do formuły jazzu „naiwnego” – akustycznego, granego w klubie – to ze zdziwieniem albo wręcz niepokojem patrzeć będzie na kilometry kabli i tony rozmaitej elektroniki znajdującej się na scenie. Taki okablowany jazz służyć może doskonale w występach gitarzystów takich jak Vernon Reid, Elliott Sharp czy David Torn. Dziś jazz bardziej gra się, zmieniając nogami brzmienia niezliczonych efektów, a przebieranie palcami po strunach staje się nie rzadko czynnością drugorzędną.

W tym roku usłyszymy trzecią z wielkich postaci nowoczesnego jazzu – saksofonistę Steve'a Colemana. Ten wszechstronny muzyk zasłynął w latach 80. jako twórca projektu M-Base, a więc połączenia wszelkich form czarnej muzyki. Od lat Coleman przewodzi formacji Five Elements, tym razem



Po Horvitzu można się spodziewać jazzu radosnego

– co jest nowością – artystę wspierać będą dwaj trębacze. Widomy to znak, że po słabszych latach trąbka wraca do łask awangardy. Potwierdzi to z pewnością także Cuong Vu – trębacz wietnamskiego pochodzenia, dziś jeden z najbardziej wziętych młodych instrumentalistów. To właśnie on nagrał wraz z Dave'em Douglasem (dziś trębaczem numer 1 w ankiecie prestiżowego „Down Beat”) album „Sanctuary”, jeden z najlepszych, jakie ukazały się w ostatnim dziesięcioleciu.

Radość, ironia, humor

Podczas festiwalu nie może też zabraknąć zornowskich klimatów. Tym razem usłyszymy więc Wayne'a Horvitz'a – pamiętanego właśnie z formacji Naked City. Szczególnie atrakcyjnie zapowiada się występ kierowanej przez niego grupy Ponga. Można spodziewać

się jazzu radosnego, żywiołowego, niejednokrotnie zbliżającego się do formuły rockowej.

Ostatni dzień przeznaczono dla nowoczesnej klasyki. Rzadko mamy okazję, by na Warsaw Summer Jazz Days usłyszeć rodzimych wykonawców – Adamiak uważa bowiem, że w naszym jazzie nie dzieje się najlepiej, a wykonawcy starszej generacji za szczyt nowoczesności uważają muzykę Krzysztofa Komedy, no, może w najlepszym razie mdlawe próby pożenięcia jazzu z rockiem w latach 80.

Do wyjątków należą z pewnością twórcy tzw. sceny jassowej – bez wątpienia najciekawsze zjawiska w polskiej muzyce ostatnich lat, gdzie mieszanina różnych konwencji, ironia, humor są na porządku dziennym. I może dobrze się stało, że w tym roku wreszcie usłyszymy najbardziej

ŚCIANKA. Trójmiejski zespół kontynuuje zabawę w single. Po promującym ostatni album „Dni wiatru”, krótkometrażowym krążku „Only your bus...” pojawia się następna, tajemnicza pozycja: „Sława E. P.” – dwuznaczny tytuł à propos niezapomnianej Sławy Przybylskiej i zapomnianej sławy wydawnictw singlowych. Tylko cztery utwory: „Już nigdy” (przebój Przybylskiej), dalej „Smoke on the water” (Deep Purple), „Ocean” (L. Reed) i „Tomorrow never knows” (Lennon). A gdzie Ścianka? Mieści się cała w interpretacjach utworów – aranżacje coverów szumią wiatrem, porażają prądem, usypiają i budzą... (TSE)



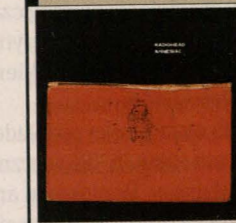
•••• Sissy Records

BRUCE SPRINGSTEEN & THE E STREET BAND. Oto do czynienia mamy z autentycznym cudem – zmartwychwstaniem. Od ponad dziesięciu lat „Wielki Boss” dryfował w stronę muzyki mdłej i przeraźliwie popowej. I choć sprzedawała się ona znakomicie, to bardzo go znudziła. Postanowił reaktywować zespół, dzięki któremu osiągnął swoją obecną pozycję. Płyta „Live in New York City” to zapis ubiegłorocznej trasy koncertowej. Aż dziw bierze, ile energii potrafią wykrzesać z siebie muzycy, których posądzono o artystyczną śmierć. Nie pozostaje nic innego, jak kupić ten album i czekać na nowy z premierowymi piosenkami. (RZ)



•••• Columbia

RADIOHEAD: AMNESIAC. Piątą okfordczyków z grupy Radiohead udufa się rzecz niemożliwa – każda ich kolejna płyta jest lepsza od poprzedniej. Każda jest też inna – po brzmieniowych eksperymentach znanych z albumu „Kid A” muzycy powracają do piosenek. Są one jednak zagrane za pomocą typowej dla Radiohead metody – szacunek do pięknych melodii spleta się z chęcią łamania wszelkich brzmieniowych zasad. Na „Amnesiac” psychodelia miesza się z elektroniką, rockowe gitary z jazzową balladą, syntetyczne rytmy z dźwiękami instrumentów akustycznych – efekt może jednak zadowolić nawet najbardziej wybredne ucho. (WK)



•••• Parlophone

22.06., g. 19.00., Sala Kongresowa:
Cuong Vu Trio
Steve Coleman And Five Elements
Harried Tubman

23.06., g. 19.00., plac Zamkowy:
The Blues Brothers Band
g. 20.00., Sala Kongresowa:
Altered States
Wayne Horvitz („Zony mash”)
Ponga

24.06., g. 19.00., Sala Kongresowa:
Miłość + Mazzoll
Al Di Meola
Marcus Miller Band

PICCOLO CORO DELL'ANTONIANO ZNOWU W POLSCE!



Boloński Piccolo Coro „Mariele Ventre” dell'Antoniano – tak brzmi pełna nazwa „małego chóru” – powstał w październiku 1963 roku przy Instytucie Antoniano. Zaopiekowała się nim młodzieńca wówczas Mariele Ventre (zmarła w grudniu 1996). W chórze śpiewają dzieci od trzech i pół do jedenastu

lat. Początkowo zespół był niewielki, a stworzono go z myślą o piątym, międzynarodowym festiwalu piosenki dziecięcej pod patronatem Eurowizji: Zecchino d'Oro.

Zespół nagrał wiele „małych” i „dużych” płyt; dał setki koncertów, w tym tradycyjnie: na Boże Narodzenie, Wielkanoc, Nowy Rok, Dzień Babci, Dzień Matki oraz innych w ramach Zecchino d'Oro, Pavarotti & Friends. Chór śpiewał przed papieżem, prezydentami największych państw, a dzięki radiu i telewizji muzyczne dzieci z bolońskiego zespołu zna cały świat. Piccolo Coro był już w Polsce w 1989 r. Tym razem dzieci zaśpiewają w Warszawie, Poznaniu, Krakowie i Chodzieży, gdzie wystąpią przy okazji X Jubileuszowego Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej.

W Krakowie gościć będą trzy dni, a 27 czerwca o godzinie 17.00 Piccolo Coro dell'Antoniano zaśpiewa na Rynku Głównym – uroczystemu koncertowi, którego gospodarzem będzie prezydent Andrzej Gołoś, patronują wiceprezydent Teresa Starmach oraz „Przekrój” jako patron medialny. (A. CZ & TSE)

CYMESIK DLA MELOMANA

zasłużoną grupę „Miłość” Ryszarda Tymona Tymańskiego, wzmocnioną przez nieprzejechanego awangardystę Jerzego Mazzolla.

Na sam koniec człowiek od wszystkiego, czyli Marcus Miller – basista, który znakomicie czuł się zarówno w zespole Milesa Davisa, jak i wtedy, gdy lata temu komponował wielki przebój „Power of Love”. Ponieważ jednak tradycja warszawskiego festiwalu zobowiązuje, usłyszymy zapewne Millera w bardziej złożonym repertuarze.

Warsaw Summer Jazz Days pokazuje tylko niektóre zjawiska we współczesnym jazzie, ale nawet jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, powinien ich przynajmniej wysłuchać. A rozbrzmiewające ze sceny dźwięki, często trudne i niepokojące, mogą podziałać na wyobraźnię nawet muzycznych tradycjonalistów.

ANNA KOSOWSKA-CZUBAJ

ABSTRAKCJE

ZŁODZIEJ NA RAUCIE?

Jeden z najbardziej znanych obrazów Marca Chagalla „Nad Witebskiem” skradziono z Muzeum Żydowskiego w Nowym Jorku. Jego wartość nie jest dokładnie znana. Ocenia się ją na mniej więcej milion dolarów. Obraz znajdował się na wystawie „Wczesne dzieła Chagalla”, składającej się z ponad 60 prac wypożyczonych z rosyjskich galerii w Moskwie i Petersburgu. Zniknięcie obrazu zauważono 8 czerwca, dzień po przyjęciu zorganizowanym z okazji otwarcia wystawy. (SR)

ARMIA CZERWONA ZWRACA

Dwa obrazy XVII-wiecznych mistrzów skradzione pod koniec II wojny światowej przez Armię Czerwoną wróciły do Dreźnieńskiej Galerii Sztuki. „Śpiąca kura” holenderskiego artysty Melchiora d'Hondecoetera i „Portret Heyducka w kapeluszu” niemieckiego malarza Christopa Paudissa były częścią kolekcji starych mistrzów w dreźnieńskiej galerii od czasu zaginięcia w 1945 roku. Obraz Paudissa wrócił kanclerzowi Schroederowi rosyjski biznesmen, który kupił dzieło na moskiewskim rynku sztuki. Obraz d'Hondecoetera otrzymała niemiecka ambasada w Moskwie już w 1993 roku, jednak dopiero teraz władze Rosji wydały zezwolenie na jego wywóz. (AS)

WANDALE W PAWILONIE

W dniu rozdania nagród podczas weneckiego Biennale doszło do aktu wandalizmu. W nocy z 9 na 10 czerwca nieznanymi sprawcami dokonano zniszczeń w zwyczajnym pawilonie niemieckim, gdzie Gregor Schneider wystawiał instalację „Umarły pra-dom”. Po usunięciu szkód pawilon otwarto dla publiczności już następnego dnia. (WK)

OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

D'ARCY ART, TAJEMNICZY POKAZ 39-LETNIEJ POLSKIEJ ARTYSTKI, ŻYJĄCEJ DŁUGIE LATA W SŁOWENII.

Organizatorzy obiecują, że będzie bardzo różowo, idealnie w stylu NRD z rosyjskimi wpływami i domieszką tradycji.

28 czerwca o godz. 18.00, Warszawa, agencja D'Arcy Masius Benton&Bowles, ul. Goraszewska

TRWA

BELVEDERE ITALIANO

Tendencje sztuki włoskiej w latach 1945–2001. Przekrojowa wystawa, przygotowana przez słynnego krytyka i historyka sztuki Achille Bonito Oliva

do 22 lipca, Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski, Al. Ujazdowskie csw.art.pl

OSTATNIA SZANSA

WORLD PRESS PHOTO 2001

Już po raz jedenasty Zacheća pokazuje prace nagrodzone w najsympatyczniejszym konkursie fotografii prasowej

do 1 lipca, Warszawa, Galeria Zacheća, plac Małachowskiego, www.zacheta-gallery.waw.pl

W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku toczy się wojna! Zjednoczonymi siłami kilkudziesięciu artystów do- wodzi generał – profesor Grzegorz Kowalski. Terenem zmagañ jest Człowiek, a stawką – jak to na wojnie – życie i śmierć.

Artyści idą na wojnę



Jan Kucz, *Szyjący poduszki*

Podobno na terenie Centrum Rzeźby znajduje się potężny czakram. Ale i bez niego ta instytucja jest niezwykle przyczółkiem sztuki współczesnej.

Orońsko to mała wioska pod Radomem. Centrum zajmuje XIX-wieczny kompleks pałacowy. W pięknym angielskim parku co krok spotyka się rzeźby artystów, którzy pracują tutaj od 35 lat. Chaszcze kryją czasowe pracownie rzeźbiarzy, dom noclegowy, hotel, kawiarnię i... drużynę fachowców pomagających artystom wykuwać, odlewać, spawać i konstruować dzieła. Centrum prowadzi też prężną galerię. Do podradomskiej wsi zjeżdżają gwiazdy polskiej sceny artystycznej i zagraniczne znakomitości. Publiczność dopisuje słabiej. Nieśluszenie, bo Orońsko to wymarzone miejsce na weekend nie tylko dla miłośników sztuki.

Od życia do śmierci

Najnowsza wystawa Centrum to „Wojna w człowieku”. Jej organizatorem jest artysta i wychowawca młodych gniewnych, prof. Grzegorz Kowalski. Z jego pracowni, zwanej „Kowalnią”, wyszli Paweł Althamer, Katarzyna Kozyra i Artur Żmijewski.

Inspiracją wystawy był esej Ericha Fromma „Wojna w człowieku”, w którym opisano dwa bieguny ludzkiej natury. Pierwsza, nekrofiliczna – przyciąga osobowości destruktcyjne, opętane instynktem śmierci. Druga, biofilna – ludzi kochających życie. Wywołując „Wojnę w człowieku”, Ko-

walski podjął się bohaterskiego zadania. Postanowił pokazać, jak artyści mierzą się z problemami ostatecznymi: życiem i śmiercią, afirmacją i destrukcją, rozpaczą i radością. Przygotował się starannie i dzięki temu nie poległ, choć nie obyło się bez ran.

Mocną stroną wystawy jest strategia. Temat wystawy to studnia bez dna. Ukazanie artystycznych odniesień do życia i śmierci grozi wpadnięciem we wszystkimizm – przecież niemal każde dzieło dotyka tych problemów. Profesor poradził sobie, dzieląc ekspozycję na dziewięć sekcji poświęconych innej stronie problemu: przeznaczeniu, wyobrażeniu duszy, śmierci, afirmacji życia i ciała itd.

Na wystawie spotkali się artyści różnych pokoleń i formacji. Od Dunikowskiego do Althamera, od konserwatywnych profesorów ASP do bezkompromisowej Kozyry. Przeważają prace z lat 90. Dziewiąta sekcja wystawy została nazwana „magazynem kłisz”. To reprodukcje słynnych dzieł z historii malarstwa, komentujące pozostałe części. Wyobrażeniom duszy patronuje np. reprodukcja „Zaduszek” Pruszkowskiego, a sekcji śmierci „Thanatos” Malczewskiego i „Rozstrzelanie” Wróblewskiego.

Stworzyć własną wojnę

Wojna w człowieku zbudowana jest jak cortazarowska „Gra w klasy”. Widz sam może stworzyć narrację wystawy – wszystko zależy od kolejności zwiedzania. Pomaga wyczerpujący przewodnik, w którym profesor

tłumaczy się (to rzadkość!) z decyzji doboru prac. Na jej przykładzie można uczyć się robienia rzetelnych i inteligentnych wystaw.

Nieco gorzej z taktyką. Na „Wojnie” znalazły się dzieła wybitne (Dunikowski, Morel, Kozyra, Althamer) i towarzyszące im, jak posępny cień, przynębiające gnioty. Rzeźba Adama Prockiego to polerowane granitowe jajo o tytule „Ziarno”. Obcowanie z wtórnością po Brancusim i banałem prawdziwej granitowej metafory wytrąca z zadumy nad życiem i śmiercią. Podobnie „Źródło” Barbary Falender – wygląda jak przycisk do papieru w kształcie łona i paraliżuje jadowitym kiczem. Takich pomyłek nie ma dużo, ale działają jak niebezpieczni dywersanci, rozbrajający wystawę.

Dzieła Kozyry i Dunikowskiego, Morela i Truszkowskiego przypominają, że sztuka się zmienia, ale artystów dęczę te same problemy. Tyle sposobów mówienia o nich, ilu dobrych artystów. Morał „Wojny w człowieku”? Morału nie ma, bo wojna wciąż trwa. Mimo słabszych miejsc, wystawa dotyka każdego. Wojna toczy się przecież w każdym z nas.

STACH SZABIOWSKI

„Wojna w człowieku”. Zbiorowa wystawa rzeźby, malarstwa, obiektów przestrzennych i multimedialnych Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Kurator: Grzegorz Kowalski, współpraca Tamara Książek i Mariusz Konorowski. Do 20 sierpnia.

300 słów Davida Hockneya

64 lata, malarz, grafik, rysownik. Jeden z najbardziej pogodnych artystów współczesnych.

W pewnym sensie

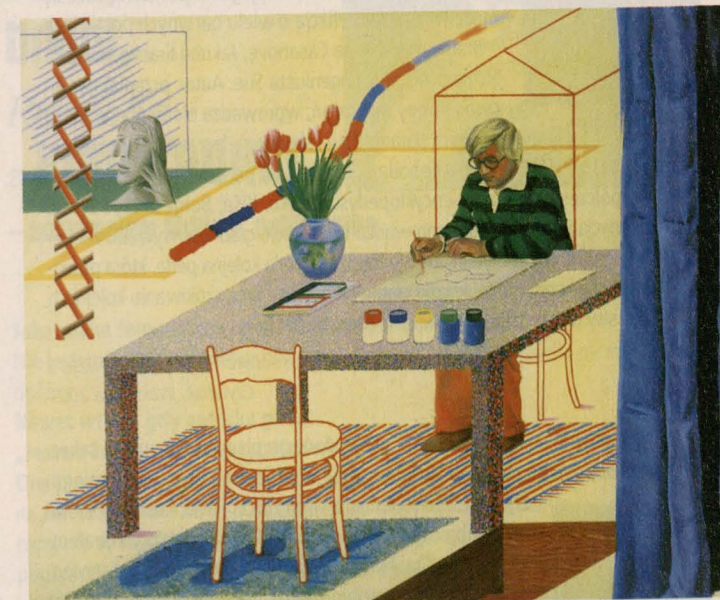
maluje się tylko dla siebie. Pracuję w przeświadczeniu, że coś może być interesujące dla innych, tylko jeśli jest to interesujące dla mnie. Jestem artystą, który pracuje bez przerwy. Maluję przez większą część czasu, szczególnie gdy trafię na coś, co trzyma mnie w napięciu albo sprawia szczególną przyjemność. Nie mam pojęcia, co miałbym robić, gdybym nie mógł malować. Myślę, że gdybym nie pracował, oszalałbym.

Obrazy

stają się dla mnie zawsze zbiorami obrazów. Czasem pracuję nad wieloma obrazami równocześnie, czekając aż wyschnie farba na ich powierzchni. I potem mam niespodziewanie gotowych osiem płócien. Wtedy zaczynam rozkoszować się przestrzenią, którą namalowałem. Kiedy ustawi się je w małym atelier, wydają się wypływać jeden z drugiego.

Fascynuje mnie

geometria fraktalna. Znalazłem parę księzek, które nie odstraszały czytelnika zbyt wieloma formułami. Nie znam się zbyt dobrze na matematyce, ale wydaje mi się ona bardzo pociągająca. Słyszałem, że kiedyś w XIX wieku przerwano wielką konferencję matematyczną, ponieważ jej uczestnicy odkryli jakiś słaby punkt w arytmetyce. Zachwyciło mnie to, jak owego chłopca z opary Ravela, który krzyczy: „Dwa i dwa jest szesnastą”. Czytałem też „Art Geschichte der Mathematik”, napisaną przez matematyka. Wydała mi się bliska poezji – niezwykle abstrakcyjny i poetycki sposób widzenia świata.



David Hockney, *Autoportret z błękitną gitarą*, 1977 r.

Współczesna sztuka

wydać mi się chłodna. Nawet konceptualizm jest dla mnie pusty i całkowicie bezsensowny. Jest mi po prostu obcy. A zobaczyć nową sztukę, to znaczy poczuć ją. Wielu krytyków uważa, że coś jest sztuką, jeśli jest nudne, a jeśli nie jest nudne, to nie może być już sztuką. Moim zdaniem jest właśnie na odwrót. Jeżeli coś jest nudne, to najprawdopodobniej nie jest sztuką, a jeśli porusza i zaciekawia, to jest prawdopodobnie dobrą sztuką.

Wciąż wierzę w to, że sztuka powinna sprawiać przyjemność. Wokół jest tyle cierpienia, a więc moją powinnością jako artysty jest przezwyciężać jego jałowość. Wierzę, że malarstwo może zmieniać świat.

Retrospektywa prac Davida Hockneya, Kunsthalle, Bonn, czynna do 10 września

KONKURS GALERII ZDERZAK I „P”

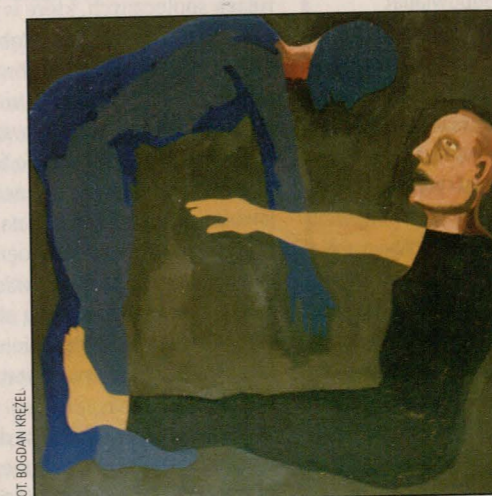
Oto kolejne 3 pytania w naszym konkursie. Nagrodą jest grafika Jarosława Modzelewskiego „Powolne upadanie”, prezentowana na wystawie „Bieg czerwonych ludzi” w Zderzaku, przy ul. Floriańskiej 3 w Krakowie. Wystawa czynna do 1 sierpnia. Prosimy o dopasowanie tytułów obrazów do nazwisk ich autorów. Tytuły:

1. „Umywajętsja, utirajętsja, odiewajętsja”
2. „Nie mówię, nie widzę, nie słyszę”
3. „Natura pożerająca, natura pożerana”

Autorzy:

- a. Jarosław Modzelewski
- b. Włodzimir Pawlak
- c. Ryszard Grzyb

Odpowiedzi prosimy nadsyłać listownie pod adresem redakcji z dopiskiem „Bieg czerwonych ludzi” lub na e-mail: voitec@przekroj.pl. Za tydzień kolejne 3 pytania.



Marek Sobczyk, *Człowiek Dobry pochyłający się nad człowiekiem Żym*, 1984 r.



Café wg George'a Grosza

**Od kilkuset lat
ta kuchnia jest hybrydą
nowinek z wielkiego świata
i mazowieckiej nudy.**

Smakosz warszawski

dynastii warszawianie oddalali się szybko i ochoczo. Kilka pokoleń później świątek smakoszków liczył godziny do kolejnej dostawy ostryg z Ostendy, rosyjscy kupcy zaś dostarczali solone i wędzone ryby z całego imperium.

Rzecz jasna, ekscesy były na porządku dziennym, co zabawnie sparodiował felietonista „Tygodnika Ilustrowanego” w 1883 r., podając przepis na „Karczochy pieczone a la boeuf”. Według tej receptury karczocha normalnie sprawnego wkłada się do jarząbka, tego umieszcza w kuropatwie, ją zaś w indyku, którym nadziewamy barana, „a jeszcze lepiej sarnę, jeżeli jest pod ręką”. Wszystko to łąduje w tuczonym wole, którego pieczemy w całości na wolnym ogniu. Soki z wołu przechodzą w sarnę, z niej w indyka, i tak dalej, aż nasyci się nimi karczoch.

„Następnie odrzuca się mięsiwo nie mające już żadnej wartości, wydobywa karczoch (...) i polewa masłem z rumianą bułeczką. (...) Na jedno podanie nie trzeba więcej nad 30 do 50 karczochów, a smaczna ta i nader pożywna potrawa dla osób prowadzących oszczędniejszą kuchnię zaleca się razem wykwintnością nie przekraczającą wymagań obywatelskich żołądków”.

Wiele spośród przepisów Hanny Szymanderskiej zaleca się urodą i oryginalnością. Obok - jeden.

TADEUSZ PIÓRO

BARANINA Z PIGWA

Pół kilo baraniny z udźca pokroić w grubą kostkę, skropić sokiem z cytryny, posypać solą, pieprzem i imbirem, zostawić w chłodzie na 2-3 godziny. Pigwy obrać, wydrążyć gniazda nasienne, pokroić w plastry. Mięso smażyć w łyżce smalcu na silnym ogniu przez kilka minut, ogień zmniejszyć, mięso podlać kieliszkiem czerwonego, wytrawnego wina i rosółem, i dusić pod przykryciem. Dwie posiekane drobno cebule zeszklić na maśle i razem z pigwą dodać do mięsa. Dosypać po szczypcie cynamonu, szafranu, gałki muszkatołowej, cukru, wymieszać i dusić jeszcze godzinę. Podawać z ryżem, posypawszy natką. Od siebie dodam, że jako rodowity warszawiak czekam na dzień, w którym jakiś przedsiębiorczy restaurator poda mi jagnięce ozorki w sosie curry z rabarborem i plackami ziemniaczanymi.

(TP)

To nie tylko książka kucharska. Poza przepisami na „potrawy dawne i nowe” znajdziemy tu szkic o historii stołecznej gastronomii, napisany z wielką swadą, anegdotyczny i - bardzo cenny. Hanna Szymanderska przedstawia w „Smakoszu warszawskim” rozwój sztuki kulinarnej różnych środowisk i klas społecznych, od królewskich rodzin po proletariat.

Kuchnia warszawska jest od kilkuset lat osobliwą hybrydą nowinek z wielkiego świata i mazowieckiej nudy, aspiracji nowobogackich i szlacheckiego - bądź ludowego - przywiązania do tradycji. Odzwierciedla to dobór przepisów - w rozdziale o warzywach najczęściej receptur poświęcono nie kapuście ani burakom, lecz bakłażanom. (Nie należy wyciągać z tego wniosków pochopnych, ponieważ dla ziemniaków autorka przeznaczyła osobny rozdział, tak jak dla grzybów; podobnie w rozdziale o rybach nie występują śledzie, które omawia osobno).

Są też w książce Szymanderskiej ujmujące cytaty z utworów

poetyckich, poświęconych różnym potrawom, na przykład anonimowa z roku 1905

„Oda do jaja”

*O ty! cudowny owocu kury,
O ty! najdroższy darze natury,
Przysmaku, który Bogi jadają;
Witam cię, jajo!
Wielbię cię, jajo!*

Z czasów saskich pochodzi przepis na wereszczakę, eponimiczną specjalność królewskiego kucharza. 1 kg białej kiełbasy zagotować w szklance wody i szklance piwa. Trzy cebule zeszklić na smalcu, podlać wywarem z kiełbasy i gotować na małym ogniu, po czym przetrzeć przez sito. Zrobić zasmażkę z łyżki mąki i łyżki masła, rozprowadzić wywarem spod kiełbasy, połączyć z przetrącającą cebulą, doprawić solą i pieprzem. Do sosu włożyć pokrojoną na kawałki kiełbasę i dusić razem na wolnym ogniu.

Soki przechodzą

Od siermiężnych, wieprzowo-kałuśnianych upodobań niemieckiej



FOT. BOGDAN KRZEL

Szatnia Keff

BOŻENA KEFF
Poetka, eseistka, krytyczka filmowa.
Absolwentka filozofii i filologii polskiej
Uniwersytetu Warszawskiego.
Napisała doktorat z zakresu kulturowej
tożsamości płci (gender).

List, pani Alu

Polska, jak pisze Elżbieta Czykwin, autorka książki „Białoruska mniejszość narodowa jako grupa stigmatyzowana”, jest krajem niemal zupełnie jednolitym narodowościowo - 98 proc. deklaruje się jako katolicy, mniejszości narodowe są nieznaczne. Inność w Polsce uleciała z dymem, uciekla, wyjechała, przepadła, przesiedlono ją, zepchnięto i upchnięto po kątach. Nie wolno być innym. Kiedyś idę sobie parkiem, a czyjeś dziecko, chyba opóźnione, czegoś chciało, tupało nogami i płakało, jak to dziecko z trudnościami komunikacji. Wtedy padł komentarz: „A po co z domu wyprowadzać t a k i e, żeby n a m tu ryczał!”. W Polsce nawet naturyści podkreślają, że nagość - tak, ale ładna. Nieładna, za chuda, za gruba, za stara - to nam szpeci. Za karę, za takie myślenie, Polacy są dla siebie tacy, jacy są.

Białorusini i Polacy mają różne perspektywy, inną tradycję, odmiennie rozlokowane sympatie. Białorusini są „chłopszy”, Polaków postrzegają jako „pańskich”. Białoruski stosunek do Rosji jest ciepły, a do Kościoła katolickiego - niekoniecznie. Katolicyzm postrzegają jako religię triumfatorską, Kościół jako upolityczniony i mało duchowy. Ich sympatie często dotyczą okresu PRL, ponieważ wtedy czuli dla siebie, jako dla mniejszości, pewne gwarancje. W książce o białoruskiej mniejszości słychać głosy polskich Białorusinów, zapisane przez autorkę. Tematy: religia, szkoła, język, inne. Skracam i przytaczam. Sama nie wymyślę przeciw tego, że różnica, dotycząca tego, iloma palcami kreśli się znak krzyża, może mieć znaczenie. Ale ma. Wszystko, co inne, ma.

„/.../Obok krzyża/.../przeżegnałam się. Stojących kilka osób, wyznania katolickiego, widziało to. Mówią do mnie: «Co, za dużo masz palców na rękach. Pan Bóg dał ci pięć, a korzystasz z trzech»”.

Kolejny głos: „Mieszkając w internacie, zawsze modliłam się przy zgaszonym

**Inność w Polsce
uleciała z dymem,
uciekła, wyjechała,
przepadła,
przesiedlono ją,
zepchnięto
i upchnięto
po kątach.**

światle. Bałam się, aby koleżanki nie zauważyły, że żegnam się trzema palcami”. Kolejny: „Staram się nie przeszkadzać katolikom, kiedy oni świętują /.../. Mam sąsiada, który, niestety, kiedy tylko jest nasze święto, rąbie, włącza piłę motorową i robi wszystko, żeby pokazać, że on nie świętuje”.

Na Białorusinów często mówi się „Ruscy” i „kacapy” (Na Rosjan - powszechnie w Polsce mówi się „Ruscy”. A to są „Rosjanie”. Polacy w Stanach Zjednoczonych nie lubią, kiedy mówi się na nich „Polack” - oni są „Polish”. „Polack” to tak jak u nas „Ruski”). „Co to za szkoła z białoruskim językiem? - zapytał mnie ironicznie egzaminator”. Inna osoba opisuje sytuację, kiedy w pracy Białorusinki rozmawiają między sobą po białorusku: „Katoliczka, jedna do drugiej: Mam dość słuchania tych rozmów, gdzie one są? - Moja reakcja: ból wewnętrzny i bezpośrednia odpowiedź: One też są u siebie. Obecnie unikam rozmów...”.

„Będąc w Białymstoku, mama mówiła: «Cicho», gdy zaczynałam w sklepie rozmawiać po swojemu. Inaczej wówczas nie umiałam”.

„W Białymstoku /.../ jak ktoś mówi językiem białoruskim /.../, zaraz jest pytanie: Dlaczego pani nie mówi po polsku? Tu jest Polska, a nie Białoruś. «Z kacapa nie zrobisz Polaka». To utkwilo mi w pamięci jako podsumowanie znajomości z kolegą z tej samej ławki”.

Bardzo wielu Białorusinów ukrywa fakt, że są Białorusinami i że są prawosławni. Mało jest takich odważnych, którzy przyznaliby się do tego w wojsku. Często polscy sąsiedzi jakoś nie mogą odnotować i uszanować faktu inności. Jakoś im się nie składa w całość inność, poznanie i szacunek. Jeżeli chcą być życzliwi, muszą innych przerażać na swoje. „Listonosz stanął w drzwiach, trzymając list i spytał: Czy tu mieszka Ala? i tu podał moje nazwisko. Tak, mieszka, ale nie Ala tylko Ałła. To proszę, dla pani list, pani Alu”.

Sluchaj razem z „P”

„Lato z Radiem 2001”,
czyli UWOLNIJ
SWOJE MARZENIA!



Audycja wystartuje, jak zawsze, w pierwszym dniu kalendarzowego lata, czyli 21 czerwca. Będzie obecna na antenie radiowej „Jedynki” od poniedziałku do soboty w godz. 9.00–12.00 do końca wakacji, a więc do 31 sierpnia.

W tym roku „Lato z Radiem” obchodzi swoje 30-lecie. Jest to też pierwszy rok nowego XXI stulecia. To wyzwanie, aby na antenie połączyć wspaniałe tradycje „Lata z Radiem” z nowym wizerunkiem audycji dynamicznej, efektownej i skutecznie walczącej z konkurencją stacji komercyjnych. Stąd pomysł na tegoroczne hasło: UWOLNIJ SWOJE MARZENIA, które ma oznaczać promowanie aktywności i wspólnego działania.

Organizatorzy chcą zachęcić słuchaczy do wspólnego kreowania wydarzeń: aktywnego udziału w programie (telefony, listy, Internet, WAP, SMS) oraz imprezach w całej Polsce. Pomysł jest taki, aby spełniać marzenia słuchaczy na radiowej antenie i imprezach plenerowych. Z dawnej ramówki antenowej pozostają tylko najpopularniejsze elementy, ale nawet one będą zmodyfikowane. Tradycyjnie odbywać się będzie mnóstwo różnorodnych konkursów, m.in. „Skojarzenia Lata z Radiem”, „Dwa, trzy tyki egzotyki”, „Pogawędki przy kawie”, „Świat seriali”, „Takie jest życie”, a także śpiewanie gazetowych tekstów oraz liczne konkursy podczas trasy koncertowej. Muzycznie stworzone zostaną trzy playlisty ze wstępnym podziałem proporcji muzyki polskiej i zagranicznej 50/50.

Ponadto, jak co roku, budowane będą zamki z piasku oraz odbędzie się konkurs zjeżdżania do wody na czas. W całej Polsce organizatorzy zapraszają do nowej zabawy „Mikrofon dla wszystkich”. Tradycyjnie poszukiwany będzie najsilniejszy człowiek, mistrz kierownicy, największy kot i najzabawniejsza automatyczna sekretarka. Odbędą się wybory miss „Lata z Radiem” (eliminacje w radiowym studiu S-1 przy ul. Woronicza 17, 3 lipca o godz. 9.00 rano). Nie zabraknie płyty z największymi przebojami (już nr 6) i przepysznych lodów.

„Lato z Radiem” w tym roku z koncertami odwiedzi 54 miasta. Rozpoczyna się już w sobotę 16 czerwca w Tomaszowie Mazowieckim. Wielki finał planowany jest 2 września w Operze Leśnej w Sopocie. Gwiazdą całej tegorocznej trasy będzie Grzegorz Markowski i grupa PERFECT (w Sopocie zagrają wspólnie z Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia). W czasie wakacji wystąpią też m.in. Andrzej „Piasek” Piaseczny, Małgorzata Ostrowska, Skaldowie, Wilki, Norbi, Gabriel Fleszar, Ich Troje, Varius Manx i Czerwone Gitary. Specjalnym gościem imprez będzie popularny muzyk ze Stanów Zjednoczonych, grający muzykę country, Andrzej Cierniewski.

„Lato z Radiem” w tym roku ma zupełnie nową wizualizację. Symbolem „Lata z Radiem” 2001 jest wesoły...łoś!

Audycję „Lata z Radiem” poprowadzą
m.in.: Zygmunta Chajzer, Roman Czejarek,
Zbigniew Krajewski, Wiesław Molak
i Sława Bieńczycka.

Uwaga!!! „Lato z Radiem”

ma w planach również konkurs
na nowego, młodego prezentera
lub prezenterkę.



KLUB POD JASZCZURAMI

Kraków, Rynek Główny 3

Kultowy klub studencki działający od 1960 roku.

KONCERTY najbardziej znanych i cenionych artystów polskiej sceny jazzowej.

KAWIARNIA czynna od godz. 9.00, w której można poczytać codzienną prasę, zagłębić się w lekturę ciekawej książki. Zajmując miejsce na słynnej kanapie, na której siedział kiedyś Fidel Castro i Helmut Kohl. A wszystko to przy mocnej, aromatycznej, włoskiej kawie.

KINEMATOGRAF w niepowtarzalnej sali Teatru 38. Kultowe filmy puszczane na projektorze z 1951 roku. Filmy Davida Lyncha, Larsa von Triera, Wima Wendersa, Wayne Wanga, Pedro Almodóvara najlepiej zobaczyć w Klubie pod Jaszczurami.

Ważniejsze imprezy czerwca 2001

21 czerwca (czwartek) godz. 20.00
„KONIEC SEZONU” koncert
PAULINY BISZTYGI z zespołem

27 czerwca (środa) godz. 20.00
SALON „POLITYKI”
godz. 21.00
koncert KWARTETU JORGI

Sponsorzy:



Patroni medialni:



Organizator:



www.podjaszczurami.aml.com

Substytucja, czyli zamiast

Zamiast historii o młodziu podejrzewającym, że jego ojciec-król został podstępnie zamordowany przez stryja, zamiast historii o trzech siostrach marzących o wyjeździe do Moskwy, zamiast opowieści o matce, która z robótek ręcznych utrzymuje swojego syna-darmozjadę-fizozofa-z-bożej-łaski, poniedziałkowy teatr telewizji zaserwował nam następującą opowieść.

Znana aktorka została obrzucona błotem przez „brukowic”. Ponieważ jest osobą stanowczą, kierującą się w życiu zasadami, ceniącą swój honor ponad wszystko, wyzywa na pojedynek (pistolety) szefa gazety. Mimo sprzeciwu rodziny (mąż na wieść o tym, że pojedynek ma się odbyć, wyprowadza się z domu), dobrych rad koleżanki-poślanki (opozycja wie o wszystkim), aktorka o znaczącym nazwisku Solska wynajmuje prostytutkę Angelikę, by pełniła funkcję jej sekundanta i o świcie, ubrana w białą suknię ślubną, stawia się w brzoźowej alei. Strzały z rosyjskich pistoletów nie padają, bo pani Solska zauważa, że szef gazety kuleje – ma amputowaną nogę, a ona nie strzela do kalek. Pada w ramiona zadyszanego męża, który nadbiegł w ostatniej chwili, i łyż wzruszenia zalewają jej piękne oblicze.

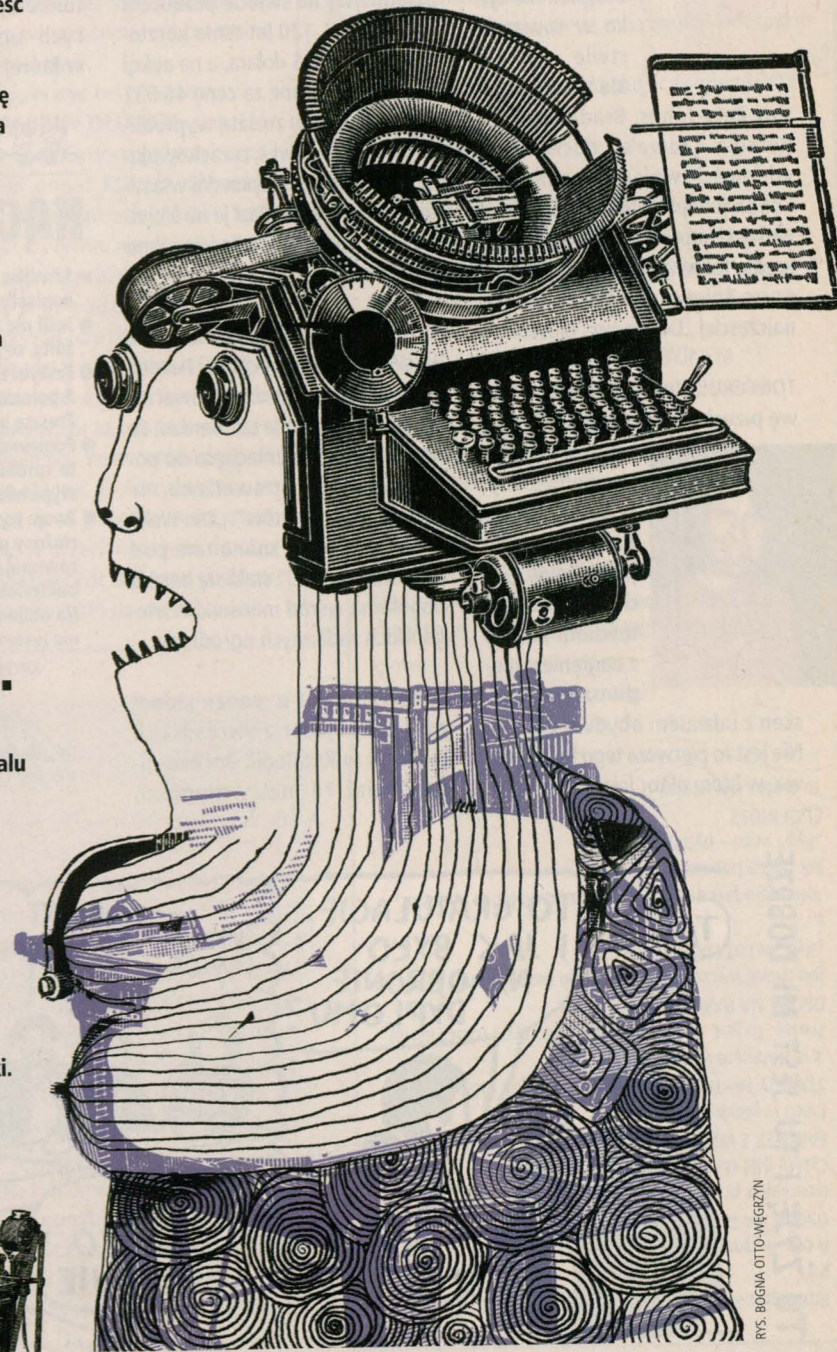
Zamiast dowcipnych dialogów – wszak na pierwszy rzut oka opowieść należy do gatunku farsy – padały takie teksty jak Solskiej, która komentuje ogłoszenia agencji towarzyskich w gazecie: „Dziewczyny-studentki”. Ciekawe, czy wszystko zaliczyły?”. Dziecko do Matki-Solskiej: „Nie chrań! Chyba się nie wyprowadzasz?”.

Teatr telewizji proponuje nam intelektualną tragedię.

Rolę Dziecka reżyser powierzył Sarze Muldner, znanej z serialu „Na dobre i na złe”, a rolę Ojca Jackowi Borkowskiemu z „Klanu”, nic więc dziwnego, że mój syn, wchodząc do pokoju, gdy oglądałam ten spektakl, zapytał: „Teraz telenowelę puszczają zamiast teatru telewizji?”. Kontaminacja seriali to czynność odruchowa. Substytucja rozpoznana została prawidłowo. Zamiast scenografii w studiu stały krzywo pomalowane zastawki oplecione sztuczną roślinnością. Aktorzy zamiast grać, miotali się w owych dekoracjach i to jacy aktorzy: moja ulubiona Grażyna Barszczewska i Krzysztof Wakuliński. Z każdą upływającą minutą spektaklu chciałam się zamiast nich zastrzelić.

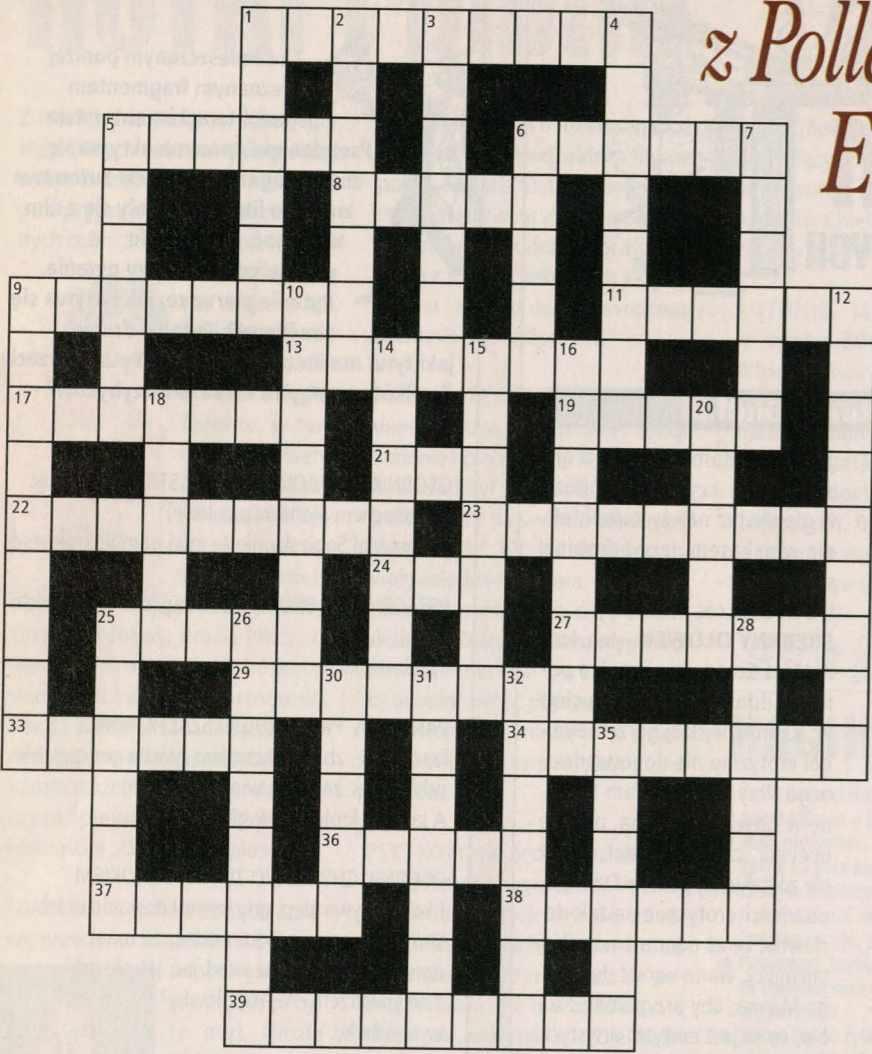
Szkoda, myślałam, że zamiast liczyć na inteligencję i dobrą wolę odbiorców, reżyser Tomasz Zygałto w miejsca wskazane przez pisarza Józefa Hena nie wstawił wzorem sitcomów sztucznych wybuchów śmiechu, przynajmniej mielibyśmy wrażenie,

że ktoś panuje nad przebiegiem tej opowieści i nie udaje, że to jest teatr telewizji. Sztuka nosiła tytuł „Błahostka”, a ja miałam ochotę zastrzelić producenta tego teatralnego gadżetu, zamiast spokojnie wyłączyć telewizor. Kilka tygodni temu zakończyła się pierwsza edycja festiwalu teatru telewizyjnego i radiowego „Dwa teatry – Sopot 2001”. Były nagrody, bankiety i feta. Nie przyznano nagrody za dramaturgię i adaptację telewizyjną. Nic dziwnego. Nie trzeba być jurorem, żeby zauważyć, że – zamiast dramaturgii – teatr telewizji proponuje intelektualną tragedię. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że powołany przez dyrektora teatru telewizji pana Jacka Wekslera, pomysły jako wsparcie promocyjne tzw. kultury w telewizji, festiwal już teraz przypomina organizowany do połowy lat 70. festiwal pieśni partyzanckiej. Włajkerka



RYŚ. BOGNA OTTO-WĘGRZYŃ

z *Polleną Ewą*



POZIOMO:

- 1 uzysk ze śmieci
- 5 portowe miasto Belgii
- 6 według reklam to produkuje jedynie bezalkoholowe
- 8 smaczna ryba nadbałtyckich jezior
- 9 owad-gałązka krajów zwrotnikowych
- 11 wskrzeszony w 4 dni po śmierci
- 13 z wielbłądów przeniosła się na samochody
- 17 portiera
- 19 szcękające wyspy
- 21 katalizatorowy metal
- 22 kazus
- 23 dostarczytel cennych lśniących kulek
- 24 co maolaty wąchały
- 25 na czym Atlas dźwiga sklepienie
- 27 rycerze w Golubiu Dobrzyniu popisują się
- 29 stopniowy sztuczny kamień
- 33 punkt zborny greckiej floty wyruszającej pod Troję
- 34 łańcuchowa zbroja
- 36 obuwiu, które tej zimy nie miało wzięcia
- 37 konikowi polnemu odmówiła racja
- 39 pawlacz

PIONOWO:

- 1 zdradzony
- 2 w mózg wyposażona
- 3 historię żółtej opisala Antonina Domańska
- 4 drapie się w głąb
- 5 Cezar zdziwił się, widząc go z nożem
- 6 o krasnoludkach i sierotce Marysi
- 7 nabożeństwo o harcerek godzinie
- 9 końmi przez wzburzoną rzekę
- 10 wyższa uczelnia
- 12 między żurkiem a kartoflanką
- 14 opornik elektryczny
- 15 krwio pijcy
- 16 opowiadacz
- 18 dnia przyrzuca
- 20 miasto nad lewym dopływem Drwęcy
- 25 rany ukoi
- 26 sądny dzień dla ucznia
- 28 całkowite złudzenie
- 30 okrycie na kulg
- 31 rodzaj muzyki jazzowej
- 32 córka Atlasa, która osiem lat gościła Odyseusza
- 35 za miarkę Szekspira

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

H14 - I5 - A3 - C11 - G5 - F4 - G11 / E9 - L10 - J1 - Ł13 - E6 - K11 / A5 - I9 / L12 - E5 - A13 - J7 / E13 - E8 / Ł8 - A15 - L14 - L2 - B10 - J3 - G8 - J12 - C6 / G3 - B14 / C15 - B2 - H1 - A11 - K9 - F10 - I8 - D12 / A8 - H8 - K15 - J6 - D4 - C1 - Ł11 / I1 - C3 - G10 - B4 / A7 - Ł5 - A2 - G1 - J10 - H6 - G15.

Wyrazy 11-literowe:

- kłopoty to jego... owoce • zdobył konkursowicza, lecz nie ta najważniejsza

Wyrazy 10-literowe:

- Cu-dny obrazek • majstruje przy majstrze

Wyrazy 9-literowe:

- odbije ci • dzwonnik pana Hugo

Wyrazy 8-literowe:

- drwi z czci • świętuje na sznurku na przełomie września i października

Wyrazy 7-literowe:

- na bocznym boisku • rozmówca Goplany, rumiany • tarcza pingwina

- gdzieś w tajdze • po torze może • czuje się w modzie jak ryba w wodzie • liczna taty Tygodnia (Brzechwa) • kosz zrobiony w balona • targowy stragan • wypychacz z niegrzecznej propozycji
- Bóg raczy wiedzieć w co wierzy • zielony sąsiad, za którym żal • ból, który powinien się nazywać łamiego

Wyrazy 6-literowe:

- i Cyryl ma swoje • tu za tubuza

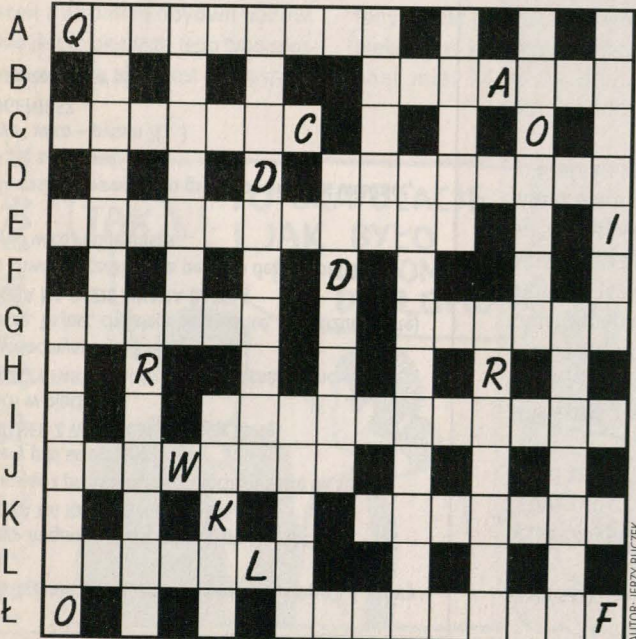
Wyrazy 5-literowe:

- dla jelenia ryzykowny to krok • багаж плаз • газа на гудзе • коз з sieci polec

JOLKA nr 25



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15

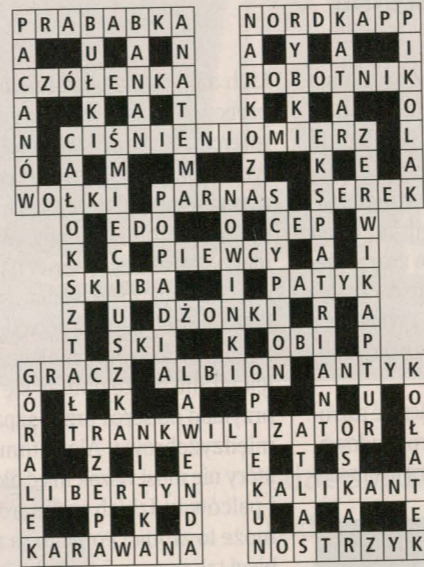


AUTOR: JERZY BUŁCZEK

• Wśród Czytelników, którzy nadesła poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 1 lipca (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych 5 zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWE SA – wiodącego producenta kosmetyków w Polsce. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 25”.

• Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 22 **pięć firmowych kosmetyczek BATYCKI** wylosowali: Agnieszka Gromkowska, Augustów; Beata Sobiecka, Toruń; Irena Orłowska, Andrychów; Beata Łysik, Radomsko; Wanda Morawska, Gorzów Wlkp. Gratulujemy!

Rozwiązanie krzyżówki nr 23



– Udar mózgu, drogi Watsonie. Widzę, że rozwiązywanie rebusów nie było mocną stroną lorda Klopsa.

99.60 FM 91.30 FM
RADIO ECHO
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21
93.80 FM

RADIO PARADA
96.00 FM

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

98.10 FM
Radio MAKS
Tarnów
Biuro reklamy Radia MAKS tel./fax (014) 621-29-29

radio **Merkury**
POZNAŃ
91.1 FM 91.9 FM 100.9 FM 102.7 FM 103.6 FM
Reklama: tel. (0-61) 865-83-73

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

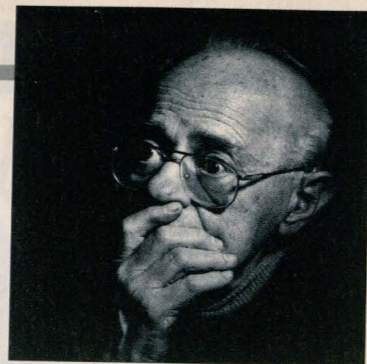
SLIPEK 91.50 FM KOSZALIN 99.70 FM LEBORK 102.90 FM
Vigor
RADIO
tel. 059 8423257

Ostrołęka
RADIO OKO
106.7 MHz

radio **TAK** 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy 25-363 Kielce, Wesola 47/49, tel. (041) 362 09 51

RADIO KRAKÓW
Matopolska
Kraków: 101,6 FM
Tarnów: 101,0 FM
Nowy Sącz: 90,0 FM
Zakopane: 100,0 FM
Krynica: 102,1 FM
Rabka: 87,6 FM
Sucha Beskidzka: 87,6 FM
Święto: www.radio-krakow.pl

Szpital bez lekarzy



FOT. BOGDAN KRZEL

Znakomity matematyk niemiecki, Dawid Hilbert, powiadał: każdy człowiek ma właściwy sobie horyzont wiedzy, a kiedy ów horyzont zwięża się do punktu, mówi „to jest mój punkt widzenia”.

Ozreczenie to można uznać za wstęp do zwięzłego ukazania losów rozwijającej się z upływem czasu medycyny. Jeszcze na początku dwudziestego wieku powszechny był tak zwany lekarz-omnibus. Znał się niezłe na właściwościach organizmu ludzkiego oraz na jego najbardziej typowych przypadłościach. Jedynie gdy natrafiał na jakiś bardzo szczególny, oddalony od normy przypadek, kierował pacjenta do specjalisty albo zwoływał konsylium u łoża chorego.

W miarę upływu lat wiedza medyczna się rozrastała, a pod ręczniki lekarskie stawały się coraz grubsze. Mogłoby się здаwać, że od przybytku (wiedzy) głowa nie boli, ale doszło do sytuacji, w których żaden lekarz, żaden profesor doświadczony wieloletnią praktyką nie może już ogarnąć całości. Medycyna, niby olbrzymi plack czy tort, została pokrojona na bardzo wiele kawałków. Oprócz takich specjalności, które znał już XIX wiek (okulistyka, neurologia, kardiologia, otologia, dermatologia, chirurgia itd.), powstały nowe działy, na przykład alergologii, wirusologii. Wskutek tego pacjent bywa narażony na peregrynacje po specjalistach i często zdarza się, że przypominają one wędrówkę od Annasza do Kajfasza.

Oczywiście, niektóre rodzaje trapiących nas przypadłości nadal mają w medycynie swoich jedynek uzdrowicieli: jeśli

ktoś cierpi na ból zęba, to trafi bez wątpienia do dentysty. Rzadko się jednak zdarza, ażeby wizytowanie wyłącznie jednego specjalisty obojętne było bez licznych badań dodatkowych, a więc prześwietlenia rentgenowskiego czy laboratoryjnej analizy krwi albo moczu. Do tych zaś metod ostatnim czasem dołączyły nowe, jak na przykład badanie ultradźwiękowe (zwane echowym), a także rozmaite rodzaje tomografii,



ROS. DMITRI SEWNIKOV-KSMIECOW

które wymagają wielkich nakładów finansowych, ponieważ pacjenta niczym struclę pakuje się w całości do otworu tunelowego aparatury, która będzie go w rozmaity sposób penetrowała promieniami.

Na ów specjalistyczny rozpad medycyna odpowiada tworzeniem klinik lub szpitali, w których zgromadzeni są najróżnorodniejsi specjaliści. Jednak przybór nowych wiadomości i nowych rodzajów terapii jest coraz większy i bezustannie. Dlatego dotychczas jedno-

rodne specjalności zaczynają się dzielić. Podziały takie mają zresztą swój odpowiednik w najbardziej abstrakcyjnej dyscyplinie, jaką jest matematyka: znawca teorii liczb ma wielkie trudności ze zrozumieniem, czym zajmuje się matematyk topolog, zwłaszcza w dziedzinie tak zwanej topologii homologicznej.

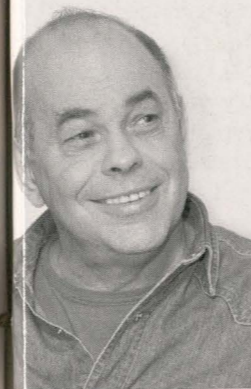
Na pomoc niezmiernie rozrostłej, wielodziałowo rozbudowanej i rozwiniętej sztuce lekarskiej

kich albo prawie całkiem bezosobowych, ponieważ komputerowych. Jak się okazało, ekspertyzy maszynowe potrafią dorównywać wynikom najlepszych zespołów złożonych z ludzi. Automatyka wkroczyła nawet na teren chirurgii, z kilku naraz spokrewnionych ze sobą powodów. Po rozcięciu skóry na piersiach lekarz nie może dobrać się na przykład do serca przez szparę międzyżebrową. Ale automat, który nie musi wszak mieć dłoni i palców ludzkich wymiarów, może to zrobić. Ponadto są zabiegi tak precyzyjne i subtelne, jak na przykład zszywanie małych naczyń krwionośnych, że dla ludzkich palców jest to praktycznie niemożliwe.

Oczywiście, takie operacje odbywają się pod stałą kontrolą człowieka. Interwencja lekarzy-ludzi zdaje się jednak nie do uniknięcia, chociażby ze względu na emocjonalną wartość bezpośredniego kontaktu z pacjentem. Możliwy w odleglejszej przyszłości szpital całkowicie wyludniony z lekarzy, w którym nie tylko ich asystę, nie tylko sanitariuszy, ale nawet kucharki zastąpią maszyny, nie jest pożądany. Prawdopodobnie zaprzęgniętych w służbę medycyny, wysoce skomplikowanych urządzeń będzie coraz więcej, a lekarzy coraz mniej, ale nie jestem pewien, czy proces ten jest korzystny i czy nie ulegnie odwróceniu.

STANISŁAW LEM
11 czerwca 2001

PODARUJMY DZIECIOM LATO



*dziękuję
Jacek Kuvau*

Gdzie spędzą tegoroczne lato Wasze dzieci? Podarujecie im góry czy morze? Będą jeździć konno czy pływać żaglówką? Po roku spędzonym w szkole wszystkie dzieci zasłużyły sobie na porządny wypoczynek. Życzymy im pięknych, słonecznych wakacji.

Ale są dzieci, które na wakacje wyjechać nie mogą. Chcemy, żeby było ich jak najmniej. Od dziesięciu lat nasza Fundacja zbiera pieniądze i pomaga w organizowaniu letniego wypoczynku – tak, aby wszystkie dzieci miały wymarzone wakacje.

Czy możesz pomóc?

SKONTO AKCJI: Fundacja Pomoc Społeczna SOS „**PODARUJMY DZIECIOM LATO**” Bank Handlowy w Warszawie S.A. IV O/W-wa 10301058-09872401

Wielkopolski Bank Kredytowy WBK III O/W-wa 10901043-224217-128-00-0

ROZDANY PRZEKAZ ZNAJDZIECIE PAŃSTWO NA POZCIE LUB W BANKACH WBK!



Wrażenia z plaży mogą być mylące. Sądząc po kostiumach kąpielowych, można odnieść wrażenie, że współczesne kobiety stają się coraz bardziej oszczędne.



NAGROBEK LITERATOWI

Taka to bywa zapłata
Niejednego literata:
Po śmierci wszyscy mu kadzą,
A za życia jeść nie dadzą.

(Alojzy Gonzaga Fortunat Żółkowski,
1777-1822)

FILUTER

Drżączki
można dostać

W „Supermarkecie”,
dodatku do „Gazety
Stolecznej” z 12 maja,
Zespół Komorników dla
W-wy Pragi ogłasza
pewną licytację pod
okrutnym a priori tytu-
łem:

OBWIESZENIE

Brrrr!
(Nadesłata: M. Kowalczyk)

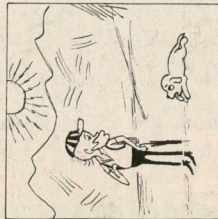
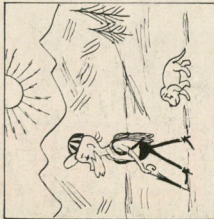
**Mama mówi, że Wielki Brat
ma niski poziom, to tato pod-
niósł telewizor.** *

W epoce Modnej Polski panowała moda na
chłopstwo.

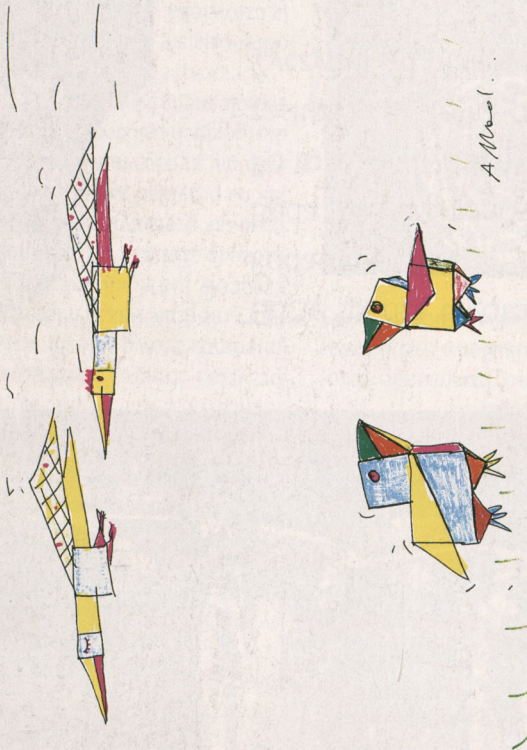
Isabella zupełnie nie pasowała do interesu,
który miał Wokulski.

Na imieniny mamy wyszykowałem z chłopakami z naszego podwórka pierdykanto karbidowe, żeby z hukiem życzyć jej sto lat i nawet więcej.

HUMOR ZESZYTÓW wybrał się z kolekcji: W. Marat z Zawady, K. Kidawy z Będzina, A. Kozarzewskiego z Putuska i A. Glogowskiej z Warszawy. Dziękujemy.



Rys. Adam MACEDOŃSKI



- Wielozadaniowie. Lecą na przetarg MON-u.

SPIŻE I CHROMY

W numerze 22 „Co jest grane”, dodatku do „Gazety w Krakowie”, natrafiłszy na zdjęciątko z intrygującym wielce podpisikiem:



KRAKOWSKIE LAURY

Na zdjęciu Iga Cembrzyńska, uznana przez jury konkursu ogólnopolskiego za najlepszą producentkę.

Od czasu, jak widzieliśmy ją ostatni raz, to trochę się zmieniła.

(Nadesłata: M. Warchał)

ŚMIESZNOTY

Kiedy mamusia rodzi, tatuś powinien przy tym być i asystować. Moda na tego typu asystenturę rozwija się nie tylko z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, ale nawet z tygodnia na tydzień. Z punktu widzenia tak zwanych wartości nie jest to sprawa blaha ani obojętna. „Śmiesznoty” spotkały ostatnio człowieka, który poważnie nad tym problemem myśli od dawna. Ten człowiek jest na razie kandydatem na kandydata, ale jeśli tylko wszystko pójdzie dobrze i znajdzie się w tej dużej sali z amfiteatralnymi siedziskami, to natychmiast zgłosi odpowiedni wniosek. Chodzi mianowicie o to, żeby przy tym asystowaniu uniknąć wszelkich machlojek i przekrętów. Sprawa powinna być czysta jak przysłowiowa żona Cezara. Dlatego przy poro-dzie asystować będzie mógł według tego projektu tylko ten, kto brał udział w poro-czeniu. Dopilnować tego mógłby na przykład sędzia Nizieński.

Minister Pałubicki może mieć powód do radości i satysfakcji. Wprawdzie sam nie brał udziału w ostatnim festiwalu piosenki w Opolu, ale na estradzie wystąpił sweter. Ten recitalowy sweter był napakowany Ryszardem Rynkowskim. Człowieku, uopamiętaj się. *

Polacy od pradziejów posługują się różnymi porzekadłami. Książę Karol Radziwiłł sadził co rusz swoje słynne „Panie kochanku”, Cześćnik w *Zemście* faszerował zdania upartym „Mocim panie”, byli tacy, co wykrzykiwali: „Niech mnie kule biją!” albo „Niech ja w domu nie nocuję!”. Do tych porzekadłowców dołączyła ostatnio tustawa heroina z domu „Wielkiego Brata”. Stany zaniepokojenia lub zdumienia wyraża wyjątkowo kompaktowym porzekadłem „Ja pierdziele!”, właśnie tak, bez tego wytwornego „ę” na końcu. Pogardę dla wytworności potwierdziła niedawno. Oglądając ze współlokatorką jakies zdjęcie, jednemu przyjrzała się dłużej i orzekła „To mi się podobie!”.

Brat PRZEK-ROJEK